

# JAKUB 1ĆWIEK KŁAΠICA



fabryka słów  
www.fabryka.pl

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Książki Jakuba Ćwieka

Dedykacja

Prolog

Anioł Stróż

Jak było na początku...

Młot, wąż i skała

Teraz...

Samobójca

Krew Baranka

Cleaner

Przepowiednia

Galeria

Cicha noc

Egzorcysta

...i zawsze

Głupiec na wzgórzu

Autor

Karta redakcyjna

Okładka

# JAKUB 1 ĆWIEK K Ł A Π C A

**Zlecenia anielskiego cyngla:**

- Kłamca 1 •
- Kłamca 2. Bóg marnotrawny •
- Kłamca 3. Ochłap sztandaru •
- Kłamca 4. Kill'em all •

**fabryka słów**

Lublin 2012

Książki Jakuba Ćwieka

wydane nakładem naszego wydawnictwa:

1. Kłamca 1
2. Kłamca 2. Bóg marnotrawny
3. Liżąc ostrze
4. Ciemność płonie
5. Kłamca 3. Ochłap sztandaru
6. Gotuj z papieżem
7. Kłamca 4. Kill'em all

*Aniołom, tym prawdziwym,  
najbliższym... codziennym*

## **Prolog**

### Chicago



rzypadkowe wersy na otwartej na chybił trafił stronie Pisma. Tak zwykł przemawiać Bóg.  
*Ale Boga już nie ma* – skarcił się w myślach – *a ja i tak nie mam wyboru.*

Raz jeszcze pochylił głowę nad Księgą i przeczytał wylosowane słowa z Ewangelii:

– Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać pożądania waszego ojca. Od początku był on zabójcą i w prawdzie nie wytrwał, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa.

Podniósł wzrok i dostrzegł w lusterku zdumione spojrzenie kierowcy.

– Proszę zatrzymać przy tamtej knajpce – polecił.

– Przy „Afrodycie”? – Taksiarz uśmiechnął się oblesnie. – Tam Biblia na niewiele się przyda.

– Mam umówione spotkanie. – Pasażer usiłował powiedzieć to naturalnie, jednak drwiące spojrzenie kierowcy sprawiło, że zaczerwienił się niczym mały chłopiec.

*Umówione spotkanie z Kłamcą* – dodał w myślach.



Taksówka zatrzymała się. Szczupły siwy czterdziestolatek o budzącej sympatię, pucułowatej twarzy, podał kierowcy dziesięciodolarowy banknot. Po chwili wahania dołożył jeszcze jeden i burknął ciche *do widzenia*. Wysiadł pospiesznie, czując na sobie pełne drwiny spojrzenie taksówkarza.

Wyciągnął paczkę papierosów i przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Zaciekawione miny mijających go przechodniów uzmysłowiły mu, że za bardzo rzuca się w oczy. Schował więc papierosy i przetarł rękawem spocone czoło. Rozejrzał się dokładnie, po czym ruszył w stronę wejścia.

Nigdy wcześniej nie był w takim lokalu. Tuż za drzwiami siedziało na stołkach dwóch barczystych ochroniarzy, którzy nakazali mu zostawić płaszcz w szatni. Nie oponował, choć twarz szatniarza poznaczona śladami rozlicznych wstydliwych chorób raczej nie wzbudzała zaufania. Siłąc się na naturalny uśmiech, wziął numerek i wszedł na główną salę.

W szerokim na całą ścianę lustrze nad barem dostrzegł swoje odbicie i stwierdził, że z całą pewnością nie pasuje do tego migającego niezliczoną liczbą neonów wnętrza. Poczynając od wystroju, a kończąc na kołyszących się na parkiecie parach, wszystko było jakieś... wyzywające. Śliczna, skąpo ubrana dziewczyna mrugnęła do niego, przechodząc obok. Obejrzał się za nią i zderzył z przechodzącym kelnerem. Przeprosił grzecznie, ale tamten zbył go pogardliwym prychnięciem.

Mężczyzna uciekł więc z przejścia i oparty o ścianę próbował wypatrzeć tego, z którym miał się spotkać. Nie dostał żadnych wskazówek w stylu goździka w klapie czy Biblii w lewej kieszeni marynarki. Szukał kogoś niezwykłego. Po chwili uśmiechnął się i ruszył w najbardziej zaciemniony róg sali.

– Przepraszam – zapytał niepewnie, podchodząc do stolika. – Czy mam przyjemność z panem Lionelem Smithem?

Ten odłożył gazetę i uniósł głowę.

– Tak się nazywam – potwierdził. – Ale nie masz przyjemności. Spóźniłeś się.

– Przepraszam, ale...

Smith przyłożył palec do ust i wskazał miejsce naprzeciwko siebie. Mężczyzna usiadł. Przez chwilę przyglądał się towarzyszowi. Nie tak go sobie wyobrażał. Oczekiwał... Sam nie wiedział kogo, ale na pewno nie długowłosego blondyna, który wyglądał na ledwie dwadzieścia pięć lat, a i to tylko z powodu dodającej powagi starannie przystrzyżonej brody. Ubrany w dobrze skrojony czarny garnitur sprawiał wrażenie świetnie zapowiadającego się prawnika lub maklera.

– No? – ponaglił go młody elegant.  
Mężczyzna odchrząknął.  
– Nazywam się Kwiryniusz – powiedział. – I jestem aniołem stróżem.  
Twarz Smitha rozciągnęła się w uśmiechu.  
– Wspaniale. A ja jestem schrystianizowanym nordyckim bogiem. – Sięgnął do stojącego na stoliku kubeczka z wykałaczkami. – Skoro mamy za sobą te śmieszne oczywistości, może przeszlibyśmy do rzeczy. Połowę twojego czasu pochłonęło spóźnienie.  
Anioł nerwowo poskubał się po czubku nosa. Jeszcze mógł zrezygnować.  
– Przychodzę – wydukał po chwili – bo potrzebuję pańskiej pomocy, panie Smith.  
– Wystarczy Loki. – Wykałaczka powędrowała do ust i znalazła przytułek w prawym kąciaku. – I nie mów mi rzeczy, o których już wiem. Nikt z waszej uskrzydłonej gromadki nie zadaje się ze mną, jeśli nie musi... Możesz odpuścić sobie również historię o dwóch twoich poprzednich podopiecznych. Znam relacje z ich wypadków w najdrobniejszych szczegółach.  
– Nie moja wina – zachnął się Kwiryniusz – że przydzielali mi samych ateistów. Bez wiary i modlitwy mam związane ręce.  
Loki wzruszył ramionami.  
– Nie interesują mnie techniczno-teologiczne niuanse. Tak samo jak nie wnikam, gdzie teraz kryje się twój aktualny klient. Nie moja sprawa. Krótko, czego chcesz i jak płacisz?  
– Potrzebuję, byś nawrócił moją obecną podopieczną – odparł anioł. – A płacę tym.  
Rozejrzał się niepewnie i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Podał Lokiemu niewielką, cienką kopertę. Ten zajrzał do środka i wyciągnął białe pióro. Przez chwilę gładził je, sprawdzając autentyczność, po czym włożył z powrotem.  
– Mało – zakomunikował.  
Kwiryniusz zrobił zdziwioną minę.  
– Jak to mało? To przecież anielskie pióro!  
– Tak – odparł spokojnie Loki. – Anielskie jak cholera, ale tylko jedno. Z tego co wiem, jesteś po drugim ostrzeżeniu i przy następnej porażce czekają cię chóry. A porażka to niemal pewniak, jeśli ci nie pomogę, prawda? Dwa pióra albo zacznij już stroić harfę.  
Anioł opuścił głowę zrezygnowany.  
– Zgoda – bąknął w końcu.  
Loki uśmiechnął się. Wstał.  
– W takim razie jutro idę się rozejrzeć. Będę w kontakcie.



Susan pchnęła drzwi i pewnym krokiem weszła do redakcji. Jej mina nie wróżyła nic dobrego. Minęła kilka boksów, po czym zatrzymała się przy zdecydowanie najbrudniejszym. Na ścianie wisiała tabliczka JACK RAYAN – AKTUALNOŚCI. Zastukała we framugę.

– Jack?  
Mężczyzna przy lepiącym się od brudu biurku oderwał wzrok od monitora. Zmierzył dziewczynę wzrokiem.  
– Witaj Susan – powiedział, nie kryjąc rozbawienia. – Ślicznie wyglądasz. Nie wiedziałem, że masz przebity pępek.  
– Pieprz się – warknęła, zasłaniając odkryty brzuch torebką. Sięgnęła do niej i wydobyła zrolowaną gazetę. – Dlaczego nic o tym nie wiem?  
Rzuciła rulon na biurko. Jack nawet bez rozwijania rozpoznał najnowszy numer ich pisma. MICHAEL LEVINSON NA WOLNOŚCI! – krzyczały litery na pół tabloidu.  
– Jak to nie wiesz? – zapytał z niewinnym uśmiechem. – Przecież piszą o tym w gazecie.  
Dziewczyną aż zatrzęsło.  
– Nie rozumiesz, idioto? – wrzasnęła. – To przecież ja go wsadziłam. Ja i mój artykuł!



Stojący niedaleko czarnoskóry sprzątacznik w pomarańczowym uniformie zbliżył się do nich, nie przestając szurać mopem po podłodze. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Jack wstał i wyciągnął przed siebie ręce, próbując uspokoić dziennikarkę.

– Nie powiedzieliśmy ci, bo wczoraj nie mogliśmy się do ciebie dodzwonić, a sprawa wyszła niespodziewanie – wyjaśnił. – Wypuścili go ze względu na zły stan zdrowia. Ale jest pod stałą obserwacją policji, więc nie masz się czym martwić.

Próbował położyć jej rękę na ramieniu. Odepchnęła go.

– Na przyszłość masz dzwonić aż do skutku – nakazała, po czym odwróciła się gwałtownie. Zawirowała krótka plisowana spódniczka, ukazując więcej, niż Susan chciałaby pokazać.

Jack uśmiechnął się szeroko. Stał w progu boksu, dopóki dziewczyna nie zniknęła mu z pola widzenia. Dopiero wtedy podszedł do biurka i rzucił z niego zwiniętą w rulon gazetę prosto do kosza. Usiadł.

Nim napisał akapit, czarnoskóry sprzątacznik skończył już z podłogą i zabrał się za opróżnianie koszy.



Pomiędzy gwar ulicy wśliznęły się cichutkie takti „Stairways to heaven”. Kwiryniusz wydobyl telefon i przyłożył do ucha.

– Słucham?

– Loki – odezwał się znajomy głos.

Anioł westchnął. Wątpliwości, jakie miał co do Kłamcy, nie zdążyły się jakoś rozwiać. Wręcz przeciwnie, był coraz mniej zadowolony z wczorajszej decyzji.

– I co? – zapytał.

– Kim jest Michael Levinson?

– To... właściwie... – zaczął Kwiryniusz nie do końca pewien, co powinien powiedzieć.

Kłamca wszedł mu w zdanie.

– Ja ci wyjaśnię. A właściwie przeczytam, co piszą o nim we wczorajszej gazecie.

W słuchawce zaszleściło.

– Michael Levinson, znany powszechnie jako „Szubienicznik”, ponownie na wolności. Był nauczyciel biologii jednej z nowojorskich szkół, który do czerwca ubiegłego roku zgwałcił i zamordował blisko dwadzieścia dziewcząt (dusząc je radiowym kablem), został zwolniony wczoraj w godzinach przedpołudniowych ze względu na zły stan zdrowia. Levinson cały czas pozostaje pod nadzorem policji... Czytać dalej? Czy może kojarzysz już gościa?

Kwiryniusz przejechał ręką po spoconym czole. A coś mu mówiło, że powinien dziś posiedzieć przy podopiecznej.

– Kojarzę – wycedził.

– Tylko cię ostrzegam na wypadek, jakbyś nie czytał prasy – kontynuował Loki. – Niewiele mnie obchodzi, dlaczego nie zajmujesz się swoją podopieczną i co w takiej sytuacji da ci jej wiara, ale wiedz jedno, jak przyjdzie co do czego, nie będę jej ratował. Nie widzę żadnego interesu w tym, by zajmować się jeszcze Levinsonem. To twoja sprawa. Ty jesteś stróżem. Jasne?

Kwiryniusz chciał odpowiedzieć, ale Kłamca już się rozłączył.

Anioł niepewnie popatrzył wokół siebie, po czym zamachał na przejeżdżającą taksówkę.



Loki rozłączył się i wsadził telefon do kieszeni. Wciąż miał na sobie pomarańczowy uniform sprzątacznika, ale wrócił już do swej twarzy. Z nią czuł się najlepiej.

Podszedł do najbliższej ławki i usiadł wygodnie. Musiał pomyśleć.

Wciąż jeszcze nie wiedział, jak zabrać się do zadania. A nawet gdyby na coś wpadł, to przez wyjątkowy antytalent Kwiryniusza i tak jego wysiłki mogłyby pójść na marne. Wystarczy tylko, że ten cały Levinson postanowi się zemścić.

Mimo to Loki naprawdę nie miał chęci na wykonywanie pracy stróża. Zresztą, gdyby dowiedział się o tym ktoś z góry... A zdecydowanie wolał tego unikać.

Jakiś mężczyzna wszedł do pobliskiej budki telefonicznej. Loki przyjrzał mu się uważnie pewien, że skądś zna tę pobrużdżoną twarz. Zerknął na leżącą obok gazetę, gdzie widniało zdjęcie Levinsona.

– O wilku mowa – burknął i ponownie wyciągnął z kieszeni telefon. Zanim usłyszał głos anioła, miał już w głowie cały plan.



Było dobrze po dwudziestej drugiej, gdy Susan stwierdziła, że czas iść do domu. Dopiero gdy oderwała oczy od ekranu monitora, uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Odchyliła się do tyłu i przeciągnęła. Naprawdę potrzebowała snu.

Pozbierała wszystkie papiery, wyciągnęła dyskietkę ze stacji, wstała i...

I wtedy właśnie dostrzegła kopertę. Wisiała na ściance boksu naprzeciwko. Była cała czerwona i miała namalowane oczy, które spoglądały wprost na Susan.

Dziennikarka rozejrzała się niepewnie, ale nie dostrzegła nikogo. Ostrożnie sięgnęła po kopertę.

W środku był artykuł o Levinsonie. Na zdjęciu przedstawiającym skutego mężczyznę o atletycznej budowie, którego dwóch funkcjonariuszy wyprowadzało z budynku szkoły, ktoś czarnym flamastrem dopisał: WITAJ.

Cofnęła się powoli do swojego boksu, po czym gwałtownie złapała za słuchawkę i wystukała numer ochrony budynku. Przeczekała kilka sygnałów. Nikt nie odbierał.

Chwyciła przycisk do papieru w kształcie Złotego Globu. Mocno zaciskając na nim palce, pognała ku wyjściu.

Zjechała na dół i zastukała do drzwi pokoju ochrony. Żadnego odzewu. Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte.

Jarzeniówki nad jej głową zamigotały i zgasły. Wrzasnęła. Światło znów zamigotało, by za chwilę rozbłysnąć bladą poświatą. Susan kolejny raz rozejrzała się nerwowo i wyrzucając Glob na posadzkę, ruszyła biegiem w stronę wyjścia.

Kiedy znikła za zakrętem korytarza, drzwi pokoju ochrony powoli się otworzyły. Wszedł zza nich uśmiechnięty Loki. Jego twarz powoli zaczęła się zmieniać.



Michael Levinson czekał. Tego akurat nauczył się w więzieniu całkiem nieźle. Cały ten czas był dla niego czekaniem. Na tę właśnie chwilę. Cofnął się, by całkowicie zniknąć w cieniu zaułka.

Z miejsca, w którym stał, doskonale widać było wnętrze boksu Susan umiejscowionego przy oknie. Nigdy nie zasłaniała żaluzji. Widział więc, jak się zbiera, jak wraca pospiesznie, by porwać coś z biurka, jak w końcu wybiega.

– Już za chwilę przestaniesz się tak spieszyć, maleńka – szepnął, nie kryjąc zadowolenia. – Spędzimy ze sobą dużo czasu. Bardzo dużo.

– Przepraszam – usłyszał naraz za plecami.

Odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł mężczyznę w prochowcu. Mógł mieć nie więcej jak czterdzieści lat. W ustach trzymał wykałaczkę.

– Musimy poważnie porozmawiać – powiedział nieznajomy.



Susan zmusiła się, aby zwolnić, choć nadal nie przestawała wypatrywać jakiejś taksówki. Głos rozsądku powoli przebijał warstwę paniki. *To pewnie któryś z chłopaków – myślała. – Nie pierwszy raz próbują mnie przestraszyć. Przecież policja nie spuszcza drania z oczu. I musi być poważnie chory, skoro go zwolnili.*

*Zwykły nauczyciel nie ma przecież takich znajomości, by się w ten sposób wywinąć.*

Nieco uspokojona skręciła w niewielką uliczkę wiodącą do domu i przystanęła. Zazwyczaj nie bała się tędy przechodzić, nawet późno w nocy, ale ostatnio jacyś smarkacze wytlukli większość lamp. Dwie cudem ocalałe dawały akurat tyle światła, by obudzić groteskowe cienie na ścianach starych kamienic. Czowała, że powinna zawrócić. Wstąpi do najbliższej knajpki, tam spokojnie wyjmie komórkę i zadzwoni na policję. Co tam, najwyżej się wygłupi...

Z drugiej jednak strony, jeśli przejdzie jeszcze kilka metrów, zobaczy już swoje okna. Raptem chwilka i będzie bezpieczna. Poprawiła torebkę i szybkim krokiem ruszyła w głąb uliczki. Przyspieszyła, mijając ciemną bramę. W środku coś zaszeleściło, ale się nie obejrzała. *To na pewno szczur.* – Zaciśnęła zęby tak mocno, że rozboleła ją szczęka. – *Pełno ich pałęta się w tej okolicy...*

Ktoś wypadł pomiędzy śmietników, strącając pokrywę, która uderzyła o asfalt z głośnym brzękiem. Susan z trudem stłumiła wrzask.

Mężczyzna, z całą pewnością pijany, posłał jej zdumione spojrzenie, po czym schylił się, by podnieść blaszaną klapę.

– Cii – wybełkotał. – Bez hałasu, maleńka, ludzie śpią.

Odruchowo skinęła głową, nie kryjąc ulgi. Szybkim krokiem doszła do drzwi swojej kamienicy, włożyła klucz do zamka i przekręciła.

Weszła w pogrążony w mroku, jednak znajomy korytarz. Ale gdy nacisnęła włącznik światła, nic się nie stało. Nacisnęła jeszcze raz. I jeszcze.

– Nie stukaj tak, nie stukaj. Wysiadł prąd, dziecino.

Dziennikarka westchnęła z ulgą, unosząc głowę. Wprowadzie nic nie widziała, jednak trudno byłoby nie poznać ochryplego głosu starej dozorczyńni. Dobiegał z wysokiego parteru.

– Ma pani jakąś latarkę?

– A myślisz, dziecino, że stałabym tak teraz po ciemku, gdybym miała? Baterie szlag trafił wieki temu, a nie każdego stać na te akumulatory.

Umilkła.

Susan wymacała poręcz i ruszyła w górę schodów. Przynajmniej była już w domu. Cóż mogło jej teraz zagrozić?

– Jak chcesz, dziecino, mogę ci dać parę świeczek – powiedziała po dłuższym namyśle dozorczyńni.

– Może jedną na drogę. W domu pewnie znajdę jakąś latarkę.

Susan zaczekała chwilę, aż starszuszka odpali trzymaną w fartuchu świecę i podziękowała, obiecując, że odkupi.

– Jak nie zapomnisz – odparła dozorczyńni z rozbawieniem. – Wy, młodzi, zawsze macie tysiące spraw na głowie. Ale nieważne, jak widzisz, radzę sobie i bez światła. Zawsze miałam kocie oczy.

Dziennikarka raz jeszcze podziękowała i ruszyła w górę, chroniąc dłonią nikły płomień.



Weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Odruchowo sięgnęła do włącznika, ale przypomniała sobie, że to nic nie da.

Namacła szafkę z narzędziami i wydobyła z niej sporych rozmiarów latarkę. Sprawdziła, czy działa, i dopiero wtedy zdmuchnęła świecę. Uzbrojona w wąski snop białego światła przeszła do pokoju.

W ciemności jej mieszkanie wcale nie wydawało się przyjazne. Wręcz przeciwnie. Liczne meble – jak wtedy, gdy Susan była małą dziewczynką – stały się norami i kryjówkami najpaskudniejszych stworów. Tego dnia, rzecz jasna, wszystkie miały jedną twarz. I wszystkie nuciły „I got you, babe”, zupełnie jak Levinson tamtego dnia podczas ogłaszania wyroku.

Pociągnęła nosem. Miała wrażenie, że teraz nawet pachniało inaczej. Znała skądś tę woń...

Właśnie wtedy dostrzegła leżącą na stole paczkę. Poczwała nagłe ukłucie strachu, zaraz opamiętała się jednak. Do paczki przyklejona była karteczka z krótką notką od dozorczyńni.

Stara kobieta, dzięki układom z listonoszami, dość często odbierała za lokatorów przesyłki poleczone, by

potem zostawiać je u nich w mieszkaniach. Z wyjątkiem jednego gbura z pierwszego piętra, wszyscy byli jej za to wdzięczni i nikt się nie skarżył. Dozorczyni musiała po prostu zapomnieć jej o tym powiedzieć.

*Odebrałam o 18:30* – było napisane na karteczce. – *Powiedział, że bez opłat.*

Susan usiadła z paczką i trzymając w prawej ręce latarkę, lewą rozerwała papier. W środku znajdowała się prosta drewniana ramka z modlitwą do anioła stróża.

Nakierowała światło na starannie wykaligrafowane litery i przeczytała:

– Aniele boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, rano, we dnie, wieczór, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy...

Przerwała i raz jeszcze pociągnęła nosem. Dziwny zapach jeszcze się nasilił. Gdzieś w jej głowie cicho popiskiwał alarm, że powinna go skojarzyć, że...

I w tym momencie przypomniała sobie.

Jej ciało przeszył dreszcz. Nie była w stanie się poruszyć. Zacisnęła palce na ramce.

Drzewo sandałowe – dokładnie tak pachniał Levinson na rozprawie. A teraz ta woń wypełniała jej mieszkanie...

Wzięła głęboki oddech, starając się wmówić sobie samej, że istnieją przecież złudzenia zapachowe. Gdzieś o tym czytała.

Znowu skupiła wzrok na tabliczce. Czy na pewno przyniosła ją dozorczyńni? Czy na krótkiej nocce rzeczywiście było jej pismo?

Wyczuła za plecami jakiś ruch, odwróciła się gwałtownie, ale nikogo nie dostrzegła. Mocniej chwyciła latarkę, a lewą ręką próbowała na oślep odłożyć ramkę na stół.

Wtedy ktoś z ciemności chwycił ją za nadgarstek. Wrzasnęła i odwinęła się, by uderzyć latarką. Napastnik przechwycił cios.

– Mam cię, dziecinko – wychrypiał.

W snopie światła na moment pojawiła się twarz. Ta twarz! Wykrzywiony w paskudnym uśmiechu pysk Levinsona. Wrzasnęła ponownie, próbując się wyrwać, ale doskonale wiedziała, że nie ma szans. Była zbyt słaba, by poradzić sobie samej, a szanse, że ktoś zareaguje na jej krzyki, równały się zeru...

Jednak nagle eksplodował błysk – tak mocny, że czuła jak wypala jej oczy. Zacisnęła powieki z całej siły.

I znów krzyk, ale nie jej. Męski, obcy. Nie był to wrzask przerażenia jak Susan, tylko bólu, potwornego i nieustającego bólu. Tak mogli krzyczeć potępińcy. Pokój wypełnił się zapachem kwiatów i owoców. Wonią cudnego ogrodu podobną do tej, którą pamiętała z dzieciństwa... tylko jeszcze piękniejszą...

A potem światło zgasło.

Susan siedziała jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczyma, a gdy je otworzyła, była sama. Nie czuła już tego pięknego zapachu, ale nie czuła też drzewa sandałowego.

Przez krótką chwilę zaczęła nawet wierzyć, że doznała tylko jakiejś niezwyklej halucynacji... i wtedy właśnie dostrzegła wypalony na stoliku ślad ręki. Tuż obok leżał kabel, taki sam jak ten, którym Levinson dusił swe ofiary. A na małej ramce z modlitwą do anioła stróża zobaczyła ogromne, śnieżnobiałe pióro.



– Co z nią? – zapytał Kwiryniusz z troską w głosie. Stał teraz na tyłach domu koło śmietnika i do pojawienia się Lokiego zerkał na przemian to na okna mieszkania Susan, to znów na drzwi wyjściowe budynku.

Kłamca wzruszył ramionami i wyciągnął z kieszeni paczkę wykalacek. Jedną z nich włożył do ust.

– Zemdląca – odparł. – Ale myślę, że gdy się obudzi, jest twoja. Aha, to iluzyjne pióro zniknie za kilka dni, ślad na stoliku też, więc postaraj się, by miała jakieś głębsze podstawy do wiary. A ślad najlepiej po prostu wypal przy okazji. Niech ma pamiętkę.

– Cały czas zastanawiam się, czy nie przesadziliśmy – westchnął anioł stróż. – Nam nie wolno pokazywać się podopiecznym w pełnej chwale, a już zwłaszcza by nakłaniać ich w ten sposób do wiary.

Loki wzruszył ramionami.

– To nie była twoja chwała, tylko moje sztuczki. Wątpię, by twoja moc była równie potężna. A teraz płąć. Coś mi się należy za przywdziewanie tej ohydnej gęby Levinsona. Ta dozorczyńni i pijak to też nie była przyjemność. Przy każdym z tej trójki nawet pachnieć musiałem inaczej. Takie szczegóły cholernie męczą.

– Napracowałeś się tej nocy – przyznał Kwiryniusz. – I myślę, że...

– Płać!

Anioł wręczył Kłamcy kopertę.

– Miło się współpracowało – powiedział.

Loki wypluł wykałaczkę i pokiwał głową.

– No, tak się podobno mówi... tyle, że zwykle w filmach.

Uścisnął dłoń anioła i powoli ruszył przed siebie. Jednak nie uszedł nawet pięciu kroków, gdy poczuł, że jest obserwowany. Odwrócił się. Anioła nie było. Pewnie stał się już niewidzialny.

Kłamca uniósł głowę.

– Witaj, Gabrielu – powiedział do siedzącej na ozdobnym gzymsie postaci.

Archanioł uśmiechnął się i odgarnął włosy z czoła.

– Oj, Loki, Loki – westchnął. – I co ja mam z tobą zrobić?

Kłamca uśmiechnął się szelmowsko.

W budynku, kilka pięter wyżej, pewna kobieta ocknęła się i po raz pierwszy od wielu lat jej usta zaczęły szeptać modlitwę.

**Jak było na początku...**

## Młot, Wąż i Skala

Gdzieś

Poza czasem



Wyloniła się z mgły. Jej koń z majestatem godnym królewskiego rumaka przestąpił szarą granicę światów i wkroczył na szeroką drogę. Rosnący po obu stronach traktu gęsty las przywitał przybyłą cichym westchnieniem i błyskiem kropeł na liściach skąpanych w księżycowej poświacie. Uśmiechnęła się. Nareszcie w domu...

Z białej chmury wyjechali kolejni jeźdźcy. Po czterech, ze zwieszonymi głowami, jakby pogrążeni w płytkiej drzemce. W przeciwieństwie do swej dumnej, odzianej w świetlistą zbroję i skrzydlaty hełm przewodniczki nie prezentowali się imponująco. Na ich powyginanych zbrojach dawno już przekwitły rdzawe kwiaty wzrastające zwykle tam, gdzie pancerz okazuje się zbyt słaby. Popękane puklerze pełne były zamocowanych w pośpiechu klamer, a miecze i topory szczyrb. Niektórzy z jeźdźców nie mieli twarzy, tylko mięsiste papki, z których wyzierały opuchnięte, przekrwione oczy, bądź też niemal nagie czaszki ze strzępami skóry i poszarpanymi mięśniami. Byli wśród nich i tacy, którym miecz lub topór odrąbał żuchwę, i teraz pozbawione oparcia języki zwisały niczym u zmęczonych biegiem psów.

Wbrew wszystkiemu jednak wojownicy żyli. Jakimś cudem zrosły się rozłupane niegdyś głowy, a jedyną pamiątką po śmiertelnych ciosach były wgłębienia ciągnące się od czoła po kark. Na powrót wpełchnęły w oczodoły wyłupione oczy i teraz spoglądały na świat z niemal identyczną jak niegdyś ostrością, a zasklepione tętnice poderżniętych gardeł na nowo tłoczyły krew. Bez cienia wątpliwości dano im drugą szansę.

Po dłuższej chwili, podczas której dało się słyszeć jedynie miarowy stukot kopyt na ubitym trakcie, ostatnia z blisko dwudziestu czwórek wjechała na drogę. Ci wojownicy wyglądali na bardziej wyczerpanych niż kompani, ale to dlatego tylko, że krew wokół ich jeszcze nie tak dawno śmiertelnych ran wciąż mieniła się szkarłatem i nie przestała tworzyć swych wąskich, zakrzepłych ścieżek. Ich oczy, wciąż pełne zdumienia, bezwiednie wpatrywały się w plecy jadących przed nimi, jakby w nich szukając odpowiedzi na rodzące się pytania: *w jaki sposób? dlaczego ja? czy tak będzie wyglądać wieczność?*

Zdążyli ujechać kilka kroków, gdy od drzew po obu stronach drogi oderwały się cztery skrzydlate postaci odziane w barwy lasu. Jedna z tych istot uniosła do góry zaciśniętą pięść. Lewą ręką wyciągnęła z przymocowanego do nogawki pokrowca długi nóż o czarnym, matowym ostrzu. Poczekała, aż pozostałe zrobią to samo i chwyciwszy ostrze w zęby, wolną na chwilę dłonią wykonała kilka gestów. Towarzysze potwierdzili skinieniami głowy. Cały czas wzniesiona prawa pięść opadła gwałtownie.

Księżyc skrył się za chmurami. Nikt nie dostrzegł, jak sfrunęli kilka stóp nad ziemię i łapiąc mocny powietrzny prąd, pognali za kolumną. Wyhamowali w ostatniej chwili, by nie zdradzić się nienaturalnym powiewem, po czym wzlecieli ponownie dzięki delikatnemu drganiu skrzydeł, tym razem jedynie na wysokość siodła.

Pięść dowódcy ponownie powędrowała w górę i zaraz opadła. Nim ofiary zdążyły się odwrócić, skrzydlaci siedzieli już na koniach tuż za jeźdźcami.

Doskonałe wyszkolenie latających wojowników dało o sobie znać. Skrzydła błyskawicznie zawinęły się, otaczając wrogów i krępując im ruchy. Lewe dłonie powędrowały na ich usta, tłumiąc rodzący się krzyk, a prawe, uzbrojone w noże, gładko rozplątały gardła. Zanim krew wskrzeszeńców zdążyła dotknąć ziemi, napastnicy, opanowawszy konie, skręcali już w las, by moment później zniknąć w gęstwinach.

Chwilę potem od drzew oderwali się kolejni skrzydlaci.



Koń jadącej na czele Walkirii nie był zwykłym zwierzęciem. Rzadko który rumak jest w stanie szybować pod niebem i mienić się przy tym niezwykle blaskiem niczym spadająca gwiazda. I pomimo że zdolność ta zamierała, gdy tak jak w tej chwili wkraczał na mityczne ziemie, zawsze pozostawała w nim odrobina magii. Objawiała się przede wszystkim niezwykle wyczulonymi zmysłami i ogromnym zapalem do walki.

Gdy pierwszy oddział skrzydlatych postaci runął z nieba, rumak Walkirii przystanął na moment. Jego pani, zmęczona łowami, zlekceważyła jednak ostrzeżenie. Uderzyła piętami w boki konia i wplótłszy palce w grzywę, wyszeptała zaklęcie. Wierzchowiec ruszył zgodnie z jej wolą. Parę kroków dalej stanął jednak ponownie. Zastrygł uszami i parsknął.

Tym razem wojowniczką zareagowała. Odwróciła się, by spojrzeć na swój oddział, sięgnęła do pasa po róg i uniósłszy go do ust, zadęła krótko.

Wskreszeńcy unieśli głowy.

– Przekażcie tylnej straży, by byli ostrożni – zawołała Walkiria.

Kilka głów odwróciło się.

Przez chwilę słychać było szepty i pełne zdumienia okrzyki.

– Pani! – zabrzmiął pierwszy skierowany do niej. – Nie ma tyl...

Rzucony z głębi lasu nóż ze świstem przeszył powietrze i zagłębiając się w gardle, stłumił resztę meldunku. Drzewa zaszumiały, jakby tysiące ptaków wzbilo się nagle do lotu, a księżyc w jednej chwili zniknął zasłonięty chmurą unoszących się nad drogą istot. Spomiędzy konarów wyleciały dziesiątki strzał.

Walkiria spięła konia i jednocześnie znów sięgnęła po róg. Gnała przed siebie, dmąc ile sił w płucach, nawet nie zauważając grotów, które odbijały się od otaczającej ją niewidzialnej aury.

Jednak na wzywanie odsieczy było już za późno. Dźwięk rogu bogini mieszał się z wrzaskami tracących swą drugą szansę wskreszeńców, z głośnym szumem dziesiątek par skrzydeł i z hukami, jaki wypełniał jej głowę.

Tuż przed nią pojawiła się nagle ściana ognia. Szkolony do podobnych sztuczek rumak nawet nie zwolnił, przeskoczył przez płomienie i gnał dalej przed siebie, wciąż nabierając prędkości.

Odgłosy walki cichły powoli, gdy Walkiria dotarła do zakrętu. Przed sobą widziała wielkie jezioro, a że siedząc w siodle znajdowała się nad linią tataraków, mogła dostrzec płonące daleko na przeciwnym brzegu lasy, spomiędzy których wyłaniała się oblegana teraz ze wszystkich stron Walhalla.

*To po to mnie wezwali* – pomyślała, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – *To Ragnarok.*

W tej samej niemal chwili koń zbyt ostro wszedł w zakręt. Szarpnęła go za grzywę, ale było już za późno. Zachwiała się i z impetem runęła na ziemię. Na szczęście trafiła na rozmiękczoną wodą skarpe, przez co upadek nie był szczególnie bolesny. Wojowniczką potoczyła się do wody.

Przez chwilę leżała w bezruchu, nasłuchując, czy nie najeżdża pościg, po czym z wysiłkiem podniosła się na kolana. Na ścieżce dostrzegła jakiś błyszczący przedmiot, w którym, gdy odgarnęła z czoła włosy i przyjrzała się uważniej, rozpoznała swój hełm.

Nie poszła po niego, tak jak i nie wstała, by zobaczyć, jak radzą sobie jej wojownicy (*Pewnie już sobie nie radzą* – pomyślała). Zamiast tego wy dobyła sztylet, by poprzecinać paski zbroi. Zdjęła z siebie wszystko i naga zagłębiła się w tataraki. Nie ufała już ścieżkom ani drogom, a skrzydlaci przecież nie popłyną. Dotrze do Walhalli, tam umrze. Nigdzie indziej.

Obok niej drgnęła nagle mała łodyżka, a chwilę później w tym samym miejscu wynurzyła się ociekająca wodą głowa. W zębach trzymała nóż.



Cherubin Nathaniel zeskoczył z konia i odpowiadając niedbałym gestem na saluty wartowników, ruszył w głąb obozu. Szedł pewnym krokiem z niewielkim tobołkiem w garści, mijając brudne, obszarpane namioty przepełnione rannymi. Leżeli cicho na połamanych pryzkach otuleni we własne skrzydła uwalane w błocie i krwi. Zażywali spokojnego snu po ciężkiej, wyczerpującej walce.

Ci, którzy mieli więcej szczęścia, chronili swoje zabandażowane głowy czy ręce i oddawali się



ćwiczeniom, by następnym razem nie ulec wcześniej niż inni. Nathaniel podziwiał ich zawziętość. Szczęk mieczy milkł tylko na chwilę potrzebną, by oddać hołd mijającemu ich oficerowi, po czym znowu przybierał na sile wzbogacony świstem nierównych oddechów.

Rumor, jaki rozległ się przy wartowni, świadczył wyraźnie, że reszta oddziału Nathaniela dotarła już do obozu. Cherubin uśmiechnął się. *Nie ma to jak dobre wrażenie* – pomyślał, skręcając w prawo, w szeroką dróżkę między namiotem narad a jadalnią oficerów. Przed nim wznosił się już namiot wodza.

Nathaniel stanął przed wejściem i przywoławszy strażnika, wyrecytował formułę wejścia zawierającą dyskretnie zawołane hasło i status odbytej misji. Wartownik zniknął na chwilę we wnętrzu namiotu, po czym pojawił się ponownie, wpuszczając oficera do środka. Cherubin poprawił pancerz i wszedł.

Wnętrze namiotu było surowe jak wojna i tak jak ona pozbawione wygód. Na lewo stał pusty stojak na zbroje, a tuż obok wojskowa prycza. Wyglądała jak robiona na miarę dla olbrzyma. Obok niej na stołku ktoś pozostawił w nieładzie gliniane naczynia z resztkami posiłku.

W centrum znajdował się stół otoczony tuzinem nieociosanych pieńków, a po lewej na podwyższonej ławie rozłożona była wielka makieta pola bitwy. Nad nią właśnie pochylał się wódz.

Stał tyłem do wejścia, a trzy pary jego gigantycznych skrzydeł poruszały się delikatnie jakby muskane wiatrem. Pomiędzy nimi wisiał zamocowany wzdłuż kręgosłupa potężny miecz.

Oficer odchrząknął.

– Melduje się cherubin Nathaniel, archaniele – wyrecytował. – Z pierwszego...

Wódz wzniosł rękę, zmuszając go do zamilknięcia.

– Wiem, kim jesteś – odparł. Wziął z makiety niewielką figurkę i przestawił ją odrobinę dalej. – Gdyby było inaczej, nie wszedłbyś tu.

Cherubin zdusił w sobie przekleństwo. Jego dobre samopoczucie odpłynęło w jednej chwili, nadal miał jednak do zdania raport. Całkiem dobry raport. Godny pochwały. Może nie wszystko jeszcze stracone...

– Archaniele Michale! Oto głowa Walkirii. – Z dumą rozwinął tobolek i pokazał jego zawartość. – Pragnę zameldować, że misja została wykonana. Przy minimalnych stratach...

– Co?!

Wódz odwrócił się tak gwałtownie, że przewrócił skrzydłami makiety. Ława runęła z hukiem, niewielkie figurki rozsypały się po klepisku, wbijając swe maleńkie mieczyki w ziemię, a miniaturowa Walhalla pękła na dwoje.

Do środka wpadli dwaj wartownicy, ale widząc, że dowódca nie jest zagrożony, wycofali się pospiesznie. Archanioł ruszył powoli w stronę cherubina, a jego pięści na przemian zaciskały się i rozluźniały.

– Chcesz mi powiedzieć, że mamy straty?!

Nathaniel bezwiednie zrobił krok do tyłu.

– Doprawdy minimalne, panie, my... – Zamilkł, nie mogąc dodać już ani słowa.

Michał zatrzymał się krok od niego. Jego poznaczona bliznami twarz wyrażała teraz niczym niehamowaną wściekłość. Wytatuowany wokół lewego oka płomień zaczął mienić się czerwienią i żółcią, a zaciśnięte zęby ze świstem przepuszczały powietrze.

– Dostałeś dwie setki doborowych wojowników – wycedził – i cudowne miejsce na zasadzkę. Przeciwnik nieomal żaden, A TY MI MÓWISZ O STRATACH?!

Nathaniel zrobił maleńki kroczek do tyłu i z przerażeniem odkrył, że oto właśnie dotarł do ścianki namiotu. Wbił skrzydła w płótno.

– Oni mieli tę broń, panie – spróbował obrony raz jeszcze, prawie szeptem. – Tę, która...

Archanioł wziął głęboki oddech, po czym cofnął się o krok. Stał przez chwilę w milczeniu, jakby coś rozważając.

– Zostaniesz odprowadzony pod strażą do swojego namiotu – powiedział wreszcie już niemal spokojnym głosem. – Nie wolno ci go opuścić do czasu, gdy postanowię, co z tobą zrobić. Zgłoś się do wartowników i powiedz im, co rozkazałem. A teraz zabierz sobie ten wraży czerep i precz!

Pętał – myślał, patrząc na wychodzącego cherubina. – *Otaczają mnie tchórze i pętaki*. Ileż to odpraw poświęcił, by zdyskredytować mit o owej zabójczej broni, ową plotkę, która nieopatrznie wyrwała się z ust

strażników olbrzyma Aegira i rozlała po jego armii niczym szarańcza po polach Egiptu. Przeklęci! Jednym zdaniem zrobili więcej, niż wszystkie Alfy, Karły i Walkirie swymi mieczami czy toporami.

Przez chwilę przyglądał się leżącym na ziemi figurkom, po czym podniósł jedną z nich. Był to dobrze zbudowany wojownik o kruczoczarnej brodzie i opasce na oku. Na jego zbroi widniał emblemat wielkiego drzewa ze zwisającą z gałęzi szubienicą.

– Nie przejmuj się, Odynie – wyszeptał archanioł Michał, uśmiechając się krzywo. Płomień na jego twarzy znów rozgorzał. – To nie opóźni naszego spotkania.



Niemal w tym samym momencie, gdy Michał przemówił do trzymanej w dłoni figurki, siedzącego na tronie Odyna przeszył dreszcz.

Chwilę później zatrzęsło się wszystko.

Kufle z czaszek zagrzecotały na stołach, a z glinianych mis powypadały piszczelowe łyżki. Ogołoczone z broni stojaki runęły na rozciągnięte na podłodze zwierzęce skóry.

Stojący na środku sali bóg piorunów Thor położył na ziemi swój młot i stanąwszy w rozkroku, rozłożył ręce. Nawet on nie bez trudu utrzymał równowagę.

Wstrząsy ustały równie szybko, jak się rozpoczęły. Znów słychać było tylko dobiegające zza murów odgłosy bitwy, anielskie ryki tryumfu, gdy padały kolejne fortyfikacje, no i oczywiście równomierne uderzenia tarana we wrota Walhalli.

Bóg piorunów ponownie sięgnął po młot, podrzucił go, złapał lewą ręką i zakręcił młynka nad głową. Odyn skrzywił się z niesmakiem.

– Mogę wiedzieć, czemu ci tak wesoło, synu?

Thor wzruszył potężnymi ramionami.

– Trudno powiedzieć – odparł. – To chyba przez te wstrząsy. Przypomniały mi o starych czasach. Przez to wszystko niemal zapomniałem, że on tam jeszcze siedzi.

Odyn spojrzał na wiszące pod sufitem jezioro, dar morskiego olbrzyma Aegira. Tego samego, który wymyślił, że ze skrzydlatymi można się układać. Biedny głupiec!

– Za to ja cały czas pamiętam o Kłamacy – rzucił smutno władca Walhalli. – I czasem mam ochotę zejść tam i zakończyć jego podły żywot.

Pan grzmotów spojrzał na niego z wyrzutem.

– Nie możesz! On przecież...

– ...ma być przyczynkiem końca, wiem – ojciec wszedł mu w zdanie. – Tyle tylko, że oto właśnie nadszedł koniec, nie widzisz?!

Zza drzwi od strony komnat wyłoniła się głowa karła. Thor machnął ręką.

– Nie przeszkadzaj nam teraz, Głoinie.

Pokurcz posłusznie zniknął za drzwiami. Bóg przełożył młot za głowę i oparł na ramionach.

– Wiesz, że jest sposób, prawda? – zapytał. – Pamiętasz o sekretnych drzwiach w twojej komnacie i...

– Zamilcz! – niemal wrzasnął Odyn.

Bóg burzy westchnął.

– Więc o to chodzi – stwierdził. – Do niedawna myślałem, że masz plan, potem, że w rozpacz zapomniałeś. Ale ty pamiętasz. Tylko, ojciec... stchórzyłeś!

– Kazałem ci zamilknąć!

– Bo cóż mi zrobisz? – szydził dalej Thor. – Nie masz odwagi, by zrobić to, czego nikt z nas, ani ja, ani ta pochowana po komnatach hołota, zrobić nie możemy. Nie masz odwagi, by uratować Walhallę.

Odyn poderwał się i złapał stojącą obok tronu włócznię. Jego syn ani drgnął, tylko kilka maleńkich niebieskich błyskawic prześliznęło mu się po zbroi, a spoczywający na ramionach młot zamruczał cichutko. Zabrzmiało to jak odległy grzmot. Władca Asów usiadł i zakrył twarz.

– Nie wiesz, jak to jest – odezwał się cicho. – Gdy ostatni raz oddałem się Drzewu... To było coś potwornego. Ale wtedy wiedziałem, że mam szansę na powrót. A teraz... Ja nie wrócę. Trudno to pojąć

komuś, nad kim do tej pory wisiął tylko odległy Ragnarok.

Thor podszedł do tronu. Przez chwilę patrzył na Odyna z góry, po czym przyklęknął. Złożył młot pod stopy ojca i oddał mu pokłon.

– Wybacz mą zuchwałość – wyszeptał. – Oczywiście zrobisz jak uważasz. Tyle tylko, że Drzewo to nasza jedyna szansa, a jeśli... jeśli...

Brama zatrzeszczała, posypały się pierwsze drzazgi.

Odyn powoli podniósł się z tronu i zdjął hełm. Pusty oczodół, do tej pory ukryty za metalową przesłoną, nadał jego pooranej bliznami twarzy nowy, bardziej przerażający wyraz. Wyraz kogoś, kto nie ma już nic do stracenia.

– Potrzebuję kilku chwil przygotowań. Musisz mi dać czas, Thorze – powiedział, podając hełm synowi. Ten przyjął go i od razu założył, nie bacząc na ograniczającą widzenie przesłonę.

– Ile tylko zdołam – odparł bóg piorunów. Wstał i otrzepał kolana. Podniósł młot. – Cały czas naszego świata. Cały mój czas.



Poły namiotu wodza uniosły się i do środka wkroczył kolejny oficer, ostatni spośród wezwanych. Zasalutował archaniołowi i skinął siedzącym przy stole towarzyszom. Stojących za wodzem dwóch mrocznych, sześcioskrzydłych postaci odzianych w czarne togi wolał nie dostrzegać, zresztą zgodnie z przyjętym zwyczajem.

Udał też, że nie zauważa przewróconej makiety, choć jakieś wewnętrzne przekonanie kazało mu dotąd myśleć, że skutki trzęsienia ziemi ominą ten namiot. W jego głowie powstała nagle niepokojąca myśl, że skoro mylił się w tej kwestii...

– Usiądź tutaj, Mazariaszu – polecił archanioł, ustępując mu miejsca.

Oficer posłusznie usiadł przy stole, czując się wyróżniony tym zaszczytem, ale już po chwili zaklął w duchu na chropowatość i wąskość wskazanego pieńka. Znał długość odpraw – czekała go nieprzyjemna godzina.

Wódz złożył ręce na piersi, otulił się skrzydłami, po czym skrzywił usta w pozornie złośliwym, a tak naprawdę starannie wyćwiczonym uśmiechu.

– Pewnie dotarła już do was, podłe plotkary, wieść o niekompetencji Nathaniela – rzucił z przekąsem. – Wiem, że zwłaszcza Treazar lubuje się w podobnych historiach.

Wskazał głową na postawnego anioła o twarzy pucułowatego dziecka, który zawstydzony wzruszył ramionami. Pozostali ryknęli śmiechem.

– Nie wiem jednak, czy dotarła do was wiadomość, że wasz szanowny przyjaciel próbował tłumaczyć się ową rzekomo zabójczą dla nas bronią...

Pomruki śmiechu urwały się nagle. Archanioł westchnął.

– Niestety, tym razem pogłoski były prawdziwe. Przeszukaliśmy wszystkie zwłoki i dotarliśmy do tego.

Pokazał im trzymany w dłoni wisiołek. Było to oprawione w złoto oko.

– Oto i oko Odyna – wyjaśnił. – Dzięki niemu mógł on dzielić się ze swymi poddanymi własną mocą. Rzecz jasna, moc ta nie była tak wielka, by zaszkodzić mocniejszym aniołom jak wy, ale wystarczająca, by siać ferment wśród naszych żołnierzy. Ale teraz zdobyliśmy oko Odyna i...

– A co, jeśli wydlubie sobie i drugie? – wyrwał się Mazariasz. – Wydlubie, oprawi i ofiaruje na przykład olbrzymom? Przecież i bez tego giganty są niezwykle groźnym przeciwnikiem. A mając takie oko...

Jedna ze stojących za Michałem mrocznych postaci postąpiła krok do przodu i zdjęła kaptur. Naraz wszyscy ujrzeli przepiękną twarz archanioła Gabriela – boskiego posłańca i anioła śmierci. Poświata, jaka od niej biła, przy czarnym stroju milczącego dotąd wojownika, przywodziła na myśl rozżarzony do białości metal świecący wśród węgli. Tylko archanioł Michał wytrzymał ten widok doskonałego piękna i grozy. Uśmiechnął się z wyższością do swych podkomendnych.

– Nie ma potrzeby, by martwić się drugim okiem Odyna – zapewnił swym melodyjnym głosem Gabriel.

– Ani żadną inną częścią jego ciała. By coś mogło stać się artefaktem, musi najpierw być sławione w legendzie. Jak to oko na przykład. A na zbudowanie legendy wokół drugiego oka nie mają już czasu.

Michał powiódł wzrokiem po zebranych. Nie wyglądali na przekonanych do końca, ale wystarczająco, by spełniać rozkazy. A byli wszak o krok od zwycięstwa.

– To wszystko, co chciałem wam dziś powiedzieć. – Uśmiechnął się, widząc zdziwienie na twarzach swych oficerów.

– Możecie odejść – zezwolił, rozkładając skrzydła.

Aniołowie posłusznie wstali z pieńków i opuścili namiot. Michał odczekał jeszcze chwilę, po czym odwrócił się do Gabriela i drugiej mrocznej postaci.

– Znakomicie się spisaliście – pochwalił. – Przyznam, że nie wpadłbym na to.

Gabriel wzruszył ramionami.

– Cała zasługa należy się naszej informatorce – stwierdził. – To ona przekazuje nam takie genialne pomysły, prawda Rafaelu?

Mroczna postać skinęła głową, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Rafael cały czas jest z nią w kontakcie – wyjaśnił Gabriel. – Zbudował drogę do jej umysłu.

– Dokonał tego? – zdziwił się Michał.

– Tak, bracie – odpowiedział mu śmiech posłańca śmierci. – A wiesz, co ona robi w tej chwili? Właśnie...

Do namiotu wpadł strażnik wraz ze skrwawionym żołnierzem.

– Ważne wieści z pola bitwy, panie – wyskrzecztał wojownik. – Brama Walhalli ustąpiła.

– Doskonale! – zawołał Michał, poprawiając miecz.

Żołnierz pokręcił głową.

– Nie do końca, panie. Bo tak naprawdę to nam nie robi żadnej różnicy.



Na ławie stał kielich. Stał tam pełen, od kiedy pierwsze spośród anielskich oddziałów przysłoniły niebo swymi skrzydłami, i znajdujący się w nim miód nie smakował już tak jak w chwili, gdy został nalany. Po jego powierzchni pływały drobinki kurzu i kilka małych robaczków, musiał więc smakować podle. Mimo to Odyn wypił kielich do dna i nawet się nie skrzywił. Widok leżących obok lin i tej przeklętej pętli, która już za chwilę zaciśnie się na jego szyi, odbierając resztki oddechu, nadawał trunkowi dodatkowego posmaku. Zgniłej słodyczy życia.

Sięgnął po nóż i rozciął rzemienie przy napiersniku. Zdjął go powoli, by położyć obok sznurów. Podobnie uczynił z resztą zbroi.

Po chwili był już nagi. Rzucił przelotne spojrzenie ku zwierciadłu i widok wcale go nie ucieszył. Spoglądał w oczy zamkniętego w ciele siłacza starca. Zmęczonego życiem, ale i przerażonego śmiercią, zagubionego w świecie, który zmienił się w jednej chwili.

Widział w swej twarzy oblicze stojącego na wzgórzu głupca, który całe wieki temu zawarł pakt z Kłamcą. Na swoją zgubę...

Nagle zakręciło mu się w głowie. Zrobił kilka niepewnych kroków, a przed oczyma zatańczyły mu błękitne i zielone ogniki. Jego gardło, a potem cały przełyk zaczęły się rozgrzewać coraz mocniej i mocniej, aż w końcu zapłonęły żywym ogniem. Spróbował krzyknąć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Nogi ugięły się pod nim i padł na kolana. Wszystko, co widział, dostrzegał jakby przez mgłę.

I wtedy właśnie zza kotary wyłoniła się ona. Rozpoznał ją od razu. Sygin, żona Lokiego zwanego Kłamcą.

Odyn pamiętał, jak kpił z niej, gdy przysięgła zostać przy małżonku na wieczność, chroniąc jego twarz przed potwornym jadem wiszącego nad nim węża. Wtedy nie wierzył, że wytrzyma. Ale ona trwała na posterunku przez wszystkie te lata, stulecia, milenia, z pokorą znosząc docinki i wyzwiska. Nie opuściła Kłamcę nawet na moment. Aż do dziś.

– Bądź pozdrowiony, Odynie, królu szubienic – zadrwiła Sygin, pochylając się nad władcą Walhalli.

W jego oczach była teraz jedynie kształtną plamą bieli na tle bordowych zasłon. – Widzę, że nie czujesz się najlepiej.

Sapnął coś wściekle w odpowiedzi. Sygin roześmiała się.

– Łatwo było zgadnąć, że będziesz chciał odkupić Walhallę przez dobrowolne męczeństwo. Właściwie, widząc co się dzieje za murami, to rzeczywiście było jedyne wyjście. Tyle, że... ty nie umrzesz męczeńsko.

Wstała i podniosła z ławy pusty kielich.

– Nie smakowało ci jakoś inaczej? – zapytała. – Na przykład jadem? Ta podła żmija wisząca nad Lokim chłapie tym paskudztwem na lewo i prawo, więc kilka kropel mogło wpaść i do tego kielicha. Smutne, prawda?

Nikt nigdy nie otworzy już tych drzwi, nikt nie ujrzy już serca Drzewa i nie odda mu swego cierpienia. I nikt nie skorzysta już z jego potęgi.

Odyn zamknął oczy i z potwornym wysiłkiem wycharczał:

– Dlaczego?

Sygin pochyliła się jeszcze niżej i siłą uniosła mu powieki, zmuszając władcę Walhalli do spojrzenia jej prosto w oczy.

– Krzywd uczynionych rodzinie się nie wybacza – wyszeptwała. – Nigdy.

Wstała i przysiadłszy na krańcu stołu, czekała, aż Odyn umrze.



Z oddali widać było, że u wrót Walhalli wre zacięta walka. Gabriel co rusz dostrzegał szturmujące ku bramie oddziały, które przy wtórze błyskawic i grzmotów zamieniały się we wzlatujące ku niebu ciała zmasakrowanych aniołów. Słyszał też potworny ryk dobiegający jakby z przepastnych czeluści. To, że w rzeczywistości ów krzyk wydobywał się z płuc stojącego na progu twierdzy samotnego obrońcy, nie pocieszało go ani odrobinę.

Odwrócił się w stronę Michała. Wódz poprawiał ostatnie poluzowane paski napierśnika i przecierał szmatką matowe miejsca na zbroi. Płomień na jego twarzy mienił się czerwienią.

– Rafael przekazał mi właśnie, że Odyn nie stanowi już zagrożenia – rzucił Gabriel.

Michał skinął głową.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego nasz kochany patron dróg nie przekazuje mi tych wieści osobiście – powiedział. – Byłoby prościej i szybciej.

Anioł śmierci uśmiechnął się.

– Powiedział mi kiedyś, że boi się budować drogi do twego umysłu. Zbyt często spoglądasz w otchłań. Powiedział, że ona zwykle odpowiada tym samym.

– Kto? – wódz nie zrozumiał aluzji.

– Otchłań. Spogląda również w ciebie. A Rafael nie chce być przez nią podglądany. Poza tym to ja jestem jej posłańcem i to moja praca, nie?

Michał nie odpowiedział. Wydobył miecz spomiędzy skrzydeł i przypiął go do boku. Złożył dłonie i wyłamał palce.

– Dobra, jestem gotowy. Czas pogadać z tym odźwiernym.

Pewnym krokiem zszedł ze wzgórza i wkroczył między wojska. Te rozstały się przed nim w jednej chwili, tworząc szeroką drogę aż do samych wrót, gdzie czekał nieco zdezorientowany nagłą przerwą w walce uzbrojony w młot olbrzym.

Wódz szedł spokojnie. Nie reagował na wiwatujące wojska, na dźwięk trąb, które nagle rozbrzmiały nad polem bitwy. Właściwie jedynym, co widział, była rosnąca z każdym krokiem barczysta sylwetka na końcu drogi. Cień przysłaniający sobą światło zwycięstwa.

Gdy zbliżył się na jakieś dwadzieścia kroków, stanął. Wydobył miecz i unióśł go do góry.

– W imię Boga Wszchemogącego nakazuję ci ustąpić mi miejsca – przemówił. Jego twarz wykrzywiła się w pełnym drwiny uśmiechu. – Ustąp z drogi silniejszemu od siebie.

Thor, stojący dotąd z nisko pochyloną głową, teraz ją unióśł. Nawet zgarbiony górował nad

archaniołem, ale w owej chwili zdawał się przerastać go niemal dwukrotnie. Młot w lewej dłoni obrońcy Walhalli mruczał cicho niczym przychodząca z daleka zapowiedź wiosennej burzy.

Olbrzym zdjął z głowy hełm Odyna i zarzucił złocistą grzywą. Stał w rozroku i chwycił broń w obie ręce. Po trzonku przebiegły dwie błękitne błyskawice.

– Ty i ja, przybyszu – zawołał hardo. – Ty i ja.

Michał skinął głową i mocniej ścisnął rękojeść miecza. Głownia zapłonęła.

Przez chwilę przeciwnicy wpatrywali się w siebie, mierząc swoje siły, aż w końcu niemal równocześnie ruszyli do ataku.

Syn Odyna poruszał się z nieprawdopodobną wręcz szybkością. Zaczął od wykroku do przodu, chcąc lepiej wykonać błyskawiczny obrót. Z impetem uderzył w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była głowa wroga. Ten jednak zdążył się uchylić i wykorzystał sytuację, tnąc od dołu na udo olbrzyma. Miecz uderzył w metalową osłonę, nadtapiając ją nieco, ale samemu Thorowi nie czyniąc krzywdy. Bóg piorunów odskoczył do tyłu z wykrzywioną wściekle twarzą.

Stojący naprzeciw archanioł również cofnął się i bacznie obserwując przeciwnika, ruszył po łuku. Najpierw wykonał jeden krok w prawo, by sprawdzić, czy wzrok olbrzyma podąża w ślad za nim, a potem zaczął powoli przemieszczać się w lewo. Równocześnie z każdym poruszeniem niemal niezauważalnie zmniejszał dzielący ich dystans.

Thor nie dał się zwieść. Po trzecim kroku wiedział już, że jeśli dłużej będzie czekał, wejdzie w bliskie starcie... i zginie. Trzymając młot oburącz, powoli uniósł go do góry, jakby szykując się do potężnego uderzenia. Wygiął lekko całe ciało do tyłu, niby że bierze potężny zamach.

I nagle zabrał prawą rękę z trzonka. Trzymany w lewej ręce młot pomknął do tyłu, z każdą chwilą nabierając prędkości. Jednocześnie wojownik wyskoczył do przodu. Michał zareagował instynktownie, robiąc unik i ustawiając miecz do bloku. I o to właśnie chodziło bogu piorunów. Młot z pełnym impetem uderzył od dołu, bez trudu zbijając broń przeciwnika, a jego samego wyrzucając w górę. Archanioł wypuścił rękojeść z dłoni i poleciał do tyłu, po czym zarył skrzydłami w piach. Błyskawicznie owinął się nimi i odturlał na bok. Wycelowany w jego głowę młot uderzył w ziemię.

Michał potoczył się jeszcze kawałek i poderwał, rozwijając skrzydła. Poszukał wzrokiem miecza. Nie leżał daleko. Podszedł do niego i chwycił. Zakręcił młynka.

– Gramy dalej? – zapytał.

Thor wzruszył ramionami i uniósł swą broń.

Archanioł ruszył do przodu. Widział, jak przeciwnik szykuje się do kolejnego ataku. Nawet nie próbował przewidzieć, jakiego tym razem. Podczas całej tej walki stanowczo za dużo myślał.

Nie czekał ni chwili dłużej, tylko spiął się i skoczył... w górę. Zatrzepotał rozpostartymi skrzydłami, wzbudzając wokół tumany kurzu.

Syn Odyna zmrużył oczy i instynktownie cisnął młotem w stronę Michała. Tyle że jego już tam nie było, bo błyskawicznie składając skrzydła, runął na ziemię i gdy świetlisty obuch zawracał w powietrzu, zaatakował. Płonące ostrze pomknęło od dołu, by zanurzyć się w nie dość osłoniętej pachwinie olbrzyma. Thor ryknął z bólu i stracił równowagę. Własna broń, która właśnie w tym momencie wpadła mu do ręki, przecięła go ostatecznie. Bóg piorunów runął na ziemię.

Archanioł cofnął się i zaczekał, aż ciałem przeciwnika przestaną wstrząsać konwulsje. Dopiero wtedy wkroczył do Walhalli.

W rogu sali czekała już na niego Sygin. Niewiasta skłoniła się lekko, wyciągając przed siebie ręce, w których trzymała napierśnik Odyna.

– Witaj, panie – powiedziała.

Michał odpowiedział dyskretnym ukłonem i rozejrzał się po komnacie. Podobało mu się to surowe, ale niepozabawione wdzięku wnętrze, te stojaki na broń, teraz przewrócone, ale jeszcze niedawno pełne mieczy i toporów prezentujących się dumnie niczym najwspanialsze ozdoby. No i, rzecz jasna, tron władcy ze stojącą obok włócznią – symbolem władzy.

Chowając miecz podszedł do tronu. Chwycił włócznię i zakręcił nią nad głową. Wycelował w jeden z zastygłych w suficie wodorostów, wziął zamach, po czym... opuścił broń. Złapał ją oburącz i złamał na

kolanie.

– Chcę zobaczyć ciało – zażądał.

Sygin rzuciła napierśnik na ziemię i bez słowa ruszyła ku drzwiom prowadzącym do dalszych komnat. Michał ruszył za nią.

Dobrą chwilę trwało, zanim stojący u wrót aniołowie przemogli się i wkroczyli do środka. Najpierw tylko dwóch czy trzech śmiazków, a potem cała sala wypełniła się skrzydlatymi. Po sufit.



– Co ci za to obiecano? – zapytał Michał. Podniósł się znad zwłok i spojrzał Sygin prosto w oczy. Dziewczyna nie opuściła wzroku.

– Wolność i życie – odparła. – Dla mnie i mojego męża.

Archanioł skrzywił się z pogardą.

– Gdzież jest ten, który potrzebuje pomocy niewiasty, by zdobyć wolność? Czyżby kaleka?

– W pewnym sensie, panie – odparła. – Ostatnie stulecia spędził przywiązany do skały. Ale może miast opowiadać historię mego życia, pójdziemy umożliwić ci wypełnienie twojej części umowy?

Michał uważniej przyjrzał się bogini.

– Czy twój mąż mówił ci kiedyś, że jesteś niezwykła? – zapytał, ruszając do wyjścia.

Sygin uśmiechnęła się.

– Po kilka razy dziennie. Ale to Kłamca. Prawdziwy kowal kłamstw, jeśli idzie o ścisłość.



Głęboko w podziemiach Walhalli leżał nagi mężczyzna. Tkwił w bezruchu przywiązany do skały ścięgnami, żyłami i splecionymi w liny kawałkami skóry. Nad jego głową wisiał kielich przymocowany do wygiętego w pałak kija. Co jakiś czas wpadały do niego krople jadu leżącego na skale węża.

Twarcz mężczyzny, mimo iż w wielu miejscach wypalona i poznaczona zielonkawymi ranami, wykrzywiona była w szyderczym uśmiechu.

– A opowiadałem już – zapytał – jak pewnego razu byłem z kumplami w Egipcie? Idziemy sobie brzegiem Nilu i nagle jeden mówi do mnie: *Patrz, jaki fajny wąż*. Zacząłem się rozglądać, a on do mnie: *Stoisz mu na głowie, idioto*. Rzeczywiście stałem i do tego depnąłem tak niefortunnie, że biedakowi wylazły ślepie. Oczywiście wzięliśmy go ze sobą. Smakował jak kurczak, a pasek z jego skóry pewnie do dzisiaj leży gdzieś w szafie.

Wąż syknął i dwie krople wpadły do kielicha jedna po drugiej. Mężczyzna zarechotał.

– Jak chcesz, to opiszę ci dokładnie, jak wyglądał – zaproponował. – Może to jakaś twoja rodzina. Nie chcesz? A opowiadałem ci, jak to podobno ten kretyn Herkules udusił dwa węże w kołysce? Aegir mi opowiadał. Był podobno wtedy w tamtej okolicy. Czujesz? Niemowlak. Tamci dwaj zaczaili się na dzieciaka, a tu figa! Wiesz, co to jest figa, pełzaczu? A może wiesz, co to gównno? Wpełześ kiedyś w jakieś?

Rozległ się kolejny syk i kolejne dwie krople wpadły z pluskiem do kielicha. Rechot mężczyzny przeszedł w głośny śmiech, który wypełnił całą jaskinię.



– Co mu tak wesoło? – zapytał Michał, wkraczając na schody wiodące do podziemi.

Sygin wzruszyła ramionami.

– Zawsze był taki. Jak chce, potrafi być strasznie denerwujący.

– A potrafi inaczej?

Kolejne wzruszenie ramion. Ruszyli w dół, bogini jednak zatrzymała się gwałtownie już po kilku schodkach.



– Właśnie sobie przypomniałam, że zapomnieliśmy o czymś ważnym. Jego więzy są wzmocnione kłutwą i... Poczekaj tu, zaraz wrócę.

Podciągając suknię do pół łydki, wbiegła na górę i zniknęła za rogiem. Michał wy dobył miecz, rozpa lił głownię i używając broni jako pochodni, począł schodzić niżej.

Po pokonaniu blisko trzech setek schodów znalazł się przed ogromnymi dębowymi wrotami podobnymi nieco do bramy Walhalli. Lewe skrzydło było uchylone.

Archanioł zgasił ostrze miecza i delikatnie pchnął drzwi, prosząc w duchu, by nie skrzypnęły. Po cichu wśliznął się do oświetlonego dziwną błękitną poświatą wnętrza i omiół je wzrokiem, przywierając plecami do ściany.

Stał w jaskini wielkiej jak sala tronowa Pana, gdzie kiedyś z rąk Metatrona otrzymał władzę nad zastępami. Tyle że to pomieszczenie było dziełem nie boskiej mocy, ale samej natury. Nie miał co do tego wątpliwości, choć brakowało w niej skalnych sopli sterczących z podłoża groty niczym kły bestii, a ścian nie drążyły podziemne strumienie. Całość wyglądała raczej jak wyrzeźbiona wiatrem, potworną wichurą, która nieopatrznie wpadła pod ziemię i nie mogąc uciec, szarpała się w swym więzieniu przez stulecia. Może nawet milenia.

Na środku jaskini znajdowała się skała. Przywiązany do niej mężczyzna o potwornie zdeformowanej twarzy gadał do siebie, co jakiś czas wybuchając ochrypłym śmiechem.

Archanioł, upewniwszy się, że nikogo tam więcej nie ma, ponownie rozpa lił miecz i niemal bezgłośnie ruszył ku skale.

– Czy mam do czynienia z mężem Sygin? – zapytał, gdy ucichł kolejny wybuch śmiechu. Od skały dzieliły go raptem dwa kroki.

Przykuty odwrócił głowę i spojrzał Michałowi w oczy. Z bliska jego przeżarta jadem twarz wyglądała jeszcze koszmarniej.

– To zależy, kto pyta – odparł. – I jak jest szybki.

Archanioł w pierwszej chwili nie zrozumiał, co ma do tego szybkość, ale nagle zauważył jakiś ruch. Zareagował instynktownie, odchylając się do tyłu. Tuż przed nim śmignął z sykiem wężowy łeb. Michał błyskawicznie wyciągnął rękę, łapiąc gada tuż za głowę. Szarpnął.

– To było dobre, padalcu – wycodził, zbliżając trójkątny łeb do własnej twarzy i spoglądając w zimnokrwiste oczy. – Nie dość dobre, ale niezłe. Teraz jednak czas, byś przypomniał sobie słowa Pana.

Uniósł miecz.

– Ponieważ to uczyniłeś, bądź przeklęty wśród wszystkich zwierząt domowych i polnych; na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł po wszystkie dni twego istnienia. Taka jest wola Pana.

Zaskwierczało. Wąż wił się przez chwilę, próbował nawet owinąć cielsko wokół ręki archanioła, z każdą jednak chwilą tracił siły, a uścisk wodza zastępów nie zelżał ani na moment. Wręcz przeciwnie.

Gdy było już po wszystkim, Michał odrzucił ścierwo na bok. Płonący tatuaż na jego twarzy przygasł.

– Na czym to stanęliśmy? – zapytał przykutego do skały mężczyznę.

Więzień oblizał nerwowo spieczone wargi. Z rany na jego czole pociekł zielonożółty śluz.

– Przedstawiłem ci się jako Loki, mąż Sygin, i obiecałem, że nigdy z tobą nie zdrę. Czy to dobra odpowiedź?

Twarz archanioła wykrzywił uśmiech. Zamachnął się i uderzył mieczem w splecioną z żył linę krępującą prawą rękę Lokiego. Podobnie uczynił z resztą więzów.

Uwolniony niepewnie poruszył najpierw dłońią, później ramieniem, stopą... Zaskoczony sprawnością zastałych mięśni, szarpnął się, wybił, zrobił w powietrzu salto i po chwili stał już pewnie na własnych nogach. Podbiegł do ściany jaskini, dotknął jej, przykucnął. Każdemu ruchowi towarzyszyła ogromna, nietłumiona radość. Dopiero gdy przypadkowo przejechał ręką po twarzy, skrzywił się z niesmakiem. Spojrzał na swego wybawcę.

– Nie wygląda to dobrze, co? – zapytał.

Michał wzruszył ramionami.

– Wyżyjesz.

Loki przykucnął z twarzą ukrytą w dłoniach. Wyglądał, jakby płakał. Trwało to dłuższą chwilę i wódz



zamierzał już podejść i klepnąć go w ramię, gdy nagle tamten wstał, odsłaniając twarz. Na jego obliczu nie było śladu blizn ani nawet drobnych krost. Za to okryła je równo przystrzyżona blond broda, zaś nos, do tej pory bulwiasty, zmienił się w prosty i wąski, charakterystyczny dla ludów północy.

Na oczach archanioła odrastały przerzedzone włosy niedawnego więźnia, a osiągnąwszy odpowiednią długość, same zaplotły się w warkocz. Ponadto na nagim dotąd ciele Loki miał już skórzane spodnie i białą płócienną koszulę.

Rozłożył ręce niczym akrobata po udanym występie.

– A jak teraz? – zapytał.

Michał ponownie wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie, nie widać różnicy. A teraz chodźmy, twoja żona pewnie już na nas czeka.

Brodaty blondyn posłusznie ruszył ku wyjściu.

– Właśnie się zastanawiałem – rzucił naraz lekkim tonem – dlaczego nie przyszła po mnie.

– Mówiła coś o jakichś więzach wzmocnionych klątwą i czymś, co jest potrzebne, by... Ej, gdzie biegniesz?!

Ale Loki już go nie słyszał. Biegiem dopadł wrót i klnąc straszliwie, pognął schodami ku górze.



– Jak to się stało, Gabrieliu? – zapytał Michał, gdy tylko udało mu się dopchać do odzianego w czerń towarzysza. Nie było to łatwe. Zaaferowany tłum aniołów na nic nie zwracał uwagi. Nawet na swego wodza.

– Nie było mnie przy tym – odparł czarnowłosy posłaniec śmierci – ale według świadków, podbiegła do młota Thora i chciała go podnieść. I wtedy nastąpiło wyładowanie. Rozniosło w pył przeszło dwa tuziny naszych, a ona tylko upadła. Nawet nie jest martwa.

Michał odepchnął zasłaniającego mu widok anioła i przyjrzał się leżącej na ziemi Sygin. Była nieprzytomna. Tuż przy niej kucnął Loki, trzymając w dłoniach jej dłoń. Nie płakał, ale widać było, że cierpi.

Wódz zastępów pokręcił głową.

– Wydobrzeje? – ponownie zwrócił się do Gabriela.

– Kto wie, miała wiele szczęścia. Jest żywa i w jednym, nietłącym się kawałku. Może ktoś nad nią czuwa.

Z wnętrza Walhalli oddział aniołów wyprowadził grupę mieszkańców zamku. Na ich czele szły dwa stwory w zbrojach pałacowych strażników. Pomimo iż jeden z nich był olbrzymem, a drugi karłem, łączyło je zadziwiające podobieństwo. Zupełnie jakby takie same głowy zamocowano na skrajnie różnych ciałach.

Dostrzegłszy w tłumie wodza, prowadzący więźniów zatrzymali się.

– Co z nimi, panie? – zapytał jeden z nich.

Michał raz jeszcze spojrzął na Lokiego i Sygin.

– Zadbaj o nią, Gabrieliu – szepnął. – O niego również. Zasłużyła, byśmy dotrzyмали obietnicy.

Z całej siły wybił się w górę i tuż ponad anielskimi głowami rozłożył skrzydła. Zatrzepotał nimi, łapiąc równowagę.

– Zabijcie wszystkich – rozkazał. – A zamek spalcie do fundamentów. Jego czas minął.

Po młocie Thora przebiegła niewielka błyskawica. Z obucha ześliznęła się na trzonek i dotknąwszy ziemi, zniknęła w pyłe.



Armia była gotowa do wymarszu. Gdzieś tam stały jeszcze, co prawda, rozbite namioty, ale większość aniołów niecierpliwie wyczekiwała już tylko rozkazu opuszczenia obozu.

Gabriel i Michał stali na skalistym wzgórzu wpatrzni w zgliszcza Walhalli. Płonęła ponad tydzień jasnym, zielonkawym ogniem i zdawało się, że nigdy nie zgaśnie. Teraz była już tylko kupką popiołu

i stertą rozrzuconych w nieładzie kamieni.

– Mówisz, że kim jest? – zapytał Gabriel.

– Kłamcą – raz jeszcze powtórzył Michał. – Bogiem kłamstwa. A oprócz tego adoptowanym synem Odyna i znakomitym kowalem. No i zapowiedzią ich wersji Apokalipsy. Jej sprawcą, jeśli idzie o ścisłość.

Gabriel pokiwał głową.

– Słyszałem, co to Ragnarok. Mów dalej.

– Skazany za liczne przestępstwa – kontynuował swój wywód wódz zastępów – w tym za zabicie boskiego syna Baldra, został przywiązany do skały wnętrznościami własnego syna i... A właściwie to resztę już znasz.

– Znam, tylko nadal nie rozumiem, dlaczego mi o tym opowiadasz. I czemu on cię tak interesuje.

Michał wzruszył ramionami.

– To proste. Miałem nadzieję, że pomożesz mi znaleźć coś, co mogłoby go przekonać, żeby pracował dla nas. Teraz, kiedy już nie ma nawet cienia szansy, że jego żona się ocknie.

Anioł śmierci nie próbował nawet kryć zaskoczenia.

– A po co ci on? – zapytał. – Skoro tak bardzo chcesz dotrzymać obietnicy, to puść go wolno. Sam jeden nie stanowi zagrożenia, a poza tym możemy go mieć na oku. Nie widzę sensu, dlaczego ma się za nami ciągnąć.

Wódz przejechał ręką po tatuażu, jak zawsze gdy intensywnie się nad czymś zastanawiał.

– Nie o to chodzi. Myślałem raczej, że mógłby być powiewem świeżości w naszych szeregach – wyjaśnił. – Od lat stosujemy te same metody, a naszych agentów da się wyczuć z daleka. Potrzebujemy kogoś, kto będzie z nami, ale nie jednym z nas. Kogoś, kogo nie krępuje Prawo. Kto może kłamać i oszukiwać dla dobra sprawy. Naszej sprawy.

Zaskoczenie na twarzy Gabriela ustąpiło miejsca oburzeniu.

– Jak możesz tak myśleć? Mamy przecież zasady!

Michał przykucnął i podniósł z ziemi patyk. Nabazgrał na piasku chrześcijańską rybę, a po namyśle dorysował jej płetwę grzbietową jak u rekina. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym powiedział:

– I rzekł Pan: Któż z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień. – Podniósł głowę i jak zwykle bez lęku spojrzął w oczy anioła śmierci. – Czy to nie ty aby przekonywałeś mnie do tej historyjki o oku Odyna?

Gabriel chciał odpowiedzieć, ale wódz zastępów nie dał mu dojść do głosu.

– Trwa wojna, bracie, i jedyne, czego musimy pilnować, to tego, by jej nie przegrać – stwierdził. Wstał i położył rękę na ramieniu towarzysza. – Wiem, jak ważne są zasady. Jeżeli sami zaczniemy kłamać, nie będziemy różnili się niczym od Lucyfera i jego popleczników. Ale, jak miałeś okazję się przekonać, czasem kłamstwo to jedyna droga. Dlatego właśnie potrzebujemy Lokiego. I dlatego muszę znaleźć na niego sposób.

Urażony archanioł strącił rękę Michała, minął go i stanął na krawędzi skały. Na dole skrzydlata armia, teraz wielkości mrówek, uwijała się jak w ukropie, składając ostatnie z machin obłączniczych. W takim tempie było niemal pewne, że zdążą przed zmierzchem.

Gabriel podrapał się po głowie.

– Myślisz, że możemy mu zaufać? – zapytał, odwracając się.

Pooraną bliznami twarz wodza wykrzywił okrutny uśmiech.

– A kto tu mówi o zaufaniu, bracie?



Loki powoli zaczynał nienawidzić swojego przewodnika. Nie dość, że ów barczysty cherubin o twarzy dziecka nie odstępował go ani na krok, to jeszcze ani na chwilę nie przestawał gadać. Poruszył już chyba wszelkie możliwe tematy od kształtu chmur po leczenie gangreny. Obecnie był na etapie przedstawiania anielskiej hierarchii.

– I tak, podczas gdy Pan przemierza inne światy – tłumaczył pełen zaafierowania – najwyższą władzę pełnią Trony i Zwierzchności. Podobno mają po siedem i więcej par skrzydeł i wszyscy mówią jednym

głosem, ale kontakt z nimi ma tylko archanioł Rafael, a on nigdy się nie odzywa, więc pewności nie ma. Tak naprawdę to rządzą archaniołowie. Ich już poznałeś. To serafiny, czyli sześcioskrzydłe. Jest ich tylko trzech. Kiedyś było czterech, ale...

Loki przystanął i udał, że wyciąga coś z buta. W rzeczywistości z utęsknieniem zerknął w stronę żołnierzy siedzących wokół stołu zrobionego z kilku złożonych razem skrzynek. Ci aniołowie nie gadali o bzdurach, tylko grali w karty, śmiejąc się i popijając coś z metalowych kubków.

A cherubin kontynuował:

– Właściwie to nie do końca wiadomo, jak to było z tym Lucyferem, ale skoro zburzył spokój samego Pana, to musiał naprawdę zrobić coś złego. Bez obrazu, ale moim zdaniem, to miał on coś wspólnego z powstaniem całej tej pogańskiej hałasty. Tych wszystkich bogów i...

Kłamacz podniósł się z klęczek i nie odrywając oczu od karciarzy, zapytał:

– Dlaczego oni grają o pióra?

Przewodnik wzruszył ramionami.

– To jedyne, co przedstawia jakąś wartość. Nie dostają żołdu ani nic innego. Jedzenia mają pod dostatkiem, a inne potrzeby zaspokaja im śpiew chórów, naszej najniższej kasty. Właściwie to...

Loki uciszył go gestem ręki. Nie miał ochoty słuchać o kastach i podziałach, zwłaszcza gdy rodziła się okazja, by coś zarobić.

– Jaką wartość mają pióra?

Cherubin wahał się przez chwilę, ale w końcu machnąwszy ręką, zaczął tłumaczyć. Każde kolejne zdanie sprawiało, że poszerzał się uśmiech na twarzy Lokiego.

Gdzieś z oddali dobiegł ich dźwięk trąb ogłaszający wymarsz pierwszych zastępów.



Strażnik wkroczył do namiotu wodza.

– Przybył odmieniec – zameldował. – Prosi, by go przyjąć. Mówi, że to pilne i że będziesz wiedział, panie, o co chodzi.

Michał odłożył pudełko z figurkami na stos jemu podobnych. Cała reszta skromnego wyposażenia namiotu wodza już została wywieziona.

– Wpuść go – polecił archanioł.

Wartownik zasalutował i zniknął, a chwilę później wszedł Loki.

– Przychodzę z odpowiedzią – rzekł od progu. – Jeśli propozycja jest aktualna, mogę pracować w zamian za waszą puchatą walutę.

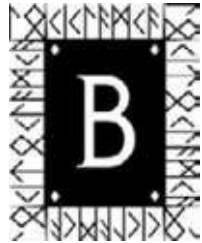
Archanioł uśmiechnął się i wyciągnął zza pazuchy zaklejoną kopertę. Podał ją gościowi.

– Od dziś masz się do mnie zwracać *wodzu*. A oto twoje pierwsze zadanie.

**Teraz...**

# Samobójca

## Praga



ohuslav Chrasticky wszedł do mieszkania i starannie zamknął za sobą drzwi. Oparł o ścianę wysłużoną aktówkę, zdjął buty i kurtkę, włożył kapcie.

– Więc to już – wyszeptał do pustych ścian. – Czas najwyższy. Stał przez chwilę w wąskim przedpokoju, karmiąc oczy każdym krzywo przyklejonym kawałkiem tapety, każdym uwypukleniem czy wgłębieniem ścian i wszystkimi innymi drobiazgami, z którymi nie zdążył się pomysłowo rozprawić. Prawie było mu żal. Prawie.

*To draństwo może się rozwijać w tobie latami – przypomniał sobie słowa Horáčka. – Ale jak już pojawią się pierwsze widoczne oznaki, to pójdzie lawinowo.*

Nie miał podstaw, by nie wierzyć przyjacielowi. Ufał mu, znał go jeszcze z dawnych czasów akademii, kiedy to obaj zapowiadali się na dobrych fachowców. Szli wtedy łeb w łeb, ale Horáček nie miał rodziców wywrotowców, za to całkiem solidne znajomości. I to on został lekarzem.

Pierwsze oznaki... A dziś rano Chrasticky omal się nie zadławił krwią. Lawina ruszyła.

Westchnął i podniósłszy walizeczkę, wszedł do salonu. Tak nazywał ten średniej wielkości, za to znakomicie nasłoneczniony pokój. Też nie był on pozbawiony wad, podobnie jak reszta mieszkania, tu jednak nie rzucały się w oczy. Przez lata pracował nad tym, by skrzętnie je zatuszować: a to ciekawą półeczką, a to imitacją chińskiej wazy czy wielkim kwietnikiem. Jak sam niejednokrotnie stwierdził, mieszkanie w bloku daje niesamowite możliwości rozwoju wyobraźni. I tylko jej.

Chrasticky usiadł w fotelu i zerknął z ukosa na wiszący nad oknem karnisz. Szczerze wątpił, by przedmiot podołał nowemu zadaniu. Nie zrażając się jednak przedwcześnie, otworzył aktówkę i wyjął z niej niewielkich rozmiarów książeczkę. Przewertował poźółkłe strony. To, czego szukał, było na dwudziestej. Węzeł mistrzowski. Stryczek.

Kolejny raz sięgnął do walizeczki i wyciągnął z niej dwa metry linki alpinistycznej. Przez chwilę ważył ją w rękach, po czym, podążając za wskazówkami zawartymi w książce, zabrał się do pracy.

Mimo pozornej prostoty zadania, wykonanie pełnych trzynastu splotów zajęło mu dobre półtorej godziny. Ale było warto. Takiego stryczka nie powstydziliby się profesjonalny kat z czasów Franciszka Józefa. Zadowolony z siebie Chrasticky wziął stołek i podszedł do okna. Stanął na krześle i starannie przywiązał wolny koniec liny do karnisza. Szarpnął kilka razy. Trzymało.

Zszedł z krzesła i przez chwilę przyglądał się swemu dziełu. Zachodzące za oknem słońce zabarwiło pętlę krwistą czerwienią. I wtem przed oczami stanęły mu te wszystkie dyndające ciała, które jako sanitariusz odcinał przez ostatnie dziesięć lat. Przypomniał mu się potworny smród, jaki im towarzyszył. Odór niekontrolowanych opróżnień. Prawie biegiem pognął do toalety.

Wrócił po dłuższej chwili, wycierając ręce w jednorazowy ręcznik. Włożył mokry papier do kieszeni, ostatni raz odwrócił się od okna, by spojrzeć na swój przytulnie urządzonej salonik i... znieruchomiał. W fotelu siedział szczupły, elegancko ubrany, długowłose blondyn z kieliszkiem czerwonego wina w prawej dłoni. Jego mina wyrażała ogromne znużenie.

– Co pan tu robi?! – wrzasnął oburzony gospodarz. – Jak pan tu wszedł?!

Nieznajomy zmrużył oczy i syknął, przykładając wolną dłoń do skroni.

– Nie wrzeszcz tak – poprosił. – I co to dla ciebie właściwie za różnica? Zamierzasz się przecież zabić.

Trafność spostrzeżenia była niepodważalna. Mimo to Chrasticky zaprotestował:

– Pan narusza moją prywatność! Proszę stąd natychmiast wyjść albo zaraz zadzwonię na policję.

Przybysz westchnął ciężko.

– Ciekaw jestem, co im powiesz. *Przepraszam, panie władzo, ale przyszedł do mnie jakiś facet i nie pozwala mi się powiesić?*

Gospodarz zwiesił głowę na znak kapitulacji.

– Bardzo pana proszę, niech pan wyjdzie. Czuję się trochę niezręcznie.

– I słusznie – stwierdził obcy. Upił łyk wina i kantem dłoni otarł wąsy. – Bardzo słusznie. Przez twoje głupie pomysły musiałem dziś wstać naprawdę cholernie wcześnie i tłuc się przez całe to pieprzone miasto w tę podłg, szarą dzielnicę. I to właśnie dziś, kiedy w końcu udało mi się z trudem wywalczyć parę dni wolnego.

– Jak to? – nie zrozumiał Chrasticky.

Nieznajomy machnął ręką.

– Nieważne – znów westchnął. – Mam obowiązek poinformować cię, że to, co zamierzasz zrobić, nie podoba się Niebu.

– Ale... Ja nie wierzę w Boga.

– A kto tu mówi o Bogu? – Przybysz wywrócił oczami, pokazując, jak bardzo lubi prowadzić takie rozmowy. – Wyrażam tylko opinię Nieba. Jako ogółu.

– W niebo też nie wierzę – zaparł się gospodarz.

– Jakoś nieszczególnie przeszkadza mu to istnieć. Czego dowodem jest moja tutaj obecność.

Na twarzy Chrastickiego zagościło bezbrzeżne zdumienie.

– Jesteś... aniołem?

– Pewnie – zakpił nieznajomy – tylko skrzydła zostawiłem w przedpokoju, by nie nabłócić.

– Nie rozumiem – powiedział zgodnie z prawdą niedoszły samobójca.

Dopiero teraz, gdy minęło pierwsze zaskoczenie, dostrzegł, w jak kiepskim stanie jest jego gość. Owszem, na pierwszy rzut oka wyglądał całkiem nieźle, ale Chrasticky, który każdego dnia musiał patrzeć na umęczone kacem twarze alkoholików, nie dał się zwieść. Stan przybysza był gorszy niż doktora Puchty po piątkowej partyjce szachów, gdzie rolę pionków pełniły zazwyczaj literatki czystej. Z całą pewnością ciągnął ostatkiem sił.

Głośne westchnienie i mina nieznajomego potwierdzały te przypuszczenia. Widać było, że wcale nie ma ochoty niczego objaśniać. Mimo to zaczął. Mówił powoli, jakby tłumaczył coś dziecku. Albo idiotcie.

– Samobójstwo jest uznawane za jedyny grzech niewybaczalny. Ci, którzy się na nie zdecydowali, z miejsca zasilają armię Lucyfera. A to, z jasnych przyczyn, nie podoba się Niebu. Jestem tu po to, by zapobiegać takim sytuacjom. Loki, gość od brudnej roboty. To właśnie ja... I nie musisz klaskać.

Chrasticky milczał, walcząc z natłokiem myśli. W końcu potrząsnął głową.

– W piekło też nie wierzę – powiedział.

– Wszyscy mówicie to samo – odparł zniecierpliwiony Loki. Z cierpiętniczą miną podniósł się z fotela.

– Niemal dokładnie, słowo w słowo. Aż się czasem rzygać chce. Zdziwiłbym się, gdybyś powiedział coś innego. Ale to i tak nic by oczywiście nie zmieniło.

W jego lewej dłoni znikąd pojawił się pistolet z tłumikiem. Strzelił dwa razy. W głowę i pierś. Chrasticky zachwiał się i poleciał na plecy.

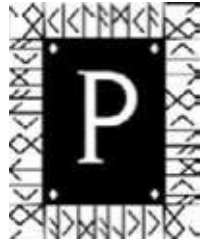
Loki niespiesznie dopił wino, kieliszek odstawił na stół, ale po chwili namysłu zdecydował się go przewrócić. *Dla dramatyizmu* – pomyślał. Wstał i ruszył ku wyjściu, po drodze chowając broń.

Gdy był już na parkingu, wyciągnął przed siebie rękę. Białe pióro zawirowało tuż przed jego twarzą i wylądowało dokładnie na dłoni.

## Krew Baranka

### Egipt

#### Czas panowania Ramzesa II



omiędzy glinianymi domostwami zaległa mgła. W kraju walczącym o każdą kroplę wody, w którym wystarczyło oddalić się ledwie kilkanaście kroków od Nilu, by poczuć między zębami suchy piach pustyni, było to nad wyraz niepokojące.

Wielu zastanawiało się, czy to nie bogini wilgoci Tefnut, która zstępując na ziemię, pragnęła uczcić swe zaślubiny z Szu, panem powietrza.

*A może wcale nie ona – szeptali inni – tylko Horus, szalony syn Ozyrysa, dawnego pana Nilu. Opętany przez ojca pragnącego odzyskać swą dawną domenę, sokoli bóg obudził rzekę i wznosił ją pod niebo.*

Niespotykane zjawisko wzbudzało lęk, a dziwactwa nocy wcale się na tym nie skończyły.

Cisza. Nie licząc mgły, ona właśnie przerażała najbardziej. Z żadnej chaty, z żadnego obejścia, nieważne, czy egipskiego, czy hebrajskiego, nie dobiegał nawet najcichszy szelest. Nie szemrały zawieszono u wejść talizmany ani wiatr nie poruszał kotar. Nie postękiwali schorowani starcy, nie chrapali zmęczeni pracą młodzi. Nawet bydło, w uboższych zagrodach zwykle od zmroku do świtu ryczące z głodu, tej nocy bało się poruszyć, by nie zaszeleściła rozsypiana na ziemi wyściółka.

Nagle, nie wiadomo skąd, na niebie zaczęły pojawiać się chmury. Wyglądało to, jakby bogini Nut po kolei gasiła gwiazdy, a zdmuchnięte przez nią płomyki zmieniały się w błyskawicznie rosnące obłoki smolistego dymu. Już po chwili całe niebo wypełnione było czarnym oparem. I wtedy właśnie pojawił się on.

Gdyby w inną noc lub inny dzień dostrzegł go któryś z hebrajskich niewolników, pewnie uznałby, że to nowy szaleniec pokroju Mojżesza. Podobnie jak tamten mężczyzna szedł bowiem boso, wspierając się na sękatym kosturze, odziany w zgrzebną szatę z kapturem. Przez ramię miał przewieszoną pasterską torbę. Był co prawda dużo większy niż prorok, ale czy każdy szaleniec musi być wychudzonym pustelnikiem?

Jednak to nie wszystko. Lewa część twarzy wędrowca... płonęła. Pomarańczowe języki ognia wychylały się raz po raz, szarpiąc drapieżnie materiał kaptura. Czasem obejmowały nagle całą twarz, innym razem znikwały niemal całkowicie, pozostawiając jedynie dwa maleńkie ogniki w przymrużonych oczach.

Poza tym, co wbrew pozorom nie było wcale łatwo zauważalne, miał skrzydła. I to aż sześć. Były jednak tak delikatne, że drżąc, wyglądały jak podążające za mężczyzną kłęby mgły.

Nagle wędrowiec przystanął. Energicznym ruchem odrzucił kostur, pochylił się i nabrał w dłoń piasku. Powąchał.

Egipska ziemia pachniała nieprzelaną jeszcze krwią, niespełnionym przerażeniem. Bezsensownym uporem i złowrogą obietnicą. Był na miejscu.

– I powiedział Pan – wyszeptał, podnosząc się – wszystko pierworodne Egiptu, od pierworodnego syna faraona, który siedzi na swym tronie, aż do pierworodnego tego, który był zamknięty w więzieniu...

Uniósł głowę ku niebu.

– Na pewno tego właśnie chcemy? – zapytał. Nie czekając na odpowiedź, uniósł w górę ręce i wyrecytował formułę.

W jednej chwili zniknęła gdzieś zgrzebna szata, a skrzydła stały się już dobrze widoczne jak u ptaka. W ręce wędrowca, który, stojąc nago na środku drogi, wyglądał jak opiewany w greckich pieśniach młody bóg, znikąd pojawił się miecz. Mężczyzna przyjrzał mu się krytycznie, po czym odrzucił obok kostura.

– Nie tym razem, przyjacielu – wyszeptał, krzywiąc się w uśmiechu. Przewiesił przez ramię swą podróżną torbę. – Ale nie martw się. Wrócę po ciebie. Jeszcze mi się przydasz.

Trupio błady księżyc przełamał opór chmur i na krótki moment oświetlił miasto. Gdy na powrót

zniknął, na drodze pozostał tylko miecz i kostur.



Zwolnił uścisk, ale nie puścił szyi chłopca, dopóki nie upewnił się, że ten nie żyje. Kilka domów wcześniej odkrył już ze zdumieniem, że jeśli dusza tylko wychyli swój zdziwiony łeb, to jest jeszcze zdolna wrócić. Więc i on musiał się wracać i poprawiać. Teraz czekał już cierpliwie, aż dusza wylezie cała, po czym odsyłał ją, skąd przyszła.

– No dalej, pierworodna cholero – wycedził, wciskając kciuk w krtań dzieciaka. – Nie mam całej nocy.

W końcu wyłoniła się. Jak wszystkie w tej części świata miała niebieską poświatę, barwę zmarnowanej okazji. Tak wyglądały dusze tych, którzy mieli sposobność poznać Pana, ale z niej nie skorzystali. Potępiency inaczej.

Dusza rozejrzała się niepewnie po izbie. Zobaczywszy anioła nad łóżkiem, wydała z siebie ciche westchnienie i... zniknęła.

Odsunął się od zwłok i po cichu ruszył ku wyjściu. Poglądził jeszcze po twarzy śpiącą obok rodziców maleńką siostrę chłopca, nim zniknął za kotarą. Dziewczynka ssała kciuk, śniąc o skrzydlatych postaciach czuwających nad jej snem.

## *Południowa Hiszpania*

### *Współcześnie*

Limuzyna stanęła przed hotelem. Ubrany w czerwony uniform odźwierny wyprężył się jak struna i już miał ruszyć otworzyć drzwi, gdy nagle ktoś złapał go za ramię.

– Przecież mówiłem ci, Miguel – rozległ się cichy szept portiera Alberta – im masz nie otwierać. No, chyba że chcesz, by cię podziurawiły pingwiny.

Miguel nie chciał. Był tego pewien od chwili, gdy pierwsze z nich, uzbrojone w karabiny maszynowe przewieszane na paskach, pojawiły się na terenie hotelu. Pingwiny, czyli agenci ochrony, nazwani tak przez Alberta z powodu ich ubioru: czarnych marynarek na białych T-shirtach. Zdaniem Miguela nie była to dobra nazwa, brzmiała tak jakoś mało oryginalnie, nieświeżo. Zupełnie jak oddech portiera.

No i oczywiście, co to za pingwiny, skoro wszyscy pochodzili z Egipskiej Agencji Ochrony “Sfinks”? Już bardziej pasowałyby ibisy, one przynajmniej żyły w Egipcie. Nie było wątpliwości. Stary Albert kretyniał coraz bardziej.

Mimo to Miguel postanowił go posłuchać i nie ruszył się z miejsca, choć stojąca na podjeździe limuzyna drażniła go jak uparta myśl o niewyłączonym żelazku. Aż się skręcał, by wsiąść i przejechać choćby te kilkanaście metrów na parking.

Siedzący w samochodzie chłopiec, ubrany w idealnie skrojony garnitur i przepasany czerwono-białą szarfą, też nie wyglądał na zadowolonego.

– Naprawdę nie widzę sensu mojej tu obecności, tato – powiedział już chyba po raz dziesiąty tego dnia.

Siedzący naprzeciwko mężczyzna, ubrany niemal identycznie, przejechał ręką po czole.

– Mówiłem ci już, że jako mój syn powinienes pokazywać się na jak największej ilości imprez. Tytuł książęcy zobowiązuje.

– Wiem, wiem – przerwał chłopiec. – Rzeczywiście, już to mówiłeś. I nawet się z tobą zgodziłem, pamiętasz? Tyle że mógłbym być gdzieś, gdzie moja obecność na coś by się przydała. Nadal nie widzę sensu organizowania szczytu dla młodych następców tronów. O czym mamy rozmawiać? O gospodarce?

– Młody człowieku, przerwał mi – odezwał się oburzony ojciec, odczekawszy jednak, aż syn skończy mówić. Jednak młody książę kontynuował grzecznym, choć stanowczym tonem:



– Nie licząc tego z Anglii, będę tu najstarszy. A mam dopiero trzynaście lat. Skazujesz mnie na tydzień w towarzystwie dzieciaków.

Mężczyzna pokręcił tylko głową i wcisnął przycisk interkomu.

– Przygotujcie się – powiedział. – Księżę wychodzi.

Spojrzał synowi prosto w oczy.

– I tak powinienes się cieszyć. W średniowieczu już dawno byłbyś zaręczony. Idź i spraw, by Monako miało powody do dumy.

– Dobrze – burknął chłopiec, gramoląc się z miejsca. *Zmienię pieluchę następcy tronu Danii. To ci dopiero będzie jazda* – cisnęło mu się jeszcze na usta, ale tę uwagę zatrzymał już dla siebie.

Otworzył drzwi i wysiadł. Czterech ochroniarzy, dwóch jego prywatnych i dwóch potężnych Egipcjan, od razu zasłoniło go ze wszystkich stron. Młody książę dotąd nie zastanawiał się, z czego śmieją się takie draby po pracy, gdy zostają we własnym gronie. Ale teraz pomyślał ze wstydem, że najbliższe dni dostarczą im dowcipów na cały rok.



Większość książąt zdążyła się już zadomowić. Niemowlęta na rękach nianiek gaworzyły bądź popłakiwały z cicha. Kilku brzdąców dostępowało właśnie przyjemności przewijania na specjalnie podstawionych stoliczkach. Nieco dalej dwu-, trzy – i czterolatki pod baczными spojrzeniami opiekunek okupowały stojącą w holu fontannę, przemieniając ją w staw pełen gumowych kaczek i żółwi.

Grupa nieco starszych dzieci, dowodzonych przez pierworodnego cesarskiej dynastii Chin, parodiowała swych ojców, dumnie wkraczając na schody tylko po to, by zaraz zjechać po starannie wypolerowanej poręczy.

Księżę Monako zatrzymał się w drzwiach. *Byłoby ciekawie, gdyby teraz wpadła tu jakaś telewizja* – pomyślał i westchnął ciężko.

– Vincent? – rozległo się nagle gdzieś z głębi holu. Księżę rozejrzał się. Machał do niego wysoki chłopak siedzący na kanapie w rogu sali. Choć obaj mieli po trzynaście lat, tamten wyglądał nawet na piętnaście. Jedyne w całej tej menażerii prezentował poziom godny księcia. Mimo to Monakijczyk wcale nie miał ochoty do niego podchodzić. Wolałby pobawić się z maluchami przy brodziku.

Siedzący na kanapie zawołał raz jeszcze i książę wiedział już doskonale, że nie może odmówić. Kiedyś wszak obaj będą udawać, że rządzą, a wtedy głupio byłoby mieć wroga w Wielkiej Brytanii. Odmachał i ruszył w stronę Anglika.

– Odnieście moje rzeczy do apartamentu – polecił osobistej ochronie. – A potem jesteście wolni. Tu i tak jest więcej agentów, niż w życiu widziałem. Nic mi nie grozi.

*Z wyjątkiem śmierci z nudów przy tym Angolu* – dodał w myśli. Przeszedł przez hol i stanął przy kanapie.

Księżę Anglii wstał.

– Witaj, Vincent – powiedział, wyciągając rękę. – Nareszcie ktoś w normalnym wieku.

– Witaj, Edwardzie – Monakijczyk odwzajemnił uścisk. – Długo już tu jesteś?

– Nieszczęśliwie. Ale wystarczająco, by padać z nudów. Pociesza mnie tylko fakt, że zaczynające się wieczorem spotkanie naszych ojców też jest tylko pokazówką odciągającą świat od prawdziwych problemów. Właściwie to, tak jak oni, jesteśmy jedynie marionetkami.

Księżę Vincent pokiwał głową.

– Tyle że na ich szczycie nikt pewnie nie zjeżdża po poręczach. Usiądziemy?

Gdyby słyszał go teraz ojciec, z pewnością byłby dumny. W głosie chłopca nie pojawiła się najmniejsza nawet nutka niechęci. Nic, co zdradzałoby, że ostatnie słowo wypowieda całkowicie wbrew sobie. Z pewnością szanowny rodzic powiedziałby nawet, że jego latorośl to urodzony dyplomata.

Anglik usiadł i sięgnął ręką w stronę wypełnionej wysokimi szklankami tacy.

– Lemoniada – wyjaśnił. – Dobrze schłodzona. Widać lodówki działają im lepiej niż klimatyzacja. A propos, widziałeś gdzieś gospodarza?

Monakijczyk także sięgnął po szklanę i zajął miejsce w fotelu naprzeciwko.

– Pytasz o następcę tronu Hiszpanii? – zapytał z przekąsem. – Ostatnio zjeżdżał po poręczy i z tego co widziałem, wielka kula u jej zwieńczenia dość boleśnie zagroziła ciągłości dynastii.

Obaj zachichotali. Mało arystokratycznie, ale za to szczerze.

– Ciekawe, czy będzie jeszcze kulał podczas wieczornego bankietu – zastanawiał się książę Edward. – Podobno tańczy pierwszy taniec.

Vincent upił lemoniady i po raz pierwszy popatrzył na angielskiego następcę z sympatią. Wcale nie wydawał się taki zły, gdy wokół nie było całej tej głupiej otoczki etykiety i nadętej arystokracji. Więcej, sprawiał wrażenie całkiem niezłego gościa.

– Czy to prawda – zagadnął Monakijczyk – że na bankiecie mają być jakieś modelki?

Edward ze smutkiem pokręcił głową.

– Był podobno taki pomysł, żeby każdy z nas miał partnerkę – wyjaśnił. – Miało to dodawać powagi całości imprezy. Ale siłą rzeczy koncepcja upadła, gdy ktoś w końcu przypomniał sobie, że większość owych dziewczyn musiałaby miast damami do towarzystwa zostać niańkami. Więc bawić się będziemy w swoim gronie. No i w gronie ochroniarzy. Widziałeś, ilu ich tu jest?

– Nie dało się nie zauważyć – przyznał Vincent.

– Portier nazywa ich pingwinami, ale moim zdaniem to kretynska nazwa, bo cała ta banda pochodzi z Egiptu. Podobno są najlepsi.

Monakijczyk skrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

– Albo najtańsi. I ciekaw jestem, z kim Hiszpan będzie tańczył.

Kolejny raz roześmiali się niemal równocześnie. W cień odeszły wszelkie animozje i rozmowa trwała jeszcze przez dwie godziny. Aż do momentu, gdy ktoś z obsługi przypomniał im uprzejmie, że wkrótce rozpocznie się bankiet.



Sala bankietowa wyglądała należycie. Ściany, wyłożone białym marmurem, specjalnie na tę okazję obwieszono ogromnymi, jedwabnymi flagami z herbem każdego z gości, a otoczony kolumnadą podest dla orkiestry ozdobiono laurem i złotymi nićmi. Pod sufitem skrzyły się kryształowe żyrandole, a na ułożonej na podłodze mozaice czarno-srebrny torreador tryumfował nad czerwono-złotym bykiem. Ustawione w podkowę stoły ugięły się pod półmiskami owoców i drobnych przekąsek. W kilku miejscach ustawiono też rzeźbione w lodzie syreny, które mimo gorąca ani myślały topnieć.

Wzdłuż ścian stali ochroniarze. Prawie setka.

Największy zachwyt wzbudziły jednak wwieszone z chwilą rozpoczęcia zabawy posągi ze stiuku. Przedstawiały każdego z książąt w pozach charakterystycznych dla greckich bogów. Dzięki temu nawet wizerunki niemowlaków wyglądały dostojnie i groźnie.

Oczywiście sami najmłodszy, uspokajani właśnie przez niańki, nie potrafili docenić artystycznego kunsztu, ale starsi nie mogli się powstrzymać, by nie dotknąć swych nieruchomych sobowtórów. I nazachwycać się wspaniale oddanymi liniami mięśni i dyskretnie pozbawionymi pryszczycy twarzami.

Właściciel hotelu, dystygowany Egipcjanin w średnim wieku, powitał wszystkich i życzył im miłej zabawy, zapewniając przy okazji, że tak on, jak i cała obsługa, są do całkowitej dyspozycji książąt. Potem wyszedł, a do sali wkroczyła trzydziestoosobowa orkiestra. Ustawili się i niemal z miejsca zaczęli grać "Yesterday".

Edward zbliżył się do Vincenta i szturchnął go dyskretnie.

– Zauważyłeś coś dziwnego? – zapytał.

Monakijczyk wzruszył ramionami.

– Oprócz Beatlesów na trąbki i skrzypce?

– Nie ma okien – wyjaśnił angielski książę. – W całej sali nie ma ani jednego okna. Sala bankietowa bez okien?

– Pewnie zasłonili.

– Czym? – Edward nie był przekonany. – Tymi flagami? Może na długość by wystarczyły, ale na szerokość... Są za wąskie.

W drzwiach pojawili się ostatni spóźnialscy. Jedyna prócz opiekunek dziewczyna, która umiała już sama chodzić – dwunastoletnia księżniczka Liechtensteinu, i przyszedł król Portugalii, rok od niej młodszy Xavier. Według plotek, w zeszłym roku zaręczyli się w tajemnicy przed rodzicami, a teraz wyglądali już jak chodząca parodia starego małżeństwa. Zaszczycili ukłonem wszystkich zebranych i chwytając się za ręce, wkroczyli dumnie do sali.

W ślad za nimi wszedł właściciel hotelu. Uśmiechał się szeroko. Stał przy orkiestrze i z ukrytego za kolumną statywu wyjął bezprzewodowy mikrofon. Przyciskając go do piersi, czekał ostatniego taktu.

– Dziękujemy bardzo naszej wspaniałej orkiestrze – powiedział, gdy przebrzmiały oklaski. – To był naprawdę cudowny kawałek. Zanim jednak, szanowna publiczności, usłyszymy kolejny szlagier w arcyciekawej aranżacji, obsługa hotelu przygotowała dla was małe przedstawienie.

Kilku agentów ochrony wystąpiło z szeregów i wyciągnęło na środek sali posągi książąt i księżniczek. Ustawili je w dwóch szeregach frontem do zebranych. Vincent zauważył, że stojąca za figurami orkiestra pospiesznie zabiera instrumenty i staje przy ścianach.

Właściciel hotelu cofnął się do drzwi i z niegasnącym uśmiechem dokonał prezentacji.

– Szanowni goście, oto przed wami grupa teatralna “Sfinks” w przedstawieniu pod tytułem “Najczarniejszy scenariusz”. Proszę o uwagę.

Ochroniarze zasłonili stiukowych książąt i księżniczek. Nawet Edward, choć całkiem wysoki, niewiele widział. Tylko że lufy krótkich karabinów powędrowały w górę.

– Ognia! – wrzasnął właściciel i salę wypełnił huk. Wszyscy goście odruchowo przykucnęli, łapiąc się za uszy.

Gdy strzały ucichły, z posągów pozostały jedynie sterty różnokształtnych kamieni. Ochroniarze opuścili broń i odwrócili się przodem do przerażonej publiczności. Właściciel zaklaskał.

– Czyż to nie było wspaniałe? – zapytał pierwszych podnoszących się. – Cóż za wycucie chwili, szanowni państwo, coż za wirtuozeria w operowaniu dźwiękiem. No i ten efekt końcowy.

Wskazał ręką na pozostałości rzeźb i pokręcił głową z uznaniem.

– Cóż o tym sądzicie? – powiódł wzrokiem po dziecięcych twarzach. Jego spojrzenie zatrzymało się na Edwardzie. – Cóż o tym myśli mój ulubiony książę?

Anglik hardo uniósł głowę.

– Myślę, że to polityczna prowokacja – wycedził przez zęby. – I nie zamierzam odpowiadać na nią w ża...

Właściciel aż pisnął z radości.

– Jakże się cieszę – powiedział głośno, odkładając mikrofon. – Następca brytyjskiego tronu też postanowił wziąć udział w naszej improwizacji.

Błyskawicznym ruchem wy dobył broń z zamocowanej pod pachą kabury i wycelował prosto w głowę księcia.

– Na to też nie zamierzasz odpowiadać w żaden sposób? – wyszeptał.

Edward milczał. Stał dumnie wyprostowany, ogniskując spojrzenie nieco powyżej głowy hotelarza. Ten wzruszył ramionami.

– No skoro tak... – westchnął. I strzelił.

Kula przeszła na wylot przez książęcą głowę i trafiła w stojącą za nim niańkę. Dziewczyna, łapiąc się za rozoraną rękę, wrzasnęła ile sił w płucach i upadła na ziemię. Stojący najbliżej niej ochroniarz brutalnie podniósł ją za zdrowe ramię. Spojrzał na właściciela hotelu z niemym pytaniem w oczach.

– Zostaw, niech sobie żyje – polecił tamten, podchodząc do ciała księcia. Z całej siły kopnął zwłoki. –

To za te wszystkie lata okupowania Egiptu, królewski pomiole. I za egipskie trupy na dnie waszego kanału.

Na sali zapanowała absolutna cisza. Niańki najmłodszych zatykały swoim podopiecznym usta tak gorliwie, że omal ich nie dusiły. Starsi również, choć wielu zbierało się na płacz, nie wydawali z siebie żadnych dźwięków. Prócz głębokich oddechów, rzecz jasna. Każdy łapał powietrze, tak jakby chciał zrobić

sobie zapas na później.

Na polecenie właściciela, orkiestra wróciła na swoje miejsce i zaczęła grać "Wonderful Life".



Gdy około dwudziestej trzeciej Stevenson dotarł na miejsce, wszędzie roilo się już od miejscowej policji. Na uboczu stało kilka wozów antyterrorystów, a polankę zajmowały dwa helikoptery. Wszystko hiszpańskie.

*Scotland Yard znowu pierwszy* – pomyślał z uśmiechem Stevenson.

Zatrzymał samochód i przejrzał się w lusterku. Z dwudniowym zarostem, podkrążonymi oczami i rozczochranymi siwymi włosami wyglądał nawet starzej niż się czuł. A czuł się cholernie staro.

– Czas pomyśleć o jakimś wolnym – powiedział, odpinając pasy i poprawiając kaburę z trzydziestką ósemką zamocowaną przy pasku. – Dość się już wysłużyłeś w służbie Jej Królewskiej Mości.

Przyczesał włosy i raz jeszcze skrzywił twarz w uśmiechu. Wysiadł.

Chwilę trwało, zanim znalazł kogoś, kto na tyle znał angielski, by można się było z nim dogadać. Przez kolejny kwadrans razem szukali dowódcy akcji.

W końcu znaleźli go przy wozie antyterrorystów dyskutującego zawzięcie z ich oficerem.

Barczysty wąsacz ubrany w kamizelkę cedził słowa, miętoląc w rękach kominiarkę. Negocjator był niemal pewien, że mówi coś w stylu: *Moi ludzie się niecierpliwią. Powinniśmy wchodzić. Zawsze gdy już się zjawiali, prędzej czy później chcieli sobie postrzelać.*

Dowódca akcji, opalony blondyn ubrany w kolorową koszulę i biały garnitur, wyglądał na dwudziestoosmio-, może trzydziestoletnią gwiazdę hiszpańskiej wersji "Policjantów z Miami". Jednak inaczej niż mają w zwyczaju bohaterowie takich filmów, tylko bezradnie rozłożył ręce. I powiedział coś niemal płacząco.

– Ekhm – dał o sobie znać Stevenson. – Habla inglés, señor? – To było wszystko, co umiał powiedzieć w obcym języku.

Obaj rozmówcy spojrzeli w jego kierunku.

– A pan to...? – zapytał dowódca, gładko przechodząc na angielski.

– Samuel Stevenson, negocjator ze Scotland Yardu. Podobno macie tu jakichś terrorystów, którzy chcą ze mną rozmawiać.

Dowódca antyterrorystów skrzywił się pogardliwie.

– Przyjechał pan do nas sam? – zapytał. Jego angielski nie był tak gładki jak dowódcy. Za to mówił powoli i wyraźnie bez drażniących hiszpańskich szelestów.

Stevenson wzruszył ramionami.

– Nasi chłopcy w kominiarkach już jadą – wyjaśnił. – Ale nie zabrałem się z nimi, bo nie odpowiada mi ich poczucie humoru.

– Nie gra panu angielski humor? – Wąsaty oficer skrzywił się w pełnym ironii uśmiechu.

– Ależ nie – odpowiedział negocjator. – Ma to raczej związek z ich zawodem. I kompleksem kulturystów.

Unióś rękę, kciukiem i palcem wskazującym pokazując rozmiar czegoś bardzo małego.

Ręce antyterrorysty mocniej zacisnęły się na kominiarce, ale Stevenson udał, że tego nie zauważa.

– Jest tu gdzieś miejsce, gdzie mógłbym doprowadzić się do stanu używalności? – zapytał. – Podróż była średnio miła.

– Pójdę z panem – zaproponował dowódca.



– Pojawiły się jakieś żądania? – zapytał negocjator, gdy oddalili się od samochodów.

Dowódca pokręcił głową.

– Tylko groźby. Mówili, że mamy się stąd zabierać albo zaczną zabijać zakładników.

– Kto z nimi rozmawiał?  
– Ja, ale trudno to nazwać rozmową. – Policjant spuścił wzrok. – Nie trwało to dłużej niż minutę. Stevenson klepnął go w ramię.  
– I tak długo jak na pierwszy kontakt – pochwalił. – Kto rozmawiał z ich strony?  
– Właściciel hotelu, niejaki Jeremiaś Smith. Prawdziwe imię i nazwisko nieznane. Egipcjanin.  
– Tylko tyle wiemy? – zdziwił się Anglik. – Właściciel takiego hotelu, pewnie jeden z najbogatszych ludzi w okolicy, a my nie wiemy, czy ma rodzinę, przyjaciół? Ile wynosi jego majątek?  
Dowódca wzruszył ramionami.  
– Szukaliśmy u siebie, przez Interpol, a nawet CIA. Ci ostatni podobno nawet mieli akta, organizatorzy szczytu właśnie u nich badali teren. A teraz nagle dokumenty wyparowały. Tak jak i dane tej agencji ochrony. “Sfinks” czy jakoś tak. Podobno najlepszej na świecie. Nie wiem, kto zdecydował, by zabezpieczyć imprezę ludźmi z zewnątrz, ale pewnie wyszło to taniej niż wykorzystanie setki ochroniarzy rządowych. W takich sytuacjach pieniąż jest zawsze nad rozsądkiem.  
Powoli zbliżali się do opancerzonego furgonu – centrali, sądząc po liczbie anten na dachu i automacie z kawą stojącym przy wejściu. Negocjator zatrzymał się.  
– Ostatnie pytanie – powiedział, patrząc rozmówcy prosto w oczy. – Czy któryś z zakładników zginął?  
– Nie – odparł dowódca. Zdaniem Stevensona zbyt szybko. Poza tym jego źrenice na ułamek sekundy pomknęły ku lewej, górnej części oka. Hiszpan nie miał pojęcia, co wydarzyło się w środku. Albo kłamał.



Angielscy antyterrorysty przybyli koło pierwszej. W tym samym niemal czasie pojawili się też ludzie z Interpolu. Jeden z nich, machając świstkiem z mnóstwem podpisów, ogłosił, że przejmuje sprawę.  
Stevensonowi było to nawet na rękę. Jeśli jemu nie chciano powiedzieć prawdy o zakładnikach, to nowemu dowódcy będą musieli wyśpiewać wszystko. A ten, w swym nienagannym garniturku i z ulizanymi włoskami, aż się prosił, by wszystko przekazać najlepszemu negocjatorowi Scotland Yardu. I skwapliwie skorzystał z jego umiejętności.  
W jednym z okien na pierwszym piętrze hotelu poruszyła się firanka. Zaraz też zaczęły po niej błędzić dwa maleńkie czerwone punkciki. Stevenson powiódł wzrokiem po drzewach, ale minęła dłuższa chwila, nim z trudem udało mu się dostrzec zaczajonych snajperów. Sięgnął do kieszeni i wydobyl fajkę. Nabił ją tytoniem.  
Nieco dalej grupy antyterrorystów dyskutowały z nowym dowódcą akcji, która z nich wejdzie pierwsza i jakiej użyją metody.  
Zapowiadała się długa noc.



Księżę Monako miał kiedyś opiekunkę, młodą, śliczną dziewczynę o długich czarnych włosach i najpiękniejszych oczach, jakie chłopiec kiedykolwiek widział. Krążyły nawet pogłoski, że właśnie uroda zapewniła jej pracę tak blisko koronowanych głów. Podobno władca Monako lubił konsultować z nią postępy swojego syna. Zwykle w późnych godzinach nocnych.  
Jakkolwiek jednak wyglądały jej kontakty z księciem seniorem, młody Vincent uważał, że żaden dzieciak nigdy nie miał lepszej opiekunki. Umiała łązić po drzewach, bawić się w strzelanego i grać na komputerze. Potrafiła robić *minę twardziela*, mówiąc: *Yippee-ki-yay, wydymańcu*. I robiła to lepiej niż Bruce Willis w “Szklanej pułapce”.  
No i nauczyła go również tajnego języka, dzięki któremu mogli przekazywać sobie największe tajemnice w towarzystwie osób postronnych. Przez długi czas chłopiec był przekonany, że sama go wymyśliła. Dopiero gdy do jednego z kasyn Monte Carlo przyjechał bogaty facet w turbanie i zaczął mówić w ich sekretnej mowie lepiej od Vincenta, stało się jasne, że dziewczyna uczyła go swego ojczystego języka. Nigdy nie myślał, że ta wiedza może się kiedykolwiek przydać. Aż do teraz.

Uzbrojeni mężczyźni zmusili wszystkich do zajęcia miejsc przy stole i czuwali, by nikt z nikim nie rozmawiał. Królewskim potomkom i niańkom pozostawało więc tylko jedzenie. Młody książę mógł jeszcze słuchać. Więc słuchał.

– Czy już jest? – zapytał po arabsku właściciel hotelu, spoglądając w stronę drzwi. – Przybył?

Stojący najbliżej strażnik wyrzwał na korytarz i coś zawołał. Po chwili usłyszał odpowiedź.

– Ci koło piwnicy mówią, że już, lada moment – przekazał. – Wszyscy są po kolana w piasku.

– Doskonale – ucieszył się hotelarz. – Możecie rozwijać czerwony dywan. Orkiestra też niech się szykuje.

Kilku strażników zarechotało, a muzycy, od godziny zajęci jedynie grą w karty lub czyszczeniem swych instrumentów, unieśli głowy z nadzieją. Dość mieli tego czekania. Jak chyba wszyscy.

Vincent schylił głowę i próbował podnieść do ust widelec, ale ręka drżała mu tak, że nie był w stanie trafić. Skoro chcą kogoś witać z takimi honorami, znaczy, że jest ważniejszy niż inni. A to z kolei musi oznaczać, że i bardziej okrutny. W filmach zawsze tak jest.

Ukradkiem spojrzął na leżące na środku sali ciało Edwarda. Nawet nie raczyli go usunąć, ściągnąć jakoś na bok albo co. Właściwie to co on im w ogóle zrobił? Zginął tylko dlatego, że jego przodkowie podbili kiedyś Egipt? Z każdą chwilą strach coraz bardziej ustępował miejsca wściekłości. Mocniej zacisnął rękę na widelcu i wyprostował się.

Zauważył, że właściciel hotelu ruszył właśnie kolejny raz wzdłuż stołów, przyglądając się wszystkim po kolei. *Pewnie, by lepiej zdać raport swojemu szefowi* – przemknęło Monakijczykowi przez głowę, choć powód nie miał znaczenia. Tak właśnie działa Opatrzność, stwarza okazje.

A jeśli udałoby się go trafić w szyję, tak jak to zrobił Steven Seagal w jednym ze swych filmów, to może wybuchnie zamieszanie i zdołają uciec albo... Ważne tylko, by spróbować, zanim przyjdzie ten tajemniczy ktoś. Wtedy będzie już za późno.

Cicho zaszurał krzesłem, odsuwając się lekko i sprężając do skoku. Tylko pięć kroków, cztery... W nerwach uniósł się lekko na krześle. Trzy, dwa... Bezwiednie uniósł rękę z widelcem. I w tym samym niemal momencie poczuł potworny ból. Coś uderzyło go w tył głowy. Osunął się, wpadając twarzą w miskę krewetek. Usłyszał jeszcze pełen podniecenia krzyk stojącego przy drzwiach strażnika. Potem zapadł w ciemność.



Jak zwykle archanioł Michał przybył ostatni. Na dodatek w naprawdę parszywym humorze.

– Co się znowu stało, do cholery? – zapytał, łądując na najwyższej gałęzi rozłożystego dębu. Czekali tam już na niego Gabriel i Rafael. – I co tu robią te wszystkie anioły?

Ręką wskazał na korony pozostałych drzew pełne smętnych, ubranych na biało skrzydlatych. Tylko kilku z nich, siedzących bezpośrednio nad zamaskowanymi snajperami, wyglądało na pracujących. Reszta z mniej lub bardziej żałosnymi minami gapiała się w niebo lub na archaniołów.

Gabriel rozłożył ręce.

– To tylko stróże uwięzionych w tym budynku zakładników – wyjaśnił. – Podczas ataku czuwali nad ojcami, bo jak pamiętasz, wspólnie uznaliśmy, że tam ryzyko jest większe.

– Ale dlaczego są tu, a nie w środku? – Michał podrapał się pod lewym okiem. Tatuaz w kształcie płomienia sparzył mu opuszki palców. – Przecież tam może się coś...

– Już się wydarzyło – wszedł mu w zdanie Gabriel. – Nie żyje jeden z zakładników. Jego dusza jednak nie wyleciała na zewnątrz, co jest niepokojące. A cały problem z tymi stróżami polega na tym, że choćby nie wiem jak chcieli, nie są w stanie tam wlecieć.

– A to niby dlaczego? Piórka pętałom zamokły?!

Boży posłaniec uspokajająco położył rękę na jego ramieniu.

– Jak się dobrze zastanowisz – powiedział ze smutnym uśmiechem – odpowiedź sama przyjdzie. Pomyśl, mamy tu Egipcjan, sporą grupę pierworodnych i dom, do którego nie mogą wejść aniołowie. Co to daje?



Michał wiedział. Tatuaz na jego twarzy zapłonął jeszcze mocniej, a zaciśnięte w pięści dłonie pobieleły. Tylko jedna rzecz na ziemi może powstrzymać anioła – zakaz z ust Pana. A On raz tylko, niepewny zachowań wodza zastępów, posłużył się swą mocą w tym celu. I co najgorsze, nigdy nie anulując tego polecenia, zostawił wrogom furtkę.

– Krew baranka?

Gabriel potwierdził.

– Na wszystkich drzwiach na zewnątrz, bracie. Na wszyściuteńkich.

Michał zaklął i wzleciał w powietrze. Przez chwilę miotał się, latając to w jedną, to w drugą stronę, potem zawisł w miejscu i wziął kilka głębokich oddechów.

Gdy wrócił do towarzyszy, wzrok skierował od razu w stronę milczącego Rafaela.

– A ty co? – zapytał, cedząc słowa. – Masz może jakiś pomysł, czy zamierzasz tak milczeć do usranej Apokalipsy?

Rafaël przesłał tajemniczy uśmiech Gabrielowi, a ten po chwili odpowiedział mu tym samym. Zrozumiawszy wszystko, zwrócił się do Michała:

– Kazał mi przekazać, że nie tylko do Apokalipsy. Ale i o wiele dłużej, o czym dobrze powinieneś wiedzieć. Przypomniał mi również, że nie poinformowałem cię, iż podjęliśmy pewne kroki. A właściwie jeden. Wezwaliśmy Kłamcę. Jest już w mieście. Od rana.

Wódz zastępów pokręcił głową.

– Nie wiem, czy nie jest jeszcze za wcześnie, by go ładować w problem na taką skalę – powiedział. – To nie to samo, co strzelanie do kandydatów na samobójców.

Gabriel kolejny raz spojrział na Rafaela. Patron lekarzy i dróg przytaknął, po czym rozłożył ręce.

– O co mu chodzi? – nie zrozumiał Michał.

– Mówi, że werbowanie Kłamcy to był twój pomysł i żebyś teraz nie marudził. I ja się z nim zgadzam całkowicie. Powiem nawet więcej, nie tylko powinniśmy dać mu szansę, ale nawet musimy. Nie mamy innego wyjścia.



Przebudzenie Vincenta nie należało do najprzyjemniejszych. Najpierw poczuł ból zaczajony w wielkim guzie z tyłu głowy. Zaraz potem, z chwilą gdy chłopiec postanowił otworzyć oczy, pojawiło się przerożenie. Nic nie widział.

W jednej chwili przypomniał mu się oglądany kiedyś program ostrzegający przed urazami mózgu. Wspominano tam między innymi o ślepcie jako dość częstym skutku ubocznym. Coś tam na coś uciska, coś się blokuje. Nie pamiętał tych wszystkich szczegółów, ale jednego był pewien – oberwał w tył głowy i oślepl. Miał tylko nadzieję, że nie na zawsze.

Spróbował się poruszyć i dopiero więzy na rękach i nogach podpowiedziały mu inne rozwiązanie wzrokowego problemu. Skrępowali go, a oczy zasłonili opaską. Chciał odetchnąć z ulgą i wtedy zorientował się, że został również zakneblowany.

Tymczasem na sali był już ów tajemniczy, tak wyczekiwany gość. Dało się usłyszeć w tonie głosu właściciela hotelu. Nie był już tak dumny i pewny siebie jak na początku balu.

– Ja myślałem – mówił wręcz płaczliwie – że skoro symbol, to jeden w tę czy w tę... Naprawdę nie wiedziałem, panie. A to był Anglik, jeden z tych podłych oprawców, których przodkowie gnębili nasz lud, i właśnie dlatego pomyślałem, że...

Vincent, opanowawszy lęk, z dziką satysfakcją wsłuchiwał się w tłumaczenie Egipcjanina. *Teraz się doigrasz, skurwielu – myślał – i dobrze ci tak. Nie trzeba było strzelać do Edwarda.*

Płaczliwy głos właściciela zmienił się nagle w krzyk bólu. Chłopiec usłyszał głośnie warknięcie, po czym coś chrupnęło i nastała cisza. Gdy przebrzmiała, jakiś ciężar, najprawdopodobniej ciało właściciela, runął z hałasem na ziemię, a jego zabójca kilka razy mlasnął i wycharczał parę zdań. Uczynił to z niewyobrażalnym wysiłkiem, zupełnie jak... pies – stworzenie mądre, ale o gardle nieprzystosowanym do mówienia, tylko do warczenia i szczekania. Z całej wypowiedzi Vincent zrozumiał tylko dwa niedające się

połączyć ze sobą słowa: *radio i jabłka*.



Michała denerwował już sam wygląd Lokiego. Kłamca, choć był w Hiszpanii od niecałych dwunastu godzin, zdążył się już dostosować do nowych warunków. Przede wszystkim miał doskonale brązową skórę, co w połączeniu z niemal białymi włosami i brodą dawało niezwykle ciekawy efekt. Do tego żółta koszulka ozdobiona zielono-brązowymi palmami, niebieskie spodenki i czarne klapki. Na nosie okulary lustrzanki, a w ręce trzymał drinka. Z parasolką.

Na dodatek, jakby samego wyglądu nie było aż nadto, korciło go, by zadawać dużo pytań. Niewygodnych pytań.

– Nadal nie potrafię zrozumieć, dlaczego te wszystkie anioły siedzą na drzewach i udają wrony, zamiast lecieć do swych podopiecznych. Dlaczego ich w ogóle opuściły?

Gabriel przejechał ręką po twarzy.

– Ile wykonałeś już dla nas robót, Loki? – zapytał.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Po jednym piórku za każdą setkę samobójców, a ja mam trzy piórka. Z jakieś trzysta, jak wychodzi.

– I nadal nie zorientowałeś się, że nie każdy ma swojego stróża?

Loki chwycił słomkę w zęby i głośno siorbnął.

– Jasne, że tak – odparł po chwili. – Ale ci zakładnicy, jak widać, mają. Więc ich ta odpowiedź, chytrze zawarta w twoim pytaniu, nie dotyczy, prawda? Czy źle mówię, wodzu? – skinął głową Michałowi, ale ten tylko burknął coś pod nosem.

– To skomplikowana sprawa – stwierdził Gabriel.

– Spokojnie możesz opowiadać – zapewnił go Kłamca. – Dopóki nie dowiem się, co jest grane i dlaczego żaden skrzydlaty nie chce się w to łądować, nie kiwnę nawet paluszkami. Mamy więc mnóstwo czasu.

Boży posłaniec westchnął i ukradkiem zerknął na Rafaela. Ten machnął ręką.

– Dobrze więc. Wyjaśnię ci to najprościej, jak potrafię. Nie jest nowiną, że aniołów nie przybywa, za to ludzi jest coraz więcej. Dodając do tego, że nie każdy anioł jest stróżem, a nawet jeśli chodzi o ścisłość, zajmuje się tym jedynie niewielka grupa wyspecjalizowanych jednostek, łatwo zauważyć, że pojawia się problem. Do tego dochodzą jeszcze boskie przepisy mówiące na przykład, że każdy stróż ma prawo tylko do trzech błędów, a potem zmienia branżę i już nigdy nie może wrócić do stróżowania. To też nas bardzo ogranicza. Wprowadziliśmy więc kilka ustaleń. Po pierwsze, źli nie dostają stróżów, po drugie...

– No dobra – przerwał mu Loki. – A kto niby rozstrzyga, czy niemowlak będzie dobry czy zły?

Na chwilę zapanowała niezręczna cisza. Kłamca uśmiechnął się paskudnie.

– Nie ma Pana, anioły kombinują – rzucił. – I ja tu niby jestem ten najgorszy, tak? Kontynuuj.

– Po drugie – Gabriel podjął przerwany wątek – zostaje przyznany jeden anioł na rodzinę i to on sam, albo z naszą pomocą, decyduje, który członek rodziny najbardziej potrzebuje jego wsparcia. Jak na przykład teraz. Uważaliśmy, że zdecydowanie lepiej pilnować ojców, bo tam była większa szansa na zamach. Wiesz, mali ludzie, mały problem...

Loki pokiwał pobłaźliwie głową.

– Ale nadal pozostaje kwestia, dlaczego nie mogą wejść do środka. Co im stoi na przeszkodzie? Powinni zrobić nalot, najlepiej jeszcze wsparci przez chłopaków z ludzkiej policji. Szast, prast i po robocie. Skoro mnie wezwąłeś, znaczy, że coś kręcisz.

– Krew baranka – wycedził Michał. – Przekłęta krew baranka na drzwiach.

Kłamca wyciągnął ze szklanki parasolkę i cisnął nią w ukrytego najbliższego snajpera. Nie trafił.

– Może tak trochę jaśniej, wodzu – poprosił. – Niektórzy są w drużynie zbyt krótko, by łapać wszystkie grepsy.

– To zakaz Pana – wyjaśnił Gabriel, widząc, że wódz zastępów zagłębia się w ponurej medytacji ani myśli odpowiadać. – Kiedyś, gdy Bóg, ruszając w podróż, przekazywał obowiązki zarządcy ziemi



Michałowi, dał mu do ręki garść jednorazowych środków, jak choćby potop, deszcz siarki czy plagi. Podyktował też dziesięć przykazań dla ludzi. Nam dodał jeszcze kilka innych, w tym jeden jedyny zakaz, by nigdy nie przekraczać drzwi pomalowanych krwią jednorocznego baranka. Tak między innymi Żydzi uratowali swe dzieci i dobytek przed ostatnią plagą egipską, pogromem pierworodnych. Po akcji syna Pana zmieniła się nasza władza i podejście do ludzi, ale nakazy i zakaz pozostały nieanulowane.

Loki pochylił się i ułamał małą gałązkę. Obrwał ją z listków.

– Rozumiem już teraz, po co jestem wam potrzebny – oświadczył, wkładając patyczek do ust. – Rozumiem też, że nagroda za taką misję będzie odpowiednia do jej wagi. I że nie muszę już mówić do ciebie *wodzu*, prawda, archaniele?

Ostatnie słowa skierował do Michała, który w jednej chwili poczerwieniał z wściekłości i miał odpowiedzi, sapał coś tylko o bezczelnych pętałach.

– Macie plan, jak tam wejdę? – Kłamał ponownie zwrócił się do Gabriela.

Ten skinął głową.

– Wejdiesz wraz z nim.

Wskazał ręką siedzącego na parkowej ławeczce Stevensona ledwie widocznego w chmurze fajkowego dymu.



Koło czwartej negocjatora wezwano do przyczepy sztabu. Anglik, mimo że potwornie zmęczony, ucieszył się. Drażniła go już ta bezczynność. I nawet wolał nie wyobrażać sobie sytuacji, że tarabanił się z Londynu tylko po to, by zobaczyć, jak do akcji wkraczają te półgłówki z antyterrorystycznych. Raz już tak było, a potem nie mogli się doliczyć ofiar.

Wstąpił na metalowe schodki prowadzące do przyczepy i zapukał w otwarte drzwi. Nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

– Pan Stevenson? – zagadnął do niego agent stojący najbliżej wejścia. – Inspektor Gustav Munder, Interpol. Dobrze, że już pan jest.

*Pewnie, że dobrze* – pomyślał negocjator, ściskając podaną dłoń. – *Przyda się wam, dzieciaki, ktoś z doświadczeniem.*

Rozejrzał się. Przy jednej ścianie ustawiono radio i całą aparaturę nasłuchową, nieco na lewo od niej stał stolik z planami budynku. Pochylał się nad nim jakiś antyterrorysta z linijką w ręce. Na krzesłach obok ekspresu do kawy siedzieli były dowódca akcji i dwóch kolegów Mundera, sądząc po identycznych garniturach.

– Gdzie pański szef? – zapytał Stevenson. Zauważył, że jego rozmówca z całej siły starał się ukryć zmieszanie.

– Odwieźli go do szpitala z zatruciem pokarmowym. Nie wzywaliśmy karetki, bo jak pan widział, za naszymi barierkami roi się od pismaków, a...

Radiooperator zsunął z ucha jedną słuchawkę.

– Znowu nadają, inspektorze – rzucił.

Munder zatarł ręce.

– Świetnie, powiedzcie im, że już jest. – Ponownie spojrzał na Stevensona. – Zaraz panu wszystko wyjaśnię.

Tymczasem radiooperator poprawił słuchawki i splótł dłonie, opierając łokcie na blacie stolika.

– Pytają, czy pan na pewno jest Anglikiem – przekazał.

To było niepokojące pytanie. Czyżby terroryści dobierali sobie negocjatora wedle narodowości? I dlaczego właśnie Anglika? Egipcjanie... Jedyne migające w jego głowie wytłumaczenie nie należało do najmiłszych.

Kolejne pytanie okazało się jeszcze dziwniejsze.

– Ma pan jakieś starsze rodzeństwo?

– Jestem jedynakiem – skłamał. Miał co prawda tylko młodszą siostrę, ale nie zamierzał podawać

prawdziwych informacji o swej rodzinie. Nikomu, a już najmniej terrorystom.

Radiooperator przekazał odpowiedź i chwilę później odwrócił się w stronę Stevensona. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Zapraszają pana do siebie na rozmowę.

Negocjator wzruszył ramionami.

– Proszę im powiedzieć, że mogliby w ramach dobrej woli wypuścić jakichś zakładników – polecił. – Choćby tych najmłodszych. A ja już się szykuję i będę u nich najszybciej, jak się tylko da.

– Jak?! Zaraz! – dotąd biernie przysłuchujący się rozmowie Munder teraz gwałtownie zaoponował. – Nigdzie pan nie pójdzie. Jako pełniący obowiązki dowódcy absolutnie nie zgadzam się, by...

– By w najgorszym wypadku zginął jeden człowiek zamiast trzydziestu? – Stevenson wszedł mu w zdanie. – Jeśli puści pan tam antyterrorystów, rozpęta się rzeź. Według świadków, jest tam podobno z setka uzbrojonych ludzi. Oficjalnie, a ilu się jeszcze czai, tego nikt nie wie. Poza tym nie sądzę, by chcieli mnie wykończyć. Będą raczej chcieli się przed kimś popisać, a ja doskonale umiem zgrywać pełnego pokory szaraka zachwyconego wielkością psycholi.

– Ale to przecież Egipcjanie – wtrącił Hiszpan, były dowódca akcji. Mówił takim głosem, jakby po odwołaniu go przestało mu na czymkolwiek zależeć. – A oni nie lubią się z Anglikami.

Stevenson potwierdził.

– Też o tym myślałem...

– Gdyby chcieli mścić się na nas – machnął ręką jeden z milczących dotąd agentów Interpolu – już dawno załatwiliby młodego następcę tronu i daliby sobie spokój z całą tą szopką. A tak w ogóle, to lepiej by im było zaatakować ambasadę. Na przykład podczas wizyty księcia lub królowej.

– Też uważam, że negocjator powinien pójść – nieoczekiwanie poparł Stevensona antyterrorysta. – Zainstalujemy mu dyskretną kamerkę w klapie i zrobi nam mały rekonesans. O, nawet mam tu jedną taką.

Pogrzebał w przepastnej kieszeni i wyciągnął małe pudełeczko. Otworzył.

– Znakomite – stwierdził z przekąsem Anglik. – Rzeczywiście nie sposób podejrzewać, że to kamera. Ale myślę, że wchodzenie między egipskich fanatyków religijnych z krzyżykiem w klapie może być wzięte za prowokację. A tego byśmy chyba nie chcieli, prawda?

Policjant zmieszał się.

– Mam jeszcze wersję na luzie – stwierdził. – Żółty uśmiezek, ale nie sądzę...

Negocjator klepnął go w ramię.

– Kamerkę sobie darujemy, ale i tak zrobię wam rekonesans. Mam fotograficzną pamięć.

– Niecierpliwią się – ponaglił zebranych radiooperator. – Co mam nadać?

Wszyscy przenieśli wzrok na agenta Mundera. Ten westchnął ciężko.

– Przekażcie to, co wam kazał pan Stevenson. A to o zakładnikach nawet dwa razy.

Wyminął negocjatora i wyszedł na świeże powietrze. Wciągając je głęboko do płuc, uniósł głowę... i aż przetarł oczy. Pierwszy raz widział coś takiego. Nad koronami drzew unosiła się mgła.



Po kilku godzinach leżenia w bezruchu Vincent był w stanie przyzwyczać się do prawie wszystkich niewygód. Jedynymi wyjątkami był smród nieprzebranych niemowlaków i smak knebla. Nasączony jakimiś perfumami materiał smakował naprawdę podle i przypomniał chłopcu, jak kiedyś, chcąc zataić przed ojcem, że palił, psiknął sobie w usta dezodorantem. Tylko że wtedy mógł spokojnie zwymiotować, a potem przepłukać usta.

Z drugiego końca sali, prawdopodobnie z podestu dla orkiestry, znowu rozległo się mowo-warczenie. Tym razem książę nie zrozumiał ani słowa. Bo i nawet nie słuchał. Po okresie strachu i buntu przyszedł czas rezygnacji. Było mu wszystko jedno, byleby tylko wyjęli ten knebel i zabrali go z dala od smrodu.

Ktoś szarpnął Vincenta do góry i podniósł. Chłopiec poczuł, że siedzi na krześle, a czyjeś ręce starannie przywiązują go do poręczy. Potem, ku wielkiej radości księcia, wyjęli knebel i postawili przed nim coś, co pachniało jabłkami.

Nieco dalej któraś z opiekunek, pewnie również świeżo odzyskawszy możliwość mówienia, krzyknęła coś bełkotliwie. Rozległo się głośne plaśnięcie i umilkła.

– Jedz! – usłyszał chłopiec i zanim zdążył zaprotestować, wciśnięto mu głowę w miseczkę ciepłego jabłkowego musu.



– Skąd wiedzieliście, że on będzie tam szedł? – zapytał Loki. – Że go zaproszą?

Wraz z Gabrielem i Rafaelem, otoczeni archanielską aurą, niewidoczni i niesłyszalni dla śmiertelników, stali tuż obok sztabowej przyczepy. Patrzyli na szykującego się Stevensona.

– Nie wiedzieliśmy, że go zaproszą – odparł boży posłaniec. – Ale i tak byliśmy pewni, że znajdzie sposób, by tam wejść. Znałem jego stróża, chyba jedyny przypadek, który dobrowolnie zdecydował się na śpiewanie w chórach. Mówił o nim, że to prawdziwy maniak i wejdzie wszędzie.

– Taki dobry? – W głosie Kłamcy słychać było uznanie.

– Niezły. – Gabriel machnął ręką. – Zna się na tych psychologicznych sztuczkach. Tyle że w akcji średni, ruszać się nie potrafi. A lezie zawsze na pierwszy ogień.

Loki uśmiechnął się.

– Zastanawia mnie tylko, jak to możliwe, że wciąż żyje, choć, jak mówisz, nie ma już stróża. Zbieg okoliczności?

Archanioł wzruszył ramionami.

– Nagrody na loteriach to też nie nasza zasługa – odparł. – A mimo to są tacy, co wygrywają. Nikt nie neguje istnienia zwykłego ludzkiego szczęścia. Poza tym jego przeciwnicy są na ogół naprawdę źli i też nie mają stróżów. To w pewnym sensie wyrównuje szanse.

Stojący kilka metrów dalej negocjator odmówił właśnie przyjęcia broni i kamizelki kuloodpornej.

– Chyba już rozumiem, o co chodziło temu stróżowi – stwierdził Kłamca. – Gość ma charakter, nie?

Gabriel pokiwał głową.

– Ano ma. A ty dopilnujesz, by miał go jeszcze przez jakiś czas. Przynajmniej dopóki nie ustalisz, co się dzieje w środku i kto użył tej krwi. Rafael połączy wasze umysły tak, że będziecie się mogli porozumiewać bez słów. Znajdź tylko jakiś sposób, by nie pomyślał, że oszalał, gdy się do niego odezwiesz.

– Spokojna głowa – powiedział Loki. – Nie nazywają mnie Kłamcą dlatego, że umiem dobrze cerować, prawda? Mam już nawet pomysł.



Stevenson nie czuł strachu. Dawno minęły już czasy, kiedy przerażała go akcja. Zbyt wiele ich przeżył.

Bez oglądania się za siebie szedł pewnym krokiem ku hotelowemu wejściu w blasku wstającego słońca. Starając się nie myśleć o czekającym go zadaniu, wzrok skupił na ukośnej czerwonej kresce pośrodku lustrzanych drzwi. Dopiero zbliżywszy się na kilka metrów, dostrzegł, że to krew. Zaklął pod nosem.

– Obym się tylko nie spóźnił – wyszeptał, wznosząc oczy ku górze w cichej modlitwie. – Żebym tylko zdążył na czas i...

*Panie Stevenson* – usłyszał nagle w swojej głowie. Przystanął i rozejrzał się. Nikogo nie dostrzegł. Przejechał dłonią po twarzy.

– Starzejesz się, Sam – westchnął. – Naprawdę się starzejesz.

Powoli ruszył przed siebie, myśląc, że jeśli terroryści to widzieli, mogą wziąć go za czubka. Pewnie nie będą już chcieli gadać.

*To możliwe* – ponownie odezwał się obcy głos w jego głowie. – *Ale myślę, że jeśli okaże się pan szalony, to raczej przyjmą pana jak swego. Ze wszystkimi honorami.*

Negocjator ponownie przystanął, walcząc z rosnącą chęcią odpowiedzenia tajemniczemu głosowi.

*Martwi się pan o swoje zdrowie psychiczne? Niepotrzebnie. Jestem agent Liarfather i właśnie*

rozmawiam z panem przez prototypowy mikroskopijny nadajnik umieszczony w pańskim organizmie. Podaliśmy go panu razem z kawą, tak na wszelki wypadek. Proszę mnie nie pytać, jak to tak naprawdę działa. Tyle w tym naukowego bełkotu, że normalnego człowieka, jak ja czy pan, mogłoby zemdlić. Wiem tylko, że wydali go pan za jakieś dwadzieścia cztery godziny z pierwszą dłuższą wizytą w toalecie. Aha, kazali mi spytać, czy nie ma pan pretensji?

Stevenson wahał się przez moment. Krótki, bo człowiek jest w stanie uwierzyć we wszystko, co tylko pozwala mu zachować przeświadczenie, że jest normalny.

– Nie – odparł w końcu niepewnie. – Nie gniewam się.

Mikrokomputer? Tak, chyba czytał gdzieś ostatnio o podobnych wynalazkach. No, ale w gazecie pisali, że to dopiero wstępne badania i że te małe ustrojstwa zostaną oddane do użytku najwcześniej za kilka lat.

Nie musi pan mówić, żebym mógł pana słyszeć – odparł głoś. – Wystarczy, że pan pomyśli, a nasz komputer już się jakoś dogada z pańskimi nu... no... neuronami.

Rozumiem – spróbował Stevenson. – Jak mam się do pana zwracać? Po nazwisku?

Wystarczy Loki. Wszyscy tak do mnie mówią.

W porządku, Loki. Jestem Samuel.

Wiem, a teraz ruszaj. Świrowanie świrowaniem, ale co za dużo, to niezdrowo.



Vincent lubił jabłka niemal w każdej postaci, całą więc winą za wydarzenie, które nastąpiło po zjedzeniu musu, obarczył nasączony perfumami knebel i jego ohydny posmak, z tych co na długo pozostają w ustach. Gdy zmieszał się on ze słodczą jabłkowej papki, księciu od razu zrobiło się niedobrze. Zapieкло go w przełyku, a żołądek rozpoczął serię skurczów i rozkurczów, jakby chciał zostać sercem. Nieprzetrawiony posiłek pomknął z powrotem, wypełniając usta i wypychając policzki.

Połknij to, kretynie – skarcił się w myślach chłopiec. – Zależy im na tym, byś to zjadł, więc połknij.

Nie potrafił się jednak zmusić. Wymiociny paliły go w język i utrudniały oddychanie. Z każdą chwilą mógł zacząć się dusić.

Połknij to, inaczej cię zabiję.

Wyprostował się na krześle, wyprężył i skupił z całych sił. Tym razem poskutkowało, przełyk rozluźnił się odrobinę i Vincent jął przełykać palącą zawiesinę. Jeszcze moment i w ustach pozostanie tylko paskudne wspomnienie. Takie, które można wymazać zwykłym splunięciem i łykiem wody. Jak odrobinę szamponu jabłkowego, która spłynęła do ust pod prysznicem.

Gdy ktoś przyjdzie go uwolnić, księżę Monako z pewnością nie będzie pamiętał, że zmuszony był połknąć własne... Już prawie zapomniał.

– On się dusi – krzyknął ktoś nagle.

Chłopiec, skupiony właśnie na tak niezbędnym mu teraz do życia i szczęścia głębokim oddechu, nie zdawał sobie sprawy, że chodzi o niego. Zrozumiał to, gdy poczuł mocne uderzenie z otwartej ręki w plecy, a potem nagły tępy ból na wysokości przepony, gdy ktoś podniósł go z krzesła i wbił mu pięść tuż poniżej splotu słonecznego. Vincent pamiętał ten manewr z zajęć z pierwszej pomocy. Nazywał się rękoczynem Heimlicha. A kończył zawsze tym samym.

Księżę zwymiotował.

Wydawało mu się przy tym, jakby wraz z jabłkowym musem wypluł przy okazji żołądek i połowę jelit. Kwas w przełyku sprzed kilku chwil był niczym w porównaniu do ognia, jaki rozgorzał teraz.

Z drugiego końca sali rozległo się wściekłe wycie.

Gość wbijający pięść w brzuch Vincenta nagle rozluźnił uścisk. Osłabiony chłopiec osunął się na ziemię.



Stevenson był już przy drzwiach, gdy padł strzał. Ręka, którą wznosił, by zapukać, zamarła w pół

ruchu.

*Agencie Liarfather... Loki? – pomyślał. – Ty też to słyszałeś?*

*Chłopie, nie zatrzymuj się tak gwałtownie. Jasne, że słyszałem strzał, myślisz, że jestem głuchy?*

*Negocjator speszył się trochę.*

*Nie, ale myślałem, że może tam u was w samochodzie...*

*Jakim sam... a, no jasne! Mamy tu różne takie nasłuchy wycelowane w dom. Właśnie po to, by słyszeć strzały.*

*Aha – pomyślał Stevenson, choć wcale nie był usatysfakcjonowany odpowiedzią. – A tak swoją drogą, to gdzie stoi ten wasz wóz? Wydawało mi się, że zwiedziłem wszyst...*

Loki nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie drzwi hotelu otworzyły się i barczysty Egipcjanin wciągnął Stevensona do środka.



Vincent przez chwilę myślał, że nie żyje. Jakby się dobrze zastanowić, wszystko na to wskazywało. Najpierw zamieszanie z wymiotowaniem, potem akcja z jego rzekomym duszeniem się, gwałtowny odskok ratownika i strzał. A teraz leżał na ziemi z boleśnie pulsującym żołądkiem, czując mokre ciepło w okolicy podbrzusza. No i widział. Jak przez mgłę, ale czyż nie tak właśnie powinna patrzeć uwolniona dusza?

Dostrzegał skapujące z krawędzi stołu wymiociny i zbliżającą się ku niemu parę nóg. Spróbował podnieść głowę.

– On ma odsłoniętą opaskę! – krzyknął ktoś ostrzegawczo po arabsku. Nogi przyspieszyły i po chwili kanciaste, owłosione dłonie na powrót zasłoniły mu oczy.

Młody książę skulił się. Wymęczony żołądek kolejny raz zaprotestował nagłym skurczem.

– I na dodatek się obszczał – dodał, nie kryjąc obrzydzenia, klęczący nad nim mężczyzna.

Z oddali dobiegła seria cichych, ale stanowczych warknięć.

– Tak, panie – odparł Egipcjanin. Pochylił się mocniej, niby poprawiając księciu więzy i wyszeptał: – Nie będziesz miał tyle szczęścia co twój przyjaciel. Jego dusza zdążyła się ukryć, zanim przybył, ale ty...

– Co ze mną? – wydusił z siebie chłopiec. Jeszcze przed chwilą myślał, że jest mu już wszystko jedno, bo i tak nie może być gorzej, najwyżej umrze. Teraz zmienił zdanie. – Co mi zrobią?

– Będziesz przestroga, bracie – szepnął oprawca, nie kryjąc rozbawienia. – Nie chciałeś jeść grzecznie, więc staniesz przed sądem. I każdy zobaczy, ile ważą twe winy. I czy twoja krew naprawdę jest błękitna.

Szept przeszedł w ciche sapanie. Egipcjanin z całych sił powstrzymywał się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Vincent mocniej podciągnął nogi i wcisnął głowę między ramiona. Pragnął zasnąć. Albo umrzeć. Było szybko.



Wystarczyło jedno spojrzenie na hol, by Stevenson stwierdził, że jest już za późno na wszelkie akcje. Wszędzie leżały trupy.

U szczytu schodów przewieszane przez barierkę wisiały zwłoki hotelowego boya. Mógł mieć z piętnaście, szesnaście lat. Na bladej twarzy okolonej przetłuszczonymi złotymi włosami mieniły się czerwienią rozmaite, mniejsze lub większe wypryski, a pod sinobiałymi paznokciami czerniały pokłady brudu. Jego wygląd zupełnie nie pasował do sztywnego lokalu i negocjator od razu pomyślał, że chłopiec był dzieckiem któregoś ze starych pracowników i to właśnie dzięki koneksjom zyskał pracę na wakacje. Na swoją zgubę. Wielkie szkarłatne krople z jego poderżniętego gardła kapąły równomiernie na ziemię niczym woda w chińskiej maszynie tortur.

Kilka stopni niżej leżała pokojówka ze złamaną nogą i przetrąconym karkiem. Przyglądał się jej przybity do ściany tkwiącym w gardle nożem ochroniarz. Wyglądał inaczej niż otaczający negocjatora mężczyźni, choć podobnie jak oni miał czarny garnitur na białym T-shircie. Różnice tkwiły w kroju

marynarki i w kolorze włosów mężczyzny. Przybity był rudy.

Wprawny wzrok Stevensona wypatrzył też dodatkowy szczegół. Na palcu zabitego tkwił złoty sygnet z godłem Danii.

*Osobista ochrona książąt – pomyślał. – Ciekawe, kiedy skojarzyli, co się święci.*

Przeniósł wzrok niżej. Otaczający go terroryści nie przeszkadzali mu w tych oględzinach, przekonani zapewne, że im bardziej negocjator się złąknie, tym bardziej będzie posłuszny.

Mylili się. Jedynym, co czuł Stevenson, była wzrastająca z każdym kolejnym zauważonym ciałem bezsilna wściekłość. Że może istnieć ktoś tak okrutny, że przecież... że nie zdążył. To bolało go najbardziej.

Najwięcej trupów zobaczył w fontannie. Widać było, że ktoś je tam przeniósł i poukładał, bo leżały stanowczo zbyt równo. Warstwowo, po cztery osoby na piętro. Pięć pięter. Sami ochroniarze.

Zamknął na moment oczy i wziął głęboki oddech. Pocieszało go tylko, że z wyjątkiem boya nie dostrzegł ani jednego ciała dziecka. Więc może dla nich przynajmniej jest jakaś nadzieja. Boże, chroń książęta!

*Hej, Stevenson – rozległo się nagle w jego głowie. – Jesteś tam? Sam?*

*A gdzie mam być? –* Negocjator był przekonany, że nie można warknąć bezgłośnie. Jemu się udało.

*Więc może zamiast gapić się na... na cokolwiek się tam gapisz, byłbyś łaskaw otworzyć drzwi?*

*Po co? –* pomyślał zdziwiony Stevenson.

Przez chwilę Loki milczał. Nie przewidział tego jakże oczywistego pytania i teraz szukał w głowie odpowiedzi, co było o tyle trudniejsze, że jednocześnie wyzywał się od nieprofesjonalnych matolów.

*Przepraszam za ten chwilowy brak łączności. Potrzebujemy, żebyś otworzył drzwi, bo... musimy sfotografować wnętrze –* zęgał w końcu. – *Chcemy zobaczyć rozstawienie... ludzi.*

*Zdecydowana większość z nich stoi teraz wokół mnie. Co mam im niby powiedzieć? Że mają tu blisko pięćdziesiąt trupów i powinni wywietrzyć?*

*Na pewno coś wymyślisz, Sam. Wierzę w ciebie.*

*Wiesz co, Loki? Pierdol się.*

Negocjator popatrzył po zebranych wokół siebie terrorystach i zagadnął z nieśmiałym uśmiechem.

– Któryś z panów mówi po angielsku? – Starał się uchodzić za bardziej przestraszonego, niż był w istocie.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn stojący na wprost Stevensona, łysy, za to z wąsem jak Czyngis-chan, skinął lekko głową.

– Czekamy tu z jakiegoś powodu, prawda? – chciał wiedzieć negocjator. – Nie prowadzicie mnie dalej, bo czekacie na decyzję sze... ehm, kogoś ważniejszego niż wy, tak?

Ponowne skinienie głową, tym razem ubarwione lekkim grymasem podobnym do uśmiechu.

– Czy w takim razie mógłbym pana o coś prosić? – Stevenson kontynuował. – Moi szefowie czekają na jakiś znak. Chcą mieć pewność, że nie zabilicie mnie od razu po moim wejściu. Czy mógłbym im się tylko pokazać i pomachać, że wszystko jest w porządku? W końcu okazali się na tyle mądrzy, że nie dali mi żadnego mikrofonu czy kamery, by panów nie denerwować. Proszę też zauważyć, że nie upominam się o zakładników, o których prosiliśmy w zamian za moją osobę.

Lekko rozłożył zgięte w łokciach ręce niczym początkujący ksiądz do nieśmiałego błogosławieństwa. Pochylił głowę, czekając na odpowiedź. *Jeżeli się nie zgodzi – myślał – nie będę dalej naciskał. Nie ma sensu ryzykować dla głupiego zdjęcia.*

*Owszem, jest sens –* stwierdził stanowczo głos w jego głowie.

Terrorysta zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym machnął ręką na stojącego najbliżej drzwi. Ten złapał za klamkę gotowy do otworzenia.

– Tylko bez sztuczek – rzucił wąsacz. – I szybko.

– Dziękuję – odparł negocjator, stając przed drzwiami.

Gdy tylko się otwarły, Stevenson uniósł rękę i w tym momencie coś, jakby pęd powietrza, walnęło w niego. Negocjator zgięty wpół zrobił krok do tyłu. Terrorysta był czujny – kłapanięcie zamykanych drzwi niemal zatrzęsło ścianą.

– Coś się stało? – zapytał zaniepokojony wąsacz. Miał polecenie, by doprowadzić Anglika żywego.



Stevenson wyprostował się i machnął ręką.

– W porządku, to tylko skurcz – odparł. – Ale dziękuję za troskę. Za przysługę również.

Łysy wzruszył ramionami. Od strony sali bankietowej dobiegł ich jakiś głos i po chwili na korytarzu rozległy się kroki.

*Macie to zdjęcie?* – zapytał w myślach negocjator.

*Ależ skąd* – padła odpowiedź. – *Wszystko zastłonięś, grubasie.*



– Teraz zdejmujemy ci opaskę – powiedział ktoś, podnosząc Vincenta. Miał miły głos i przez krótką chwilę chłopiec żywił niedorzeczną nadzieję, że być może jest to osoba, która chce mu pomóc. Może ubrany w kevlar superbohater z twarzą ukrytą pod przeciwgazową maską. Tyle że zaraz odezwała się racjonalna część umysłu księcia – wcale nie było czuć gazu ani też słysząc żadnej akcji ratunkowej. W pomieszczeniu pełnym uzbrojonych terrorystów nie mogło się przecież obejść bez jednego choćby strzału. I dlaczego nie słysząc okrzyków wdzięczności uwolnionych opiekunek? Czemu miałby zacząć właśnie od niego?

Zgodnie z obietnicą ktoś sięgnął ku opasce i ściągnął ją jednym niedelikatnym ruchem. Chłopiec zmrużył oczy i dyskretnie rozejrzał się po pomieszczeniu.

Ochroniarze nie stali już pod ścianami. Większość z nich rozsiadła się przy stolikach i grała w karty albo jadła. Broń zwisała im luźno z przewieszonych przez ramię pasek lub leżała obok krzeseł. Vincent nie był pewien, czy, gdyby ktoś naraz wpadł do środka, zdążyliby ją podnieść.

Mimo to atmosfera wcale nie wyglądała na luźną. Grający w karty szeptali, zamiast spokojnie rozmawiać, i co chwila zerkali w stronę podestu dla orkiestry, gdzie od dawna nie było już muzyków.

Na podwyższeniu stało tylko ozdobne krzesło, na którym siedział wychudzony mężczyzna w masce wilka.

Książę wyteżył wzrok. Nie, nie wilka. Szakala.

Wtem ktoś wstał od stołu i ruszył ku wyjściu. Rozległ się dźwięk poruszanych zawiasów. Chłopiec zerknął w tamtą stronę, ale zdążył dostrzec tylko tył głowy jakiegoś mężczyzny.

Siedzący najbliżej ochroniarz poderwał się i zamknął drzwi. Spojrzał w stronę człowieka-szakala i odruchowo chyląc głowę, usiadł na swoje miejsce.

– Rozbieraj się – polecił ktoś stojący za Vincentem, rozwiązując mu ręce. Chłopiec zerknął przez ramię i dostrzegł pozostałych jeńców.

Siedzieli w bezruchu i milczeniu, wyprostowani, z zasłoniętymi oczyma niczym dziesiątki wcieleń Temidy.

Wzdrygnął się. *Dlaczego niemowlęta milczą* – pomyślał. – *Czyżby?*

Ktoś uderzył go boleśnie w nerkę.

– Kazałem ci ściągać łańchy.

Posłusznie zdjął marynarkę, modląc się w duchu, by ścierpnięte ręce nie odmówiły mu posłuszeństwa. Odwiesił ją na krzesło i zajął się kamizelką, a potem krawatem.

– Szybciej, szczyłu – szepnął mu do ucha ochroniarz. – Nie chcesz się chyba spóźnić na sąd ostateczny, prawda? Do naga, ale już.

Zawstydzony książę szarpnął za pasek i ściągnął spodnie wraz z przemoczonymi szortami. Nie chciał, by ktoś je zobaczył. *Zaraz cię zabiją* – skarcił się. – *Zastrzelą, jeśli się nie pospieszysz, więc co tam obszczone gacie!* Oczyma wyobraźni widział jednak miny opiekunek. Kobiety pomimo lęku uśmiechały się drwiąco na widok skurczonych ze strachu jąder, a księżniczka Liechtensteinu, lekceważąc etykietę, wskazywała palcem jego ptaszka. Śmiała się.

Zacisnął powieki, powstrzymując łzy wstydu i bezsilności. Spróbował zdjąć buty, ale omal nie upadł.

– Ja to zrobię – syknął Egipcjanin i zaczął rozwiązywać mu sznurowadła. Chłopiec z ociąganiem ściągnął koszulkę i przejechał ręką po włosach.

– Już – wyszeptał drżącym głosem.

Terrorysta pokręcił głową i zerwał wiszący na jego szyi łańcuszek z krzyżykiem.

– Teraz jesteś gotów – stwierdził, chowając zdobycz do kieszeni. – Ruszaj.

Vincent usłyszał, że za jego plecami zaczęło się robić jakieś zamieszanie, zapłakało też kilka niemowląt. *Żyją* – odetchnął głęboko, lecz wtedy w nagie stopy księcia wbiły się leżące na ziemi okruchy rozstrzelanych posągów.

Siedzący na tronie wyciągnął rękę, w której, nie wiadomo skąd, pojawiła się nagle szalkowa waga.



Łysy mężczyzna, który pojawił się w holu, mógł uchodzić za przywódcę terrorystów. Szedł wyprostowany, powoli i pewnie, stawiając najpierw pięty, potem palce. Ręce trzymał założone z tyłu jak turysta zwiedzający muzeum. Pochwyciwszy wzrok Stevensona, uśmiechnął się.

– Witam – rzucił radośnie, beztrąsowo. – Miło, że nas pan zaszczycił.

Stevenson skinął głową, ale nie odpowiedział. Jeśli możesz – brzmiąca pierwsza zasada negocjacji – poczekaj z pierwszym słowem, aż spojrzysz rozmówcy w oczy. Tam zazwyczaj czai się najlepsze pierwsze zdanie. Czasem nawet cała rozmowa.

Tym razem jednak było inaczej. Jeśli stalowoszare oczy mężczyzny były zwierciadłem jego duszy, nie zapowiadało się, by czekało go życie wieczne.

– Nazywam się Nagib al-Alim. – Łysy przyłożył rękę do serca i skłonił się lekko. – Najwyższy kapłan Anubisa.

Stevenson nie wiedział, jak potraktować tę część o Anubisie, ograniczył się więc do delikatnego uśmiechu.

– William Swift – odparł. – Scotland Yard.

– Mam nadzieję, że nie wpada pan do nas jak po ogień, panie Swift. – Kapłan położył mu rękę na ramieniu, a drugą wskazał otwarte drzwi pomieszczenia ochrony. – I uda nam się choć trochę porozmawiać, zanim odbijecie nam te wszystkie duszyczki.

– Też mam taką nadzieję – zgodził się negocjator.

Łysy mrugnął do niego i roześmiał się.

– Dobry pan jest – pochwalił. – Bez mrugnięcia okiem.

Stevenson wzruszył ramionami.

– Jak ktoś zamawia negocjatora, zasługuje na pełen serwis – odparł.

Kolejny wybuch śmiechu kapłana dał mu potrzebną chwilę.

*Agencie Liarfather... Loki... jesteś tam?* – pomyślał. W jego głowie pojawiła się odpowiedź *nie*, ale była to bez wątpienia jego własna myśl. Żadnych obcych głosów.

Tymczasem doszli do pomieszczenia ochrony. Stevensonowi wydało się łudząco podobne do policyjnych sal przesłuchań. Szare ściany malowane olejną farbą, prosty stół o metalowych nogach przytwierdzonych na stałe do podłogi, krzesła z niewygodnymi oparciami... Brakowało tylko weneckiego lustra. Był za to automat do kawy i tarcza do rzutek. Przy automacie stał słoik, na którym ktoś starannie wykaligrafował *Zbieramy na bilard*. Pod spodem dopisano już mniej starannie: *W który grać będziemy tylko po godzinach*. Garść bilonu w środku, w tym w większości dziurawe dwudziestki piątki, nie sugerowała raczej, by zakup miał nastąpić prędko.

– Proszę, niech pan spocznie. – Kapłan wskazał krzesło. Odczekał, aż negocjator usiądzie, po czym zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu. Skinął na jednego z Egipcjan, który właśnie pojawił się w drzwiach.

– Przynies panu Swiftowi deser – polecił.

Stevenson uniósł ręce i pokręcił głową.

– Nie mam ochoty, dzie... – zaczął, ale łysy uciszył go gwałtownym gestem.

– Jeżeli nie zechce pan skosztować naszego deseru, nie mamy zupełnie o czym rozmawiać – wyjaśnił. – To tak, jakby wpadł pan na herbatkę do angielskiej królowej i...

– Rozumiem – zgodził się negocjator. Uwaga o angielskiej królowej przypomniała mu nagle dziwne



kryteria narodowościowe, jakimi kierowali się, pozwalając mu przyjść tutaj. – Z przyjemnością skosztuję waszego specjału.

Coś w uśmiechu kapłana sprawiło, że nagle poczuł się jak więzień celi śmierci, gdy w całym bloku nagle zaczynają migać światła. *Nie wyjdiesz z tego cały – mówił ów uśmiech – a żyć będziesz tylko tak długo, jak mi się spodoba.*

*Loki! – spróbował raz jeszcze. – Jest tam ktoś, do jasnej cholery?!*



Niewidzialność była darem, który cieszył Lokiego najbardziej ze wszystkich. Owszem, zmiana kształtu niezła sprawa, tworzenie iluzji też miało wiele zastosowań, ale tylko niewidzialność dawała prawdziwą radochę. Gdyby ktoś go zapytał o zalety takiego stanu, Kłamca z miejsca mógł wymienić tysiące już wypróbowanych. *Można kochać się z na wpół śpiącymi kobietami, gdy tuż obok chrapią ich mężowie – powiedziałby w pierwszej kolejności. – Można dopomóc jakiejś życiowej ofierze do cna ograć kumpli w pokera, a potem, najlepiej tego samego dnia, gdy frajer pijany swym szczęściem postanowi wrócić do domu, napaść go w ciemnym zaułku.* Ileż to razy związał się ze śmiechu na widok wymownych spojrzeń policjantów słuchających gadki o niewidzialnym grabieżcy.

Najlepszym jednak zastosowaniem niewidzialności, jakie do tej pory wymyślił, było oczywiście sianie lęku i niepewności. Jak wtedy, wieki temu, gdy wkradł się do fortecy, by zranić pana zamku skrytobójczym pchnięciem. Nie musiał go zabijać, wystarczyło tylko skorzystać z okazji, że wokół byli sami zaufani. Kiedy trzy dni później wróg przypuścił szturm na zamek, nie miał już kto go bronić.

Loki uśmiechnął się do swych myśli i raz jeszcze rzucił okiem na nóż wiszący przy pasku wąsacza. Zerknął za Stevensonem, ale ten właśnie zniknął za drzwiami pomieszczenia ochrony. *Właściwie co to komu szkodzi? – pomyślał. – Metoda sprawdziła się już nieraz. Choć z drugiej strony...* Niewiele obchodzili go zakładnicy, ale świadomość, że może zrobić coś, co nie spodoba się aniołom, zwłaszcza Michałowi... Westchnął bezgłośnie. Innym razem.

Jeden z terrorystów ruszył w stronę sali bankietowej. Kłamca postanowił pójść za nim.

Teraz, gdy przestał go kusić nóż wąsacza, mógł zastanowić się nad tym, co tutaj dostrzegł i usłyszał. Jak się przedstawił ten łysy? Kim się nazwał? Najwyższym kapłanem Anubisa? Wolne żarty, przecież nawet nie wyglądał na Egipcjanina. Ale jeśli to prawda, to by znaczyło, że...

Zaczął żałować, że nie wziął ze sobą miecza. Na takich jak szakalogłowy nie pomogą karabiny. Właściwie to ostrza też nie był pewien. Nigdy jeszcze nie walczył z sędzią śmierci. On niewątpliwie musi mieć u niej względy.

Dostrzegł, że jego nieświadomy niczego przewodnik dotarł już do samych drzwi i złapał za klamkę. Chcąc wejść wraz z nim, musiał się pospieszyć.

*Loki! – usłyszał nagle w głowie, ale nie miał czasu ani ochoty odpowiadać. Zaczął biec.*

Egipcjanin otworzył.



*Wygląda jak noc* – przemknęło mu przez głowę, gdy spojrzął w czarny otwór lufy. Nie zwyczajna noc, ale taka, jaką zwykle pokazują w horrorach – Mrok, w którym czai się bestia. Nie potrzebował widoku żółtych ślepi, by wiedzieć, że one też tam są, choć teraz jeszcze przymknięte. Ale potwór czai się, czekając, aż uwolni go jedno szarpnięcie. Jedno jedyne pociągnięcie spustu.

Był przerażony, ale miał nadzieję, że tamci tego nie widzą. To tylko banda tchórzów. Gdzież im do niego, potomka królów?!

– Na to też nie zamierzasz odpowiadać w żaden sposób? – usłyszał szept stojącego przed nim Egipcjanina.

Nie odpowiedział. Stał dumnie wyprostowany, ogniskując spojrzenie nieco powyżej głowy zbira.

Ten wzruszył ramionami.

– No skoro tak... – westchnął. I strzelił.

Przez ułamek sekundy książę czuł ból. Potem nagle pojawiło się oślepiające światło i uczucie, jakby chudł albo więdł w przyspieszonym tempie niczym rośliny na filmach przyrodniczych w BBC. Ze zdumieniem odkrył, że jego ciało pada bezwładnie na ziemię, a on sam leci ku górze coraz wyżej i wyżej. Uniósł głowę i dostrzegł, że sufit stał się przezroczysty. Mógł przezeń zobaczyć niebo, chmury i... krążącego niespokojnie anioła. Skrzydlata postać miotła się tam i z powrotem, a jej ruchy w niczym nie przypominały powietrznego baletu, o którym tyle mu mówił biskup Thomas. Zachowywała się raczej jak mąż obserwujący przez wielką szybę kawiarni rozpedzoną ciężarówkę, która z każdym ułamkiem sekundy jest coraz bliżej jego przechodzącej po pasach żony.

A potem chłopiec zaczął spadać...

Dusza Edwarda poruszyła się niespokojnie. Miała już dość myśli i wspomnień, które naraz zaczęły być dla niej tym, czym grawitacja dla zmęczonego ptaka. Pozostały kawałek, cząstka Stwórcy, z całych sił ciągnęła ku górze, ale to nie pomagało. Wręcz przeciwnie.

Bo co z tego, że ciągnęła, skoro nie dało się wyjść z tego budynku? Za każdym razem, gdy dusza dotykała którejkolwiek z zewnętrznych ścian hotelu, nawet najbardziej oddalonych od sali bankietowej, powracało to paskudne wspomnienie z ostatnich chwil życia. Cóż znaczy, że zachował się jak bohater, skoro nie może wyjść z tego pieprzone...

*Dusza nie powinna przeklinać* – upomniało go ukryte w boskiej części sumienie.

*Pieprzony to nie przekleństwo* – sparowała cała reszta. – *Chcesz usłyszeć, jak przeklinam, to...*

Wtem na myślowym oceanie pojawiła się wysepka. Przecież to oczywiste! Niewykonane zadanie. Tak zawsze dzieje się w filmach. Dusza nie idzie do nieba, dopóki nie spłaci długów, nie pożegna się z żoną, nie zbuduje synowi domku na drzewie albo...

*Vincent* – pomyślał nagle. – *Chodzi o Vincenta! Muszę go uratować.*

Wzniósł się prawie pod sam sufit i pomknął przez ściany do sali balowej.



– Trzeba wam przyznać, że nieźle wybraliście sobie cel ataku – stwierdził Stevenson. – Wszyscy książęta świata, no, no... Bardzo medialne.

– Dziękujemy za uznanie. – Uśmiech nie zniknął ani na moment z twarzy kapłana. – Zawsze uważałem, że wystarczy setka uzbrojonych ludzi i jedna mądra głowa, a można zawojować świat. Jak mawiają, chcieć to szukać sposobu.

– A nie boi się pan, że po przeciwnej stronie barykady stoi ktoś, kto również potrafi używać mózgu?

Kapłan uniósł wskazujący palec i pogroził nim negocjatorowi.

– Nie słucha mnie pan, panie Swift – powiedział z wyrzutem. – Przecież powiedziałem panu, że nie ja jestem tu szefem. Jestem tylko kapłanem. A kogoś takiego jak nasz wódz na pewno u siebie nie macie.

Do pomieszczenia wszedł terrorysta ze szklaną miseczką wypełnioną jabłkowym musiem. Postawił ją przed Stevensonem i z kieszeni wyciągnął łyżeczkę. Niedbałym ruchem wytarł ją o spódnie.

– Smacznego – burknął. Ponaglony gestem kapłana wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Smacznego, panie Swift – powtórzył Nagib al-Alim.

Negocjator wzruszył ramionami i zanurzył łyżeczkę w musie. Odruchowo zamieszał, po czym nabrał i spróbował. Nie smakowało wcale najgorzej.

– Mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam ten poczęstunek? – zapytał, gdy żadna kolejnej porcji łyżeczka zaskrobała po dnie naczynia. – Czy znajdowało się w tym jakieś serum prawdy albo coś takiego? Bo jeśli tak, to muszę pana rozczarować, ale nie mam pojęcia, co planują ci na zewnątrz na wypadek, jakby nie udało mi się z wami dogadać. Negocjatorom nie mówi się takich rzeczy.

Kapłan wstał i podszedł do wiszącej na ścianie tarczy. Wyjął z niej rzutki, po czym cofnął się o kilka kroków. Przez moment zachowywał się tak, jakby Stevenson zupełnie przestał go obchodzić. Uniósł jedną strzałkę, wycelował i rzucił. Za dwadzieścia punktów.

– W pewnym sensie rzeczywiście podaliśmy panu serum – powiedział, celując ponownie. – Ale nie tak

banalne, jak to zmuszające do mówienia prawdy. Są lepsze sposoby na szczerość. Zabawniejsze.

Rzutka pomknęła do tarczy. Znowu dwudziestka, ale tym razem liczona podwójnie.

– Zjadł pan właśnie jabłko ze świętego drzewa, panie Swift. Nadaliśmy panu boską moc tworzenia.

Stevenson skrzywił usta.

– Niech pan nie będzie śmieszny.

Kapłan odwrócił się błyskawicznie. Strzałka w jego podniesionej ręce celowała prosto między oczy Anglika.

– Kolejny raz łamie pan zasady negocjacji – powiedział spokojnie Nagib al-Alim, choć w jego oczach czał się gniew. – Najpierw mnie pan nie słucha, a teraz kpi pan z moich słów. Czy ja, pańskim zdaniem, wyglądam na błazna? Radzę przemyśleć odpowiedź, biorąc pod uwagę, że mam tam cały pokój bachorów i ich nianiek zamkniętych do spółki z pięćdziesiątką uzbrojonych ludzi.

– Przepraszam – szepnął Stevenson, schylając głowę.

– Tak już lepiej – powiedział łysy z uśmiechem. Ponownie odwrócił się do tarczy i rzucił. Trafił w sam środek. – A wracając do pańskiej mocy, panie Swift. Mimo iż nie dysponujemy większą ilością cudownych jabłek, obdarzyliśmy nią wszystkich naszych zakładników. Wydaje mi się to wystarczającą gwarancją, że nie zamierzamy zabić ich więcej niż potrzeba. A potrzeba naprawdę niewiele.

– To pocieszające – przyznał negocjator. – Nadal jednak nie rozumiem...

– Na czym polega pańska nowa moc? A może dlatego zdecydowaliśmy się właśnie na to miejsce? Bo tego, że nie chodzi nam o okup, już się pan pewnie domyślił.

– Tak.

Kapłan kolejny raz podszedł do tarczy i sięgnął po rzutki, ale rozmyślił się. Wygrzebał z kieszeni monetę i wrzucił do stojącego obok automatu.

– Kawy?

– Dziękuję, może później. Nie komponowałyby się ze smakiem jabłek. – Stevenson zawahał się. – No, chyba że powinienem ją wypić. W takim razie chętnie.

Nagib al-Alim wybuchnął śmiechem.

– Brawo, panie Stevenson. Gdzieś to podobno mawiają, że mądrej głowie dość dwie słowie. Znakomicie. Nie musi pan pić, jeśli pan nie chce.

– W takim razie nie chcę.

Wewnątrz automatu zaszumiało, a chwilę potem rozległo się cichutkie *dzyń*. Kapłan wyjął kubek i wrócił na swoje miejsce przy stoliku.

– Czytał pan kiedyś Biblię, panie Swift? – zapytał. Odczekał, aż negocjator skinie głową i kontynuował:

– Przerazająca lektura, prawda? Ta cała Sodoma i Gomora, albo opowieść o córkach Lota, które ojciec oddał na gwałt, by tylko ratować jakichś gości. Czy uważa pan za właściwe, by święta księga proponowała coś takiego swoim wiernym? Księga, którą uznaje większość cywilizowanego świata?

Stevenson ponownie skinął głową. Wiedział, że nie musi odpowiadać, a nie zamierzał kolejny raz wyrwać się przed szereg. I tak wyjątkowo mu dziś nie szło.

– A słyszał pan o egipskich plagach? Zwłaszcza o ostatniej z nich, pladze anioła śmierci? *Wszystko pierworodne Egiptu, od pierworodnego syna faraona, który siedzi na swym tronie, aż do pierworodnego tego, który był zamknięty w więzieniu. Wszyscy mieli zginąć. I za co? Za to, że, jak każdy naród w owych czasach, trzymaliśmy niewolników. Żydzi oczywiście wiedzieli, jak się uratować, oni zawsze to wiedzą. Mieli tę swoją krew baranka na drzwiach, która nie pozwoliła żadnemu z aniołów przekroczyć progów ich domostw. Więc pierworodne Moški i Icki ocalały.*

Przerwał na moment, by upić kawy i przyjrzeć się, jakie wrażenie robią jego słowa na rozmówcy.

Robiły duże. Z każdym usłyszonym zdaniem Stevensonowi trudniej było ukryć, że ma łysego za wariata. Niebezpiecznego wariata. Kolejny raz spróbował połączyć się z Lokim i kolejny raz bezskutecznie. To pewnie coś z tym pokojem. A może mikrokomputer nie był kompatybilny z jabłkami.

– Nadszedł jednak czas – podjął znów kapłan – gdy postanowiliśmy zakosztować zemsty. Zwłaszcza, że nadeszła wspaniała okazja. Odrodził się nasz bóg i przyniósł ze sobą wykradzony innym bogom dar. Niby zwykły kosz jabłek, a jednak są w stanie zwiększyć jego moc, gdy nakarmić nimi ludzi. Wystarczy, że

uwierzą w jego potęgę.

– A jeśli nie uwierzą?

– Nie można nie uwierzyć w coś, co się widzi – odparł Nagib al-Alim. – Prędzej czy później pański wzrok wyjaśni mózgowi, że ma rację. Zawsze tak jest. A dziś nasz bóg objawi się wszystkim pierwszym wśród pierwotnych Europy. Ich dzieci, spadkobiercy tamtych Żydów, staną się naszymi dziećmi.

– Przecież tu są niemal same niemowlaki! – zauważył Stevenson. – Jak one mogą rozpoznać czyjąkolwiek potęgę? Może choć te maluchy pan puści?

– Wiara dziecka jest mocą potężną i dającą się kształtować, panie Swift. Ukształtują ją starsze dzieci i niańki. No i pan, oczywiście.

– Niańki też są pierwotne?

– Nie, na ich wybór nie mieliśmy wpływu. Ale nie muszą być, to nie wymóg, a jedynie symbol. Coś jak napisana szpadą litera “Z” na drzewie. Chcemy, by wiedział, że to właśnie my.

– Kto? – nie zrozumiał Anglik.

Kapłan popatrzył na niego z politowaniem.

– A jak pan myśli? Bóg Żydów oczywiście. I jego pieprzone anioły. Te same, które pewnie krążą teraz na zewnątrz wściekle, że nie mogą wejść do środka.

Zerknął na zegarek.

– Chyba już czas na nas. Oczywiście pan również będzie świadkiem tryumfu ostatniego z egipskich bogów, cieszy się pan?



*To nie jest maska* – wrzeszczała świadomość Vincenta. Za wszelką cenę starała się zapanować nad nogami, ale te miały już nowego pana i nie słuchały rozwrzeszczanego kawałka mózgu. Stopień po stopniu powoli niosły ciało na podest. – *To nie jest maska, on naprawdę ma głowę szakala!*

Siedząca na tronie postać nadal wyciągała do księcia rękę. Dopiero teraz chłopiec mógł dostrzec, że ten półczłowiek trzymał w niej maleńkie piórko. Waga w jego drugiej dłoni zakołysała się delikatnie jakby zniecierpliwiona.

– Chodź – warknął szakalogłowy. – Pokaż mi, ile waży twoja dusza.

Nogi Vincenta zmusiły go do wejścia na dwa kolejne stopnie i wykonania kilku kroków po otaczającym tron piasku. Prawa ręka księcia uniosła się, a lewa pomknęła ku piersi. Ku sercu.



*Nie!!!* – wrzasnęła swym niemym krzykiem dusza księcia Edwarda. Wpadła do sali balowej właśnie w momencie, gdy ręka Vincenta wniknęła w klatkę piersiową. Nie wbiła się, nie było ani śladu krwi, ani trzasku pękających kości, a mimo to Edward miał pewność, że się spóźnił. Bo żywi nie wkładają sobie dłoni do piersi i nie wyciągają z nich bijącego wciąż serca. A jeśli nawet, to nie idą z nim później przed siebie, by położyć je na wadze kogoś o głowie szakala.

Żywi ludzie nie słyszą też krzyków dusz, a Vincent odwrócił wzrok i spojrzał wprost na niego. Nawet uśmiechnął się nieśmiało.

Edward spuścił swą niematerialną głowę, nie chcąc patrzeć w smutne oczy księcia Monako. Mimowolnie zerknął na zakładników i ich oprawców.

Wszyscy stali jak zaczarowani rozgrywającą się na podwyższeniu sceną. Niańki znów zasłaniały dzieciom usta, trzymały je jednak zgodnie z poleceniem tak, by brzdące mogły wszystko widzieć.

Terroryści znów stali pod ścianami, ale tym razem na baczność z bronią na ramieniu. Na ich twarzach malowała się duma i strach. Bojaźń boża. Cnota wierzących naprawdę.

Naraz rozległ się cichutki brzdęk. Edward ponownie zerknął w stronę podwyższenia. Szalka wagi, na której spoczęło serce chłopca, przeważała drugą, pustą. Szakalogłowy wstał.

– Niech osądzona będzie dusza twoja – warknął w jednym z umarłych języków, który jednak

wszystkim na sali wydał się znajomy i zrozumiały. – Niech ukaże mi wszystkie swe brudy i objawi ciężar swych grzechów. Bo ja jestem Anubis, pan i sędzia śmierci, a teraz także i życia. Po wieki wieków, aż przeminie ostatni z rodu ludzkiego.

Jego głowa poruszyła się zupełnie jak u aktora, który chce ocenić wrażenie, jakie wywarł na publice. Miał powody do radości. Wszyscy, nawet jego słudzy, wpatrywali się w niego z lękiem.

Triumfującym gestem powoli podniósł do góry piórko i upuścił je na drugą szalkę. Puch, wirując w powietrzu, powoli opadał na właściwe miejsce, po czym ku ogromnemu zaskoczeniu Anubisa... przeważył szalę.

– Niewinny? – ryknął szakalogłowy, spoglądając z nienawiścią na Vincenta. Miał zamiar rozszarpać go pokazowo, unieść w powietrze siłą woli i zrzucić spod samego sufitu wprost na kolce, które nagle wyrosły z podłogi. Mógłby to zrobić, gdyby waga nie drgnęła, mógłby, nawet gdyby szalki wyrównały się, ale teraz...

Zdjął tętniące serce z wagi i wepchnął je w pierś księcia z taką siłą, że chłopiec spadł z podestu. Znieruchomiał. Dusza Edwarda błyskawicznie rzuciła się ku niemu.

Wtedy w drzwiach sali stanęło dwóch mężczyzn. Od niższego z nich, siwego, biła aura podobna do tych, które Edward wyczuwał w niańkach, niemowlakach i strażnikach. Tyle że blask mężczyzny był ostrzejszy. Zupełnie jakby... określony.

Nagle duch księcia Anglii poczuł, że coś go ciągnie niczym odkurzacz wsysający pajęczynę beczelnie rozciągniętą pod sufitem. Tym czymś było leżące na podłodze jego własne ciało.



Pierwszym, co Stevenson zauważył po wejściu do sali, było ciało chłopca leżące przy przeciwnej ścianie. Pierwszym, co pomyślał: *To nie może być on*. Gdyby ktoś zapytał go o to, co działo się później, pewnie odpowiedziałby stwierdzeniem w stylu: *To naprawdę nie była maska*, i obłudnym chichotem. Takim, od którego włoski na karku stają dęba. Bo tak śmieją się tylko szaleńcy, którym wcale nie jest do śmiechu.

Jeden rzut oka na zakładników upewnił go, że wszystko, co jest w tym momencie istotne, ma miejsce na podeście dla orkiestry. Podeście, na którym miotał się człowiek w masce Anubisa. Tyle że głowa szakala wyglądała tak żywo, tak prawdziwie. Drgały na niej mięśnie, z pyska ciekła piana. No i te oczy rzucające gniewne spojrzenia. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Samuel Stevenson uwierzył. Wpatrywał się właśnie w oblicze egipskiego sędziego dusz. Boga, któremu nie wszystko szło zgodnie z planem. Powietrze wokół wagi zafalowało. Najpierw pojawił się dociskający szalkę z piórkiem palec, a potem...



– Ty! – warknął Anubis. Pragnął, by owo warknięcie zabrzmiało przerażająco, ale głos mu się załamał i przeszedł w pełen strachu skowyt. – Ale jak?

Stojący naprzeciw niego archanioł Michał zdjął palec z wagi i skrzywił się w uśmiechu. Wokół jego oka rozbłysły płomienie.

– Myślałeś, że powstrzyma mnie głupia kreska na drzwiach? – zadrwił. – Nie te czasy, kundlu. Wiesz, dlaczego ciągle jesteśmy najlepsi? Bo zmieniamy metody. I zatrudniamy nowych.

Ręką wskazał łysego kapłana. Mężczyzna na moment przybrał postać ubranego w hawajską koszulkę uśmiechniętego blondyna, po czym znów stał się sobą.

– Ty zdrajco! – warknął do niego Anubis. – Wszystko mu powiedziałeś. Później się z tobą policzę.

Kapłan rzucił coś w odpowiedzi, ale szakalogłowy już go nie słuchał. Cofnął się o krok i stanął gotów do walki.



Stevenson nic już nie rozumiał. Do tego momentu wszystko zdawało się do siebie pasować, choć układanka była zupełnie irracjonalna. Jak sztuka psychodeliczna z czasów jego młodości. Ten cały kapłan, mus, historia z pierworodnymi, a na koniec sam Anubis. Owszem, to było szaleństwo, ale przynajmniej dobrze zmontowane. Teraz jednak, odkąd obok Anubisa pojawił się ten klaun ze swymi sterczącymi na boki rudymi włosami, ogromnym czerwonym nosem na białej twarzy i hulahoopem zamiast paska, negocjator zaczął się zastanawiać, jakie halucynogeny zjadł razem z musem jabłkowym. Zwłaszcza że szakalogłowy wyglądał, jakby bał się tego pajaca.

– Ty zdrajco! – warknął właśnie do stojącego obok Stevensona kapłana. – Wszystko mu powiedziałaś. Później się z tobą policzę.

Łysy spojrział zdumiony najpierw na negocjatora, potem na Anubisa.

– Ależ panie, przecież sam chciałeś, bym mu wyjaśnił! – prawie krzyknął.

Ale jego bóg już nie słuchał. Z pełnym lęku wyczekiwaniem patrzył na klauna.

Od strony zakładników dobiegło Stevensona kilka pełnych zdziwienia szeptów, a nawet stłumionych chichotów.

I wtedy właśnie klaun wyciągnął zza pleców zrolowaną gazetę...



Archanioł wrzucił ramionami i lekceważąc gardę przeciwnika, wyprowadził krótki prosty dokładnie w nos Anubisa.

Trysnęła krew. Sędzia śmierci cofnął się, opuszczając ręce.

– Śmieję się z ciebie – kpił Michał. Postąpił krok do przodu. – Pewnie czekają, aż zaczniesz aportować. Choć, jak dla mnie, lepiej byś zrobił, gdybyś spróbował na przykład... ja wiem, może *zdechł pies*... Co ty na to?

– Czego chcesz? – Głos Anubisa skowyczał coraz bardziej.

– Masz szczęście, sukinsynu... – Archanioł przerwał na moment, by zaraz wybuchnąć śmiechem. – To mi się udało. Sukinsyn. Pasuje, nie?

– Powiedz mi, czego chcesz ode mnie – poprosił szakalogłowy.

– Masz szczęście, bo trafiłeś na mój dobry humor, a to nie zdarza się często. – Michał dostrzegł, że egipski bóg zaciska dłoń w pięść. Pokręcił głową. Anubis natychmiast rozluźnił rękę. – Zaraz obdarzę cię niewidzialnością, oczywiście niecałkowitą, bo ja i moje anioły będziemy cię widzieć. Obdarzony tą nową mocą opuścisz hotel i będziesz uciekał tak długo, dopóki nie dostaniesz zadyszki ze zmęczenia.

– Ja nigdy nie czuję zmęczenia. – W egipskim bogu odezwała się resztką dumy.

Archanioł zbył ją kolejnym wrzuceniem ramion.

– Tym lepiej. A swoimi wiernymi się nie przejmuj. Dopilnujemy, by wszyscy przeżyli. Nie chcemy cię przecież zabić, prawda? A teraz popatrz tutaj.

Wysunął ku niemu pierś. Anubis pochylił się ku niej.

– Odskoocz gwałtownie – polecił Michał.

Szakalogłowy wykonał polecenie.

– A teraz znikaj. I nie oglądaj się za siebie.



Kiedy na nos Anubisa spadła gazeta, zakładnicy powyżej trzeciego roku życia śmiali się w głos, nic sobie nie robiąc ze strażników. Terrorysty patrzyli po sobie zdezorientowani, a głosy zwątpienia były coraz głośniejsze. Najwyższy kapłan Anubisa zrobił mały kroczek ku drzwiom. Stevenson dostrzegł to i z całej siły uderzył go w brzuch. Łysy zgiął się wpół, wypuszczając z płuc powietrze. Anglik sprawdził, czy ktokolwiek coś zauważył, ale zgodnie z jego oczekiwaniami wszyscy patrzyli w stronę sceny. Tam odbywało się główne przedstawienie. Korzystając z okazji, wyciął kapłanowi haka, a gdy ten runął na ziemię, kopnął go jeszcze w zębra.



– Że też negocjatorów zawsze omija najlepsza zabawa – westchnął, poprawiając kopnięcie drugim, w okolicę nerek.

Na scenie tymczasem Anubis pochylił się, by – tak to przynajmniej wyglądało – powąchać wielki kwiatek na piersi klauna. Odskokzył, gdy ochlapał go strumień wody, po czym... zniknął.

Stojący blisko wejścia Stevenson poczuł, jak coś odpycha go gwałtownie, a potem drzwi otworzyły się i same zatrasnęły.

Klaun na scenie spojrział w stronę publiczności, bezradnie rozkładając ręce.

– Wygląda, że to już koniec przedstawienia – powiedział z udanym smutkiem. – Czas rozejść się do domów. Oczywiście dla tych najbardziej opornych przygotowaliśmy mrozący krew w żyłach pokaz najbardziej jadowitych gadów świata.

Strażnicy poczuli nagle, że broń wije im się w rękach. Mądrzejsi wyrzucili ją natychmiast, głupszy, dopiero gdy ich karabiny zaczęły syczeć. Wrzaski z korytarza świadczyły, że pokaz odbywa się również i tam.

Przerażeni terroryści znów przenieśli wzrok na klauna. Jego twarz wydała im się nagle upiorna. Obrzydliwe czerwone oczy świdrowały mózgi, obleśny długi język wystawał z bezdennej czeluści, jaka kryła się za żółtymi zwierzęcymi kłami.

– To jak? – wycharczała bestia. – Idziecie sobie, czy też może chcecie balonika? Albo gumowy basenik, w którym będziemy się pływać? To dla mnie żadna sprawa.

Rzucili się ku drzwiom. Stevenson z uśmiechem obserwował, jak w panice tratują leżącego przy wejściu kapłana.

*Ja popełniam błędy – myślał pełen satysfakcji. – A jak nazwiesz to, panie wielki kapłanie? Przynajmniej jestem po właściwej stronie, dupku.*

Gdy ostatni strażnik uciekł z sali, klaun ukłonił się pięknie i zniknął, pozostawiając po sobie różowy obłoczek w kształcie baranka.



Archanioł Michał zaczynał się niecierpliwić. Było to widać w jego ruchach i ciągłym powtarzaniu: *Wiedziałem, że się nie uda.* Wódz zastępów był stworzony do działania, a nie czekania, aż wyręczą go inni.

Właśnie usiadł, skończywszy kolejny nerwowy spacer po koronie drzewa, gdy drzwi hotelu nagle się otworzyły. Zaszleścił zmieniający pozycję snajper. Rozległ się masowy szcęk odbezpieczanych pistoletów i karabinów. Wszyscy czekali.

Tyle że nie było na co.

– Coś ty tam narobił, Loki? – szepnął, uśmiechając się, Michał.

Widok pędzącego na złamanie karku Anubisa w mig rozwiął wszystkie jego troski. Dobył miecza. Pozostali aniołowie trwali w bezruchu. Nie, żeby mieli na to ochotę, wiedzieli jednak, że wódz nie życzy sobie, by przeszkadzać mu w polowaniu. Na jego zwierzyne.

Wzbił się w powietrze, przez chwilę fruwał nad szakalogłowym, po czym wyprzedził go i opadł na ziemię.

– Dokąd to? – zapytał.

Anubis wydawał się zaskoczony.

– Przecież pozwoliłeś mi odejść – zaskomlał.

– Doprawdy? – Wzniesiony ognisty miecz zapłonął jaśniejszym blaskiem. – Więc jak to możliwe, że nie pamiętam?

Nie czekając na odpowiedź, doskoczył do szakalogłowego i wbił mu ostrze prosto w rozchyłony pysk. Zaskwierczało.

Archanioł od razu poczuł się lepiej.



Vincent powoli odzyskiwał przytomność, czy też – o czym był przekonany – budził się z dziwnego snu. Bo czy na jawie mógł stanąć przed sądem Anubisa? Czy mógłby wyciągnąć sobie serce i iść, trzymając je w ręce? Nedorzeczność.

Ktoś podawał mu rękę, ktoś, kogo twarzy nie był w stanie dojrzeć z powodu światła padającego zza jego głowy. Skorzystał z pomocy i po chwili stał na nogach... by za chwilę omal nie upaść z powrotem.

– Edward? – zapytał. – Przecież ty nie żyjesz!

Księżę Anglii wzruszył ramionami.

– Też mi się tak wydawało – odparł. – Ale musieli chybić.

– Jak to chybić?! Przeszeli ci czaszkę! Na wylot! Cholera, Edward, teraz nie masz nawet zadrapania. Jak to możliwe, że wstałeś z martwych?

Na dźwięk imienia księcia jakiś mężczyzna stojący przy grupie zakładników odwrócił się raptownie.

– Księżę Edward? – krzyknął. Oddał trzymane dziecko opiekunce i podbiegł do chłopców, po drodze przyczesując siwe włosy. – Jak się cieszę, że żyjesz! Z całego serca wierzyłem, że nic ci się nie stało.

Brytyjski następca tronu popatrzył na niego ze zdziwieniem, po czym wyciągnął rękę.

– Pan się nazywa...

– Stevenson. Samuel Stevenson. Scotland Yard.

– Panie Stevenson – księżę wyprostował się – dziękuję za pańską wiarę i wszystko, co zrobił pan dla Korony. Nie będzie to panu zapomniane.



Te dwa dni wolnego naprawdę się Stevensonowi należały. Właściwie należało mu się ich dużo więcej, ale swoim zwyczajem odmówił skorzystania z dłuższego urlopu. Tym razem nikt nie nalegał. W końcu Stevenson był bohaterem. Na dodatek mądrym, bo niewspominającym w raporcie o klaunach, wężach czy egipskich bogach.

Zerknął na stojącą przy stoliku walizkę, potem na zegarek i zamówił jeszcze jedną kawę.

– Pan Stevenson? – zapytał ktoś za jego plecami. Negocjator odwrócił się. Przed nim stał długowłosy, brodaty blondyn w hawajskiej koszuli i krótkich spodenkach z wielkimi kieszeniami.

– A kto pyta? – zapytał.

– Nazywam się Liarfather. Agent Loki Liarfather.

Oczy siwego mężczyzny rozszerzyły się na moment.

– Nikt taki nie istnieje – powiedział po chwili. – Sprawdzalem, pytałem...

Loki zajął miejsce przy stoliku.

– I nikt nie przyznał się panu, że wykorzystano pana do przetestowania prototypowego wynalazku wartego miliony dolarów i to na dodatek bez pańskiej wiedzy? – udał zdziwienie. – A to zaskakujące!

Stevenson wzruszył ramionami.

– Skoro to takie tajne, to w takim razie, co pan tu robi? Czyżby ryzykował pan życie, żeby mi się ujawnić? Jak w “Archiwum X”?

Podeszła kelnerka, postawiła na stoliku zamówioną kawę i wyczekująco spojrzała na Kłamcę.

– Poproszę jakiegoś drinka z parasolką. Obojętnie jakiego.

Przyglądał się jej przez chwilę, jak odchodzi, kręcąc pupą. Wiedział już, co będzie robił w nocy.

– Pytałem, czy... – negocjator wyrwał go z miłych planów.

– Wiem, o co pan pytał – odparł Loki, nie przestając śledzić wzrokiem kelnerkę. – Odpowiedź brzmi *nie*. Oczywiście jestem tu na polecenie moich przełożonych, których zaniepokoił jeden szczegół w pańskim raporcie.

Powoli przeniósł spojrzenie na Stevensona. Sięgnął do pojemniczka z wykałaczkami. Wydobył jedną i włożył do ust.

– Wspomniał pan, że karmiono pana jabłkami pochodzącymi podobno z kosza, który ich rzekomy bóg ukradł innym bogom.

– Nic podobnego! – Negocjator niemal krzyknął oburzony. – Napisałem o próbie otrucia



funkcjonariusza na służbie. Proszę wrócić do archiwum Scotland Yardu i przeczytać dokładnie.

– Tak, czytałem bardzo dokładnie. Mam jednak na myśli ten poprzedni raport, który dał pan niszczarce na pożarcie.

– Ja wiem, że brzmi to niedorzecznie – zaczął cicho Stevenson, ale Loki pokręcił głową.

– To wcale nie brzmi niedorzecznie. A moje pytanie brzmi: czy powiedzieli, jakim bogom?

### *Gdzieś na Śląsku Polska*

Robert Majnicki nie był satanistą. Prawda, nosił pentagram, czytał Czarną Biblię i pluł na widok krzyża, ale to wszystko raczej z przyzwyczajenia niż z prawdziwej potrzeby. Choć właściwie był jeden powód skrzętnie ukrywany przed resztą bractwa. Za wszelką cenę starał się ukryć, że na pierwsze spotkanie pchnęła go jedynie obietnica, iż będzie tam goła Strońska z IV b. Miał wtedy piętnaście lat i szansa na obmacanie najbardziej zajebistej laski w całej tej zapadłej dziurze, była dla niego największym darem, jaki mógł dostać. Skorzystał... i tak już zostało.

Przez dwa lata, jakie minęły od tamtej pory, piwnicę u “Magusa” Kolińskiego, gdzie się spotykali, nawiedziły jeszcze tabuny innych dziewczyn, może nie tak zgrabnych jak Strońska, ale z pewnością dużo bardziej ochoczych i zaangażowanych w sprawę. Ideały towarzyszące powstaniu bractwa powoli wietrzały, by stać się w końcu resztkami zatartych symboli na ścianie, spranymi czarnymi bluzami i skrzętnie ukrywanym przed rodzicami Magusa zestawem rytualnym. Nie było źle. Aż do wczoraj... Westchnął raz jeszcze i zerknął na wystawę księgarni, choć mógłby przysiąc, że stercząc tu ponad pół godziny, zdążył się już nauczyć tytułów wszystkich leżących tam pozycji.

Zegar na wieży ratusza wybił szóstą i jak na zawołanie po drugiej stronie szyby opadła pancerna roleta, zamiast książek pokazując Robertowi jego własne zmizerowane odbicie: podkrążone oczy na bladej, wychudzonej twarzy, poskręcane w strąki, ufarbowane na czarno włosy, lekko odstające uszy. Opuścił głowę, udając przed samym sobą, że sięga po wciśniętą w przednią kieszeń dżinsów sfatygowaną paczkę papierosów.

Gdy ponownie zerknął na wystawę, obok jego własnego odbicia pojawiło się drugie, niemal identyczne. Koleś taki sam jak Robert kilka lat temu, gdy stał przed wyborem – niedzielne msze i słuchanie banałów grubasa z ambony albo czarny kościół i goła Strońska. Cóż, sprawa była oczywista...

Majnicki odwrócił się i skinął młodemu głową. Ten odpowiedział tym samym, po czym ruszyli wzdłuż ulicy. Dwa dni wcześniej pewnie przywitaliby się normalnie, jak przystało na dobrych kumpli, pogadaliby o panienkach i poszli na pizzę do “Alberta”. Ale tak było, zanim Magus znalazł tę pierdoloną książkę... Teraz nic już nie będzie takie samo.



Dom Kolińskich zupełnie nie pasował do okolicy. Właściwie to ciężko byłoby znaleźć współcześnie jakiegokolwiek miejsce, gdzie ten piętrowy budynek z wielką werandą i spadzistym, stylizowanym na drewniany dachem mógłby się wkomponować, nie dziwiąc. Chyba tylko w westernach. Bowiem właśnie z Dzikiego Zachodu blisko sto lat wcześniej przybył Zbig Kolinsky, przywożąc podobno kilka worków złota. Ledwie postawił ten dom, poszedł na wojnę, gdzie zginął od pruskiej kuli. A budynek trwał. Przetrzymał obie wojny, Stalina, Gierka i Solidarność i wyglądało na to, że przetrwa jeszcze wiele. Podobnie jak Kolińscy.

Robert wszedł pewnym krokiem na werandę i zadzwonił do drzwi. Drugi chłopak stanął nieco z tyłu jak cień.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Majnicki pomyślał nawet, że spotkanie zostało odwołane, gdy wtem otworzył im ubrany w czarną togę Magus.

Mógł mieć jakieś dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Cały zarost na jego głowie ograniczał

się do zabarwionej na czarno koziej bródki. Wyglądał jak prawdziwy mag. Jak wkurzony, prawdziwy mag.  
– Mówiłem, że starych nie ma i macie wchodzić bez pukania – powiedział, poprawiając okulary. – Jest jeszcze mnóstwo do przygotowania.

Nie czekając, odwrócił się na pięcie i wszedł do środka. Robert dostrzegł wahanie w oczach młodego. Rozumiał go. Sam też, nawet po tych kilku latach, nie czuł się tu ani trochę u siebie.

– Chcesz zobaczyć? – zapytał jednak.

– No – nowy pospiesznie kiwnął głową.

Piwnica jak zwykle śmierdziała potem, kadzidelkami, spermą i dymem. Majnicki z resztą chłopaków niejednokrotnie zastanawiali się, jak, pomimo tego zaduchu, udaje się utrzymać wszystko w tajemnicy przed rodzicami Magusa. Musieli tu przecież czasem schodzić.

Ale z drugiej strony, niby po co? Stary Magusa nie trzymał tu wina, a matka kartofli. Nie licząc rozstawionych teraz na ziemi pięciu świec, po jednej nad każdym wierzchołkiem rozrysowanego na posadzce pentagramu, czterech betonowych filarów w każdym rogu, małej mównicy ze stojącą na niej świecą i koźlą czaszką, no i, rzecz jasna, drewnianych schodów, nic w środku nie było. I raczej nie bywało.

– Nie jesteście potrzebni. Chłopaki są na górze. Idźcie do nich – powiedział Magus. Sam podszedł do mównicy i położył na niej księgę. Otworzył z namaszczeniem, delikatnie odwrócił kilka stron. Robert i jego kumpel spojrzeli po sobie. Młodszy chłopak pierwszy odważył się odezwać.

– A czy są tam jakieś laski? – zapytał. Nie była to jednak odwaga, raczej hormony.

Magus powoli uniósł głowę. Robert pamiętał, że jeszcze kilka miesięcy... co tam, kilka dni temu jego głos niewiele miał w sobie z poważnego i arcyważnego przywódcy. Brzmiał raczej jak szept dojrzewającego dzieciaka, któremu po wielu trudach udało się znaleźć miejsce, skąd będzie mógł podglądać dziewczyny pod prysznicem. Ale teraz przemówił jak jakiś popieprzony, nawiedzony prorok.

– Głupcze, czy nie pojmujesz, co właśnie dzieje się na twoich oczach?! Oto po latach udało mi się odnaleźć drogę Magii, która pozwoli kształtować cały świat podług naszej woli. Nie podołał król Salomon ani John Dee, nie udało się mistrzowi Crowleyowi. Ale oni nie szukali tam, gdzie powinni, byli bowiem, jak ty, zapatrzeni w drobne przyjemności doczesności, stali się więźniami swej chuci, która nie pozwalała im odkryć prawdziwej drogi. Jest nią zaś ten, który upadł, by odrodzić się na ziemi. On to wraz ze śmiercią spłodził nadzieję, by wszyscy mu wierni nie ustawali w poszukiwaniach. Dał też początek demonom, ażeby służyły jego wyznawcom. Ci będą mogli sprawiać, by ich wola stała się prawem. Zmienia oblicze świata, uczynią, co dotąd niewyobrażalne... Co się tak gapisz, kretynie? Rob, zabierz go stąd, kurwa, bo mu zaraz przyjebię w tę tępą głębę.

Robert skinął głową i chwycił młodego pod ramię. Dochodziła dwudziesta druga.



Majnicki wiedział, że Koliński ma odloty. Może nie takie jak teraz, ale zdarzały się... kurczę, mniej więcej co pół roku. Jak wariatom albo geniuszom.

Młody chciał wyjść i choć Robert dobrze to rozumiał, jednak włączył mu się instynkt bractwa. Przetłumaczył młodemu na schodach, że nie pyta się Magusa o takie rzeczy.

– Trochę szacunku, a nie pożałujesz. Wczoraj mówił, że kto wie, czy sama Pamela Anderson nie będzie cię błagać, byś dał jej swojego małego... – szepnęła.

– Ja? – zdziwił się nowy. I łyknął.

Teraz siedzieli w sześciuosobowym kręgu na podłodze w salonie. Wyglądali niemal tak samo, różnili się jedynie niewiele znaczącymi szczegółami, jak aparat korekcyjny na zębach, okulary, liczba pryszczycy czy wielki nos. Teraz do ich cech wspólnych należałoby dołączyć jeszcze skupienie i rozmarzenie na twarzach. Bo jak już Magus coś powiedział...

– Pieprzysz, Beniu! Pamela Anderson to pewnie była tylko przenośnia – powiedział ten z aparatem, wysłuchawszy rewelacji młodego. – No wiecie, metafora...

Wszyscy pozostali jak na zawołanie spróbowali sobie wyobrazić przywódcę mówiącego coś w przenośni. Niemal równocześnie pokręcili głowami. Jeśli istniało coś takiego jak prosty język, to właśnie

Magus był jego apostołem. Satanista z aparatem nie dawał jednak za wygraną.

– No bo nie wiem, co jest w tej książce, ale raczej nie sądzę, by po przeczytaniu jakiegoś tam zdania pojawiła się tu Pamela, żeby dać nam dupy.

– Nie nam, żadne *nam* – obruszył się Benio. Nie miał chęci dzielić się blond pięknnością. – Rob to sam słyszał, niech powie.

– No – rzucił niechętnie Majnicki i szybko zmienił temat. – A poza tym nie pamiętasz, co Magus zrobił z tą od polskiego, jak rzucił klątwę? On ma moc, a w tobie nie ma wiary, bracie.

– Zgadza się – dodał pospiesznie okularnik. Był mniej więcej w wieku Roberta. Jego zbyt równa grzywka i kilka przedzierających się spod niej blond włosków demaskowały nałożoną perukę. – A niewiara winna być karana.

Majnicki pokiwał głową.

– Też myślę, że może się udać – powiedział poważnie. Miał nadzieję, że jeśli przekona chłopaków, to może i samego siebie. – Wcześniej nie robiliśmy niczego tak wielkiego, ale wtedy nie było też księgi. Magus wyglądał, jakby był o krok od odkrycia czegoś wielkiego. Może nie od razu Pameli...

Wybuchli śmiechem.

– Ta to rzeczywiście ma wielkie – wychrypiął Wrona. Nazywali go tak z powodu długiego i spiczastego nosa przypominającego nieco dziób. Pozostali potwierdzili jego słowa zgodnym rechotem. Tylko Benio nie podzielał ogólnego rozbawienia.

– Nie rozumiem, dlaczego nie Pamela – burczał pod nosem – przecież...

Zegar wybił północ. Wszedł Magus.

– Idziemy, panowie – powiedział, pozwalając sobie na ledwo zauważalny uśmiech. – Czas zaczynać.



Coś się rzeczywiście zmieniło. Pięciu braci stojących za wierzchołkami pentagramu co chwilę zerkało. Robert stał obok Magusa, ściskając nerwowo czarną świecę, z twarzą skrytą w mroku czarnego kaptura...

Coś się zmieniło.

Niby wystrój piwnicy był identyczny jak przy każdych modłach czy klątwach, niby porządek taki sam, ale...

Zaczął się, gdy Magus zaczął czytać fragment księgi. Z początku jego wykonanie staroaramejskiej pieśni brzmiało, jakby dostał ataku kaszlu, ale już po chwili słowa stały się wyraźniejsze, a improwizowana melodia dźwięczniejsza. Wtedy też płomienie świec zmieniły kolor. Najpierw stały się czerwone, potem część przybrała odcień pomarańczowy, inne białe, aż w końcu wszystkie zapłonęły nierealnym, bezbarwnym blaskiem. Drobinke kredy, którą był nakreślony pentagram, uniosły się niczym kurz poderwany wiatrem, po czym opadły, tworząc na posadzce wzór zwarty jak namalowany farbą. Wnętrze piekielnej gwiazdy zapłonęło.

– Magus... – wyszeptał Robert. Chyba po raz pierwszy w życiu był naprawdę przerażony. – Magus! – powtórzył głośniej.

Tamten nie reagował. Pieśń zawładnęła nim całkowicie. Z każdym wyższym dźwiękiem unosiła mu brwi i włoski na karku. Z każdym niższym zmuszała do pochylecia głowy i przymknięcia oczu. Ogień we wnętrzu pentagramu wzbił się ku sufitowi, barwiąc go czernią sadzy.

Śpiewający wznosił ręce i rozpoczął ostatnią strofę. Powietrze wokół zadrżało. I wtedy właśnie wewnątrz kręgu stanął demon. Wyłonił się z ognia, ukazując najpierw swój rogaty łeb, a zaraz potem tułów i obfite kobiece piersi. Jego nogi pozostały ukryte w płomieniu, przez co wyglądał niczym rzeźba na dziobie dawnego żaglowca.

Magus umilkł. Wtedy w piwnicy na chwilę zaległa cisza i bezruch. Czas zdawał się stać w miejscu, zastygły nawet krople potu na twarzach chłopaków.

Aż demon ryknął. Jego potężny łeb poderwał się w niekontrolowanym spazmie, wielkie czerwone oczy rozszerzył ból i przerażenie, a między piersiami wykwitł i zaraz zniknął język ognia. W miejscu gdzie rozbłysnął płomień, pojawiła się potężna dziura. Demon raz jeszcze zaryczał rozpaczliwie, po czym

poleciał do przodu. Gdy jego łeb znalazł się nad linią pentagramu, eksplodował nagle, a z nim i reszta bestii. Wnętrze gwiazdy zasnuł dym.

Koliński pierwszy wyrwał się z odrętwienia. I znikło całe jego nawiedzenie.

– Chodu! – krzyknął, ale było już za późno.

Z dymu wyszła skrzydlata postać z ognistym mieczem w dłoni. Nie zważała na pentagram, bez obawy przekroczyła linię mającą odgradzać światy. Pomieszczenie wypełniła jasność. Nie blask, przed którym należy mrużyć oczy, ale jasność, ciepła i dobra. W tym świetle nawet twarz przybysza, pełna starych blizn i z tatuażem w kształcie płomienia wokół lewego oka, wydawała się dobrotliwa. Jego uśmiech przestawał wyglądać cynicznie, a trzy pary osmolonych skrzydeł zaczynały lśnić. I tylko głos, głęboki i sykiwy, odbierał resztki nadziei.

– Witam, panowie – powiedziała postać, nie kryjąc złośliwości. – Dziś porozmawiamy o potępieniu.



– Co tu się stało? – zapytał Loki, stając w progu piwnicy.

Siedzący na przewróconej ambonce Gabriel nawet na niego nie spojrział. Wzruszył tylko ramionami.

– Michał dał się ponieść emocjom.

Loki zszedł powoli po śliskich od krwi stopniach i podniósł dłoń leżącą w kałuży wosku. Przytaknął z uznaniem.

– I on to wszystko sam? Z emocji? Nie ma co, wrażliwy typ...

Gabriel przejechał dłonią po włosach.

– Ścigał jakiegoś demona ze swojej listy – wyjaśnił. – Nie pamiętam imienia, ale to był któryś z L.E.G.I.O.N.-u. Chyba jakiś od pożądania albo... nieważne. Walczył z nim i nagle bestia zaczęła mu znikać. W ostatniej chwili złapał się jej kurczowo. Przeniosło go tutaj. Te dzieciaki robiły jakiś rytuał i...

– Przyzwwały archanioła? – zaśmiał się Loki. – Niezłe. Pewnie miały niespodziankę.

Gabriel ponownie wzruszył ramionami.

– Jak widać.

Loki podszedł do miejsca, gdzie widać było jeszcze resztki kredy. Poślinił palec i dotknął linii. Niewielka iskra skoczyła ku jego ręce. Kłamca syknął i dmuchnął kilka razy na oparzony kciuk. Wstał, sięgając do kieszeni po wykałaczkę.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nie ma tu Michała – powiedział, wkładając zaostrzony patyczek do ust.

– I co my tu właściwie robimy?

– Michał ma swoją listę i krucjatę. Nie może jej przerwać z byle powodu. A co do mnie, to... Czekałem tu na ciebie. Z zadaniem.

– Jeśli powiesz to, o czym myślę... – zaczął Loki.

– Dobrze myślisz – przerwał mu Gabriel. – Chcę, żebyś tu posprzątał.

Kłamca jeszcze raz rozejrzył się po piwnicy.

– Są co najmniej trzy powody, dla których nie powinienem brać tej roboty – powiedział. – Po pierwsze, z całą pewnością jestem uczulony na detergenty. Jeszcze nie byłem u lekarza, ale na pewno tak jest. Po drugie, nie wywiązałem się jeszcze z ostatniego zlecenia od Michała. I po trzecie... chyba mi się nie chce.

– Znaczący, nie zrobisz tego? – zapytał zdumiony archanioł. – To chcesz powiedzieć?

W oczach Lokiego pojawił się dobrze już znany Gabrielowi błysk chciwości.

– Daję ci tylko do zrozumienia, że będziesz potrzebował co najmniej czterech solidnych argumentów, by mnie przekonać.

– Ilu?! Odbiło ci?

– Komuś na pewno – odgryzł się Kłamca, szturchając nogą przypalony korpus z dziurą zamiast serca. – Ale na twoim miejscu nie upierałbym się, że chodzi o mnie.

Gabriel machnął ręką zrezygnowany.

– Zgoda, dostaniesz cztery pióra. Masz jakiś pomysł?

– Dopiero w tej chwili przekonałeś mnie, że warto w ogóle myśleć – odparł Loki. Rozejrzył się. – Gdzie

są właściciele domu?

– Podobno na kilkudniowym wyjeździe – wyjaśnił archanioł. – Tylko wtedy ci tutaj bawili się w te swoje czarne msze.

– A czy ktokolwiek słyszał, co się tu wydarzyło?

Gabriel pokręcił głową.

– Mało prawdopodobne. Ludzie tędy nie chodzą. Stary domek na odludziu, cisza, spokój i szanowana rodzina. Nie ma czego szukać.

Kłamca stał przez chwilę, w zamyśleniu żując wykałaczkę. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, odrzucając coraz to nowe koncepcje.

– Może zamieszamy w to jakiegoś psychopata – podpowiedział archanioł. – Wielu jest takich, co to twierdzą, że działają z polecenia diabła. Jeszcze konkurencję wmieszamy.

– Dobrze kombinujesz – pochwalił Loki. – Ale sprawy z diabłem też podchodzą pod obsesje religijne. Potem jest gadka, że owszem, zadziałał diabeł, ale gdzie był wtedy Bóg i jego aniołowie? Lepiej sprawić, żeby ludzie pozrzucali winę na siebie nawzajem, a nam, znaczy wam, dali spokój.

– Chyba masz rację – zgodził się Gabriel, lekko czerwieńjąc na twarzy. – Palnąłem.

– Bywa. Psychopata to nie taki głupi pomysł, ale trzeba też wiedzieć, jak go wykorzystać. Potrzebujemy odrobinki szalonej finezji, coś w stylu krwi jednej z ofiar i w miarę czystej ściany. Na przykład tamtej.

Ruszył w kierunku muru najdalszego od pentagramu i najbardziej skrytego w cieniu. Gdy doszedł, wypluł wykałaczkę i uniósł głowę. Stojący za jego plecami archanioł nie widział twarzy, ale był pewien, że Loki się uśmiecha.

– Co takiego odkryłeś? – zapytał.

Kłamca tylko pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że żaden psychopata nie będzie nam potrzebny. – Spojrzał na Gabriela. Tak, anioł śmierci nie pomylił się. Na twarzy Lokiego rzeczywiście gościł uśmiech. Bóg fałszu wskazał palcem kilka leżących wokół fragmentów zwłok. – Pobaw się w puzzle. Ja będę za jakieś pół godziny.



Gdy Loki wrócił z wielką torbą na ramieniu, Gabriel kończył właśnie składać Magusa. Pozostali leżeli już dopasowani, na ile to było możliwe. Tu i ówdzie brakowało jakiegoś kawałka albo wręcz całej kończyny. W jednym przypadku dłoń wtopiła się w udo, w innym przedramię zespoliło z klatką piersiową, przywodząc na myśl manipulację genetyczną szalonego naukowca bądź pozostałość po pożarze w gabinecie figur woskowych. Archanioł pokręcił głową z rezygnacją.

– Nie wygląda to przekonująco.

– A właśnie, że jest idealnie – zaprzeczył Kłamca, otwierając torbę. Wyciągnął z niej garść nadpalonych szmat, które jeszcze niedawno były koszulkami, spodniami, bielizną. Rzucił nimi w Gabriela. – Ubierz w to, co się da. Jakies większe kawałki nóg, korpusy i tak dalej. Potem wynieś trzech koło drzwi wejściowych. Który to gospodarz?

Archanioł przyglądał się przez chwilę zwłokom, po czym niepewnie wskazał na resztki Magusa. Loki skinął głową.

– Więc niech będzie wśród tych trzech. Jednego wsadź na kibel, jednego tu przy schodach. Pozostali do salonu na kanapę. I daj tam też parę szklanek i ciasteczka. Niech się chłopcy rozerwą.

– A co ty będziesz robił? – zapytał nieco zdezorientowany Gabriel. Kłamca raz jeszcze sięgnął do torby i wyciągnął klucz francuski.

– Sodomę i Gomerę, przyjacielu.



Staszek Wołoryński, przez kumpli zwany Stanem, miał właśnie swoje erotyczne pięć minut. Długie miesiące zajęło mu namówienie na ten wypad Kingi, sąsiadki z naprzeciwka, która według plotek różnęła się

już z każdym, prócz Stana właśnie. Potem obiecał przez dwa miesiące pomagać ojcu w warsztacie w zamian za samochód na jedną noc, a matce myć gary, jeśli da stowę. Dużo wyrzeczeń kosztowała go ta sprawa. Teraz jednak, czując drobną dłoń Kingi zaciśniętą na swym kutasie, stwierdził, że było warto. Jęknął.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ścisnęła trochę mocniej, a potem wsadziła głowę między jego nogi... I wtedy właśnie nastąpił wybuch.

Przez chwilę oślepiony i ogłuszony Stan nie wiedział, co jest grane. Potem pojawiła się myśl, że to pewnie boska kara i właśnie nie żyje. Spanikowany odepchnął od siebie równie oszołomioną dziewczynę i wyskoczył z forda. Dopiero wtedy dostrzegł lunę za wzgórzem. Biegiem wrócił do samochodu.

– Pali się chałupa Kolińskich! – wrzasnął i odpalił silnik. Ruszył w stronę miasteczka.



– No dobra – usiłował zrozumieć Gabriel. Jechali właśnie czarnym BMW autostradą na Kraków, daleko za sobą zostawiając małe miasteczko z płonącym kowbojskim domkiem. – Ale ciągle nie wiem, dlaczego właśnie w tym domu wybuch gazu nie powinien wzbudzać podejrzeń.

– Toż właśnie ci tłumaczę. Swego czasu wszyscy tu czerpali gaz koksowniczy. Miał on to do siebie, że sam uszczelniał rury smolistymi substancjami. Ale potem okazało się, że nie jest to substancja szczególnie bezpieczna czy dobrze pachnąca, nieważne. Grunt, że wymienili to wszystko na gaz ziemny, który prócz wszystkich swych zalet miał jedną poważną wadę. Był, nazwijmy to, suchy i wykruszał wszystko, co tamten uszczelnił. Oczywiście w wielu miejscach wraz z wymianą gazu wymieniono też całą instalację, ale takie stare domy jak owa hacjenda chyba by tego nie przeżyły. Wyciek był więc tylko kwestią czasu. Tak przynajmniej twierdził ten facet od gazu.

Archanioł pokręcił głową z uznaniem.

– Sprytnie, ale nie obawiasz się, że ten gazownik pokoiarzy fakty?

– A myślisz, że dlaczego wyszliśmy tylnym wyjściem?

– Coś ty mu zrobił? – Archanioł tak gwałtownie odwrócił się ku Kłamcy, że o mało nie stracił panowania nad kierownicą.

– Zawiadomiłem o wycieku. – Loki wzruszył ramionami. – I poczekałem z wybuchem, aż gość się zbliży. Czy to podchodzi pod nieumyślne?

– Jesteś potworem!

– Tak – zgodził się Kłamca. Sięgnął pod siedzenie i wyciągnął nadpaloną księgę. – I to sprytnym. Jak myślisz, ile da mi Michał za, powiedzmy, jakąś połowę jego listy?



Aniołom dobrze było w czerni. Loki krążył wokół zakapturzonych skrzydlatych postaci i z uśmiechem przyglądał się goszczącemu na ich twarzach speszeniu. W końcu Gabriel nie wytrzymał.

– Jesteś pewien, że to zgodnie z zasadami?

Kłamca nie zdążył odpowiedzieć. Za jego plecami rozległ się tubalny głos archanioła Michała.

– A myślisz, Gabrieliu, że ta wojna wciąż jeszcze ma jakieś zasady? Uważam, że pomysł Lokiego jest wręcz genialny.

– Cieszę się – odparł bóg fałszu z uśmiechem. – Ale ten komplement nie zbije ceny.

Głową wskazał wyrysowaną na posadzce pięcioramienną gwiazdę.

– Czas zająć miejsca – powiedział i ruszył w stronę ambonki.

Coś się zmieniło. Pięć stojących za wierzchołkami pentagramu aniołów spoglądało niepewnie na boki. Michał z twarzą skrytą w mroku czarnego kaptura zajął pozycję obok Lokiego, ściskając w dłoni płonący miecz...

Po chwili w kręgu pojawił się demon. Jego zamknięte oczy i wysunięty lubieżnie język mówiły wyraźnie, jaką przyjemność czerpał z przyzwania. Trwał tak w całości już zmaterializowany, a jego rogaty

łeb kiwał się w ekstazie.

Loki krytycznie obejrzał rycinę w księdze.

– Niepodobny wcale – stwierdził. – To ten?

Archanioł skinął głową i ruszył w stronę demona. Ten, słysząc głosy, otworzył oczy... i zamarł. Ostatnim jego widokiem była pozbawiona wyrazu twarz wodza zastępów Michała.

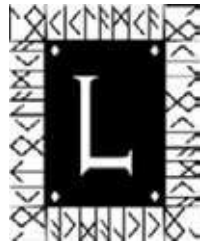
Kłamca wykonał ołówkiem haczyk w rogu strony i raz jeszcze przewertował księgę.

– Działamy dalej, chłopaki – powiedział z uśmiechem. – Czeka nas jeszcze mnóstwo pracy.



## Przepowiednia

### Przeddzień w Los Angeles



oki podniósł karty i westchnął w duchu. Zupełnie nie szło mu tego wieczora. Powiódł wzrokiem po gładkich twarzach pozostałych graczy. A miało być tak pięknie! W końcu anioły nie potrafią blefować. Z ich oczu zwykle czytał jak z otwartych ksiąg. *Nie może być nic prostszego – myślał – niż ograć anioła w pokera i na parę piór.*

Dopiero po pół godziny spostrzegł, że przeoczył mały szczegół – oni czytają w myślach.

Zanim nauczył się blokować swój umysł, minęło następne trzydzieści minut, a potem po prostu miał pecha. Tak się przynajmniej liczył, licząc, że fart wróci.

– To jak, Loki? – zapytał zniecierpliwiony Araazel. – Grasz czy nie? Pamiętaj, że niektórzy z nas mają pracę.

– Ty to nazywasz pracą? – prychnął Kłamca. – Leży sobie twój podopieczny w szpitalu i zasysa kroplówki. Jedyne, co mu grozi, to nagły wzwód i tym samym niedokrwienie mózgu. A wtedy przynajmniej odetchną pielęgniarki. Wiesz, ile one mają już siniaków na tyłkach od jego szczypania?

– A ty skąd to wiesz? – zaciekawił się siedzący po lewej Mirael.

Loki rzucił mu pełne pogardy spojrzenie.

– Bo to normalne dla tych, co nie mają braków w aparaturze, skrzydlaty – odparł. Przeniósł wzrok na milczącego dotąd Kerrousa. Biedak chyba nie bawił się najlepiej tego wieczora. – Jak tam stawki?

Anioł wzruszył ramionami. Myślami był gdzie indziej. Aż dziw, że wygrał niemal wszystkie kolejki.

– Jest tak – wyjaśnił szybko Mirael – że właśnie rozdanie temu przegrałeś swój ostatni samochód, a teraz Kerri postawił wszystko, co dziś zdobył, i dwa pióra. Ja wszedłem, Araazel spasował. Wchodzisz?

Loki sięgnął do kieszeni po pudełko wykałaczek. Włożył jedną z nich do ust.

– Głupia sprawa – powiedział, uśmiechając się przymilnie – ale nieszczególnie mam już z czym.

– A gdybyś miał z czym, to wszedłbyś? – zapytał Kerrous. Jego głowa nie opierała się już na łokciu, a oczy nagle zapłonęły ognikami nadziei.

– Co ci się zrodziło pod tą blond grzywką, cwaniaczku? – Nordycki bóg spojrzał nań podejrzliwie. Anioł niepewnie poruszył skrzydłami.

– Powiedzmy, że jak przegrasz, przejmiesz za mnie robotę. Na jeden dzień. Z całą odpowiedzialnością przed górą – zaproponował.

Araazel pokręcił z dezaprobatą głową i położył rękę na ramieniu towarzysza.

– Kerri, nie szalej. Wiesz, że jemu nie wolno. On może tylko w sytuacji, gdy...

– Gdy dostanie polecenie z góry lub gdy pojawia się problem z siłami mitycznymi – dokończył Kerrous. – To jest taka właśnie sytuacja.

Loki uśmiechnął się na myśl o ewentualnej pracy. Zaczynał już trochę gnuśnieć w tym Los Angeles. A siedzenia tu bez grosza w ogóle sobie nie wyobrażał.

– Słucham cię uważnie – powiedział. Anioł odchrząknął.

– Rzecz w tym, że nie tak dawno udałem się z kumplami do Mojrr. Wiesz, tych z Grecji, prądek czy jak je tam zwa...

– Parki – podpowiedział Mirael.

– Właśnie. Poszliśmy do nich tak dla zabawy. Mieliśmy trochę wolnego, jakiś tydzień rozejmu czy Zwierzchności wiedzą co jeszcze. A Grecja to piękny kraj...

Loki skinął głową.

– Byłem tam. Do rzeczy.  
– One przepowiedziały mi – Kerrous skrzywił się – że moja podopieczna zginie w tym tygodniu. Dokładniej mówiąc, jutro i to przed obiadem.  
– Na Trony i Zwierzchności – westchnął Araazel. – Teraz rozumiem twój nastrój.  
Poklepał go po ramieniu.  
– Przykro mi, stary – wyszeptał, a Mirael zrobił minę pełną zarazem współczucia i radości, że padło na kogoś innego.  
– Tak, tak, mnie też przykro – rzucił niecierpliwie Loki. – Czyli moją stawką jest teraz ewentualne stróżowanie przez jeden dzień przy jakiejś ofierze losu?  
– Tak właśnie – zgodził się Kerrous. – Ale skuteczne stróżowanie.  
– Niech będzie. Wchodzę i wymieniam dwie karty.  
– Tak po prostu? – nie dowierzał anioł.  
Kłamca wzruszył ramionami.  
– A nad czym tu się głowić? Zwłaszcza że i tak wygram to rozdanie. Ktoś jeszcze dobiera?  
– Podbijam – powiedział Araazel, ale pod wzrokiem Lokiego skapitulował. – Ale właściwie...  
Bóg fałszu uśmiechnął się do swojej karety. Tym razem poszło dobrze. Choć może i szkoda tej roboty. Zapowiadała się nieźle...  
– Sprawdzam – powiedział i zanim pozostali zdążyli zaprotestować, dorzucił: – i zastawiam to, co mam na sobie.

## Poranek

### *gdzieś w Teksasie*

– Mamusiu! – Mały Johny raz jeszcze szarpnął śpiącą matkę. Rosie otworzyła zaspane oczy.  
– Co jest? – zapytała.  
Chłopiec patrzył na nią z konspiracyjną miną.  
– Znowu przyszedł ten pan. Siedzi na ławce naprzeciwko i gapi się w nasze okna.  
Kobieta usiadła i przetarła powieki.  
– Jaki pan?  
Johny zamyślił się, po czym wyrecytował z pamięci:  
– Ten skurwiony wielbiciel psich tyłków i właściciel najmniejszego fiutka w całym pieprzonym stanie.  
– Komornik przyszedł? – skojarzyła własne słowa. – Znowu?  
– Tak, mamó – potwierdził chłopiec. – Pukał, ale bałem się otworzyć. Zostawił to w drzwiach i poszedł.  
Podał matce kopertę z kilkoma urzędowymi pieczęciami. Rosie wzięła ją do ręki, przez chwilę zastanawiała się, czy może jednak nie rozkleić, po czym sięgnęła do szuflady komódki stojącej przy łóżku i wrzuciła list na stosik podobnych nigdy nieotwieranych kopert.  
– Tak sobie myślę – Johny zmarszczył swój pięcioletni nosek – że jak tata wróci, to mu się dobierze do dupy, prawda, mamó?  
– Pewnie tak, kochanie – potwierdziła, wstając. Nie miała sumienia tłumaczyć dziecku, że to właśnie przez jego kochanego tatusia znajdowali się w takiej sytuacji. Do dziś nie potrafiła zrozumieć, gdzie miała rozum, kiedy postanowiła zamieszkać z tym facetem. Ale jak zawsze mawiała jej matka pełna swych pijackich mądrości: *Ładne dziewczyny są jak wybory prezydenckie. Nieustanna walka między republikańską głową a demokratyczną dupą.*  
– Jest coś w lodówce? – zapytała, sięgając po wiszący na krześle szlafrok. Ścisnęła pasek i spięła włosy.  
Chłopiec biegiem opuścił pokój.  
– Jest jeszcze trochę sałatki – zawołał już z kuchni. – Też od pana, co przyszedł z kwiatami. Jakiś

kawałek sera i dwa pomidory.

Przez chwilę milczał, po czym dodał z wahaniem:

– A nie, pomidory już się nie liczą. Są za to jajka i mleko. A w szafce trochę płatków. Na śniadanie starczy.

Rosie weszła do kuchni i nastawiła wodę. Potrzebowała kawy.



Loki otworzył oczy. Jak na zawołanie do jego umysłu jęły intensywnie dobijać się wydarzenia z wczorajszego wieczora. Pamiętał, że przegrana zapewniła mu nową robotę, przypomniał sobie nawet, jak jeden z aniołów pisał mu na ręce adres jakiejś kobiety, tak żeby na pewno nie zgubił... Za nic jednak nie potrafił sobie przypomnieć, skąd wziął się nagi w tym pieprzonym polu kukurydzy.

– Cholera – zaklął, wstając.

Po jego stopie przebiegła polna mysz. Przystanęła na moment, powęszyła sekundę i pognała dalej. Loki patrzył przez chwilę za zwierzątkiem, po czym odruchowo uniósł rękę, by zerknąć na zegarek. Pod wypisanym czarnym tuszem adresem któryś dowcipniś narysował mu tarczę zegarka wskazującego za pięć dwunastą i dodał krótką notatkę: *Spiesz się*.

– Cholera jasna – rzucił ponownie i ruszył przed siebie.

Mimo wczesnej godziny upał wyraźnie dawał mu się we znaki. Suszyło go potwornie, a do tego wcale nie miał pewności, czy idzie we właściwą stronę. Jeżeli źle obrał kierunek, mógł brnąć przez pola godzinami...

Miał szczęście. Po niecałej półgodzinie marszu dobiegł go nieprzyjemny zapach gaszonego moczem ogniska. Loki przyspieszył. Niedługo później stał już na skraju pola.

Tuż obok drogi, na niewielkim wypalonym kawałku ziemi motocyklowy gang odsypiał nocną orgię. Świadczyły o tym porozrzucane wszędzie butelki i kawałki damskiej bielizny. Właścicielki wszechobecnej garderoby wtulały się w leżących wokół prymitywnego paleniska odzianych w skóry brodaczy. Nieco dalej stały zaparkowane motocykle Harley Davidson. Loki obejrzał grafiki na bakach. Przedstawiały gorejącego krzak z dwoma anielskimi skrzydłami.

– Dzięki – westchnął bóg kłamstwa, unosząc oczy ku niebu, po czym podszedł do leżącego najbliższej mężczyzny i szturchnął go nogą.

Brodacz powoli otworzył przekrwione oczy. Zaraz jednak, sycząc z bólu, zamknął je z powrotem.

– Czego, kurwa?! – warknął.

Loki uśmiechnął się.

– Potrzebne mi twoje ubranie, broń... i motor – odparł.

– To bierz i spierdalaj! – motocyklista odwrócił się na drugi bok, zaraz jednak, kolejny po raz kopnięty, wrócił do swej poprzedniej pozycji.

– Daj mi spać, człowieku – w przepitym głosie słychać było błagalną nutę. Kłamca przykucnął obok i złożył ręce, opierając łokcie na kolanach.

– Zapomniałeś się rozebrać – przypomniał.

– Hej! – usłyszał nagle. – Co ty tam robisz, zboku?!

Po przeciwnej stronie paleniska siedział, o dziwo, niemal całkowicie rozbudzony facet i mierzył do niego z obrzyna. Pozostali, zbudzeni krzykiem, podnosili właśnie skacowane głowy. Dziewczyny próbowały zasłonić nagie piersi, ale przyjrawszy się intruzowi, stwierdziły, że nie warto. Gość stojący nago na kukurydzianym polu, który na dodatek właśnie podpadł uzbrojonym gangerem, z pewnością ma na głowie inne rzeczy niż gapienie się na nagie biusty. A nawet jeśli... pewnie i tak nie pożyje długo. Czemu zabierać mu ostatnią przyjemność?

Tylko jeden członek gangu spał dalej – ten tuż przed Lokim. Kłamca pokręcił głową z dezaprobatą.

– Słuchajcie, ja tylko... – spróbował tłumaczenia, ale ledwie zaczął, już wiedział, że to na nic. Dyskretnie powiódł wzrokiem po ciele leżącego brodacza. Gdyby się dobrze postarał, może zdążyłby wyciągnąć pistolet z kabury przy jego udzie i wycelować w gościa z obrzynem. Może nawet zdążyłby

wystrzelić...

Błyskawicznym ruchem wyszarpnął broń i rzucił się na plecy. Chmurka śrutu przemknęła tuż nad jego nagim torsem. Loki zrewanżował się dwoma strzałami. Trafił.

Pozostali, odpychając od siebie sztywne ze strachu towarzyszki, również sięgnęli po spluwy, ale ich przeciążone umysły nie nadały z wydawaniem rozkazów ciała. Loki zdążył wstać i rozwalić jeszcze dwóch, nim padł kolejny strzał w jego kierunku. Kobieta! Klęczała przy pierwszym zabitym i trzymała broń w obu rękach niczym wystraszona kadetka w tandetnym serialu o szkole policyjnej. Mogłaby stanowić niemałe zagrożenie, gdyby nie przejęła się oddanym strzałem do tego stopnia, że zupełnie zapomniała o reszcie pocisków w magazynku. Zanim się opamiętała, kula przeszła jej krtań.

Loki tymczasem przeskoczył przez ognisko, wyrwał dziewczynie pistolet i zgrabnym przewrotem zszedł z linii strzału dwóm członkom gangu. Co prawda zorientowali się, że teraz mierzą do siebie nawzajem, ale wcześniej zdążyli nacisnąć spusty. Sekundę później obaj leżeli już w kałużach krwi.

Kłamca odwrócił się i spojrzał w oczy ostatniemu gangerowi, który zdołał się w końcu obudzić.

– Czego chcesz? – zapytał przerażony widokiem nagiego szaleńca z giwerą. Ten tylko westchnął.

– Mówiłem ci już – odpowiedział. – I radzę wysilić główkę, bo więcej powtarzać nie będę.

Po chwili siedział na motorze ubrany w skórzane spodnie, kurtkę i czarny T-shirt. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, a w olstrze obrzyna. Włosy związał w koński ogon.

– Ma któraś z was lusterko? – zwrócił się do kobiet. Jedna zaczęła grzebać w swoich rzeczach i po chwili podała mu kosmetyczkę. Loki przejrzał się i uśmiechnął.

– A wykałaczkę?



Johny zastukał do drzwi łazienki. Po chwili jeszcze raz, tylko głośniejsze. Wewnątrz ucichł szum prysznica i chłopiec usłyszał przytłumiony głos matki: – Tak?

– Przyszli jacyś panowie. Mówią, że są od pana Deedsa.

– Wpuściłeś ich?!

Chłopiec odruchowo wzruszył ramionami, choć kobieta nie mogła go przecież widzieć.

– Sami weszli. – Przysunął głowę bliżej drzwi. – Wiedzą, że jesteś w domu. Czekają na ciebie.

Przez łazienkę przebiegł cichy pluton przekleństw. Potem zaległa cisza. Johny zaniepokoił się.

– Mamo?

– Powiedz, że zaraz wyjdę, tylko coś włożę.

Cicho przekradła się do sypialni, wyszukała najkrótszą mini, a do tego przyciasną bluzkę na ramiączkach i z dużym dekoltem. Jenny, jej przyjaciółka z pracy, nazywała ten strój OBA – Ostatni Babski Argument. Wyjątkowo rzadko zdarzało się, by nie skutkowało, gdy załatwiała coś z facetami.

Jednak wchodząc do salonu, spostrzegła, że tym razem nie miała szans. Nie miałyby ich nawet w samej bieliźnie.

W pokoju znajdowało się trzech mężczyzn w garniturach i w okularach przeciwsłonecznych na nosach. Dwóch stało przy drzwiach wyjściowych, wyraźnie sugerując, że choćby nawet kopnęła w jaja ich towarzysza, przeskoczyła kanapę i dobiegła do wyjścia, to korytarza nie zobaczy. Nie mówiąc już o światełku na jego końcu.

– Witam w prawdziwym świecie, pani McNugget – powiedział trzeci mężczyzna. Choć wyglądał jak dwaj pozostali, nie było wątpliwości, że to on jest szefem. Siedział na kanapie, prawy łokieć opierając o blat szklanego stolika. W palcach drugiej ręki obracał dużą srebrną monetę. – Odnoszę wrażenie, że raczej się o pani nie spodoba.

Wskazał fotel naprzeciwko siebie. Rosie skinęła głową i posłusznie zajęła miejsce. Ścisnęła nogi, a ręce złożyła na podołku. Szlag trafił pewność siebie.

– Panowie przyszli w sprawie... – zaczęła, z trudem opanowując drżenie głosu.

– Długo pani męża oczywiście – mężczyzna odparł z uśmiechem. – A z jakiegoż innego powodu trzech uzbrojonych drabów straszyloby pani syna i brudziło podołogę zapaskudzonymi buciorami?

Zaśmiała się nerwowo. Na dźwięk słowa *syn* odruchowo zerknęła ku wnętrzu mieszkania. Johnego nie było w drzwiach, ale na pewno uważnie przysłuchiwał się rozmowie z drugiego pokoju. I tak jak ona był uwięziony w mieszkaniu. Musiała spróbować.

– Panowie – rzuciła nieco odważniej – nie jest chyba tak źle, by...

– Nie mogło być lepiej? – kolejny raz rozmówca wszedł jej w zdanie. – Niewątpliwie. Obawiam się jednak, że jedynym, co poprawi pani sytuację w chwili obecnej i skłoni nas do opuszczenia tego pomieszczenia bez pani serca w skrzyneczce, jest wypowiedziane w ciągu najbliższej minuty zdanie: *Proszę panowie, oto wasze pięćdziesiąt tysięcy.*

Aż podskoczyła.

– Ile?!

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak to ująć, żeby nie mówić źle o zmarłym, ale pani mąż był... No cóż, lubił damskie towarzystwo.

Rosie z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Pięćdziesiąt tysięcy! I on wydał to wszystko na dziwki? – zapytała, zupełnie zapominając o stojącym gdzieś za drzwiami Johnym.

Zrozumiałyby, gdyby szło o prochy, hazard, ale to... Przecież dziesięć lat temu zdobyła pieprzony tytuł cholernej miss stanu!

– Proszę sobie nie brać tego do serca – powiedział mężczyzna ze świetnie zagranym współczuciem, pochylając się w jej stronę. – Jest pani piękną kobietą. On po prostu miał naturę łowcy... No, może turysty na safari. W końcu za wszystko płacił.

Siedziała z tępą miną. Już nie walczyły w niej głowa i dupa, tylko lęk z wściekłością. Stojący w przedpokoju Johny najciszej jak potrafił podniósł słuchawkę telefonu i wystukał dobrze znany z telewizji numer 911.



Wjeżdżając do miasta, zwolnił. Zerknął na adres na przegubie, potem na drogowskaz. Był prawie na miejscu. Skręcił i zaczął uważniej przyglądać się numeracji domów. Już z daleka dojrzał ten, do którego zmierzał – niewielką trzypiętrową kamienicę o zrujnowanej elewacji i tak przerdzewiałych schodach przeciwpożarowych, że nawet ptactwo wolało nie ryzykować.

Kiedyś był to najładniejszy budynek w okolicy. Właściciel pobliskiej fabryki obuwia, zafascynowany Europą, kazał go postawić, by mógł służyć rodzinom fachowców ściągniętych ze starego kontynentu. W zamyśle tak biznesmena, jak i architekta miała to być wąska kamieniczka na wzór paryskich, z lekko spadzistym dachem i wąskimi gzymsami wyraźnie oddzielającymi piętra. Cel udało się osiągnąć, choć nie bez kompromisów – schody pożarowe szpecące zachodnią ścianę budynku były tego najwyraźniejszym przykładem.

Potem, pod koniec lat sześćdziesiątych fabryka upadła, fachowcy rozjechali się po całym kraju, a kamienica, oddana miastu, marniała z roku na rok, stając się przez jakiś czas siedliskiem narkomanów, potem zaś już tylko domem życiowych nieudaczników, których nie stać było na nic lepszego.

Na chodniku przed budynkiem stał zaparkowany czarny mercedes, a na ławeczce po przeciwnej stronie ulicy siedział, skubiąc orzeszki i gapiąc się w okna na piętrze, gruby, łysawy pięćdziesięciolatek ubrany w zgniłozielony prochowiec.

Loki zatrzymał motor koło mercedesa i wyciągnął z olstra obrzyna. Zakręcił nim, wycelował w ziemię i włożył do umocowanej przy udzie kabury. Wokół jego pojazdu zaczęły gromadzić się okoliczne dzieciaki, barwnym slangiem komentując to harleya, to spluwę. Kilkoro rzuciło też parę pełnych podziwu komentarzy o samym przybyszu, choć te z racji przewagi czarnoskórych utonęły w morzu rasistowskich wyzwisk.

Kłamca obrzucił przelotnym spojrzeniem siedzącego po przeciwnej stronie ulicy mężczyznę i pewnym krokiem ruszył w stronę budynku. Nagle, tknięty jakimś dziwnym przecuciem, zawrócił, minął garstkę dzieciaków, przekroczył jezdnię i stanął tuż przy ławeczce.

Grubas uniósł głowę.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał z nutką lęku w głosie. Loki uśmiechnął się.

– Ma pan może wykałaczkę?

Napięcie spelzło z twarzy siedzącego, nadal jednak lekko drżały mu ręce i nogi.

– Nie, ale mam zapałki i szczyryk – odparł, sięgając do kieszeni. – Jak się obetnie główkę z siarką, niemal nie widać różnicy. Chce pan?

Kłamca pokręcił głową.

– Nie lubię prowizorki. Ale chciałem spytać o coś jeszcze. Nie wie pan, czy zastałem Rosie McNugget?

Nieco zmieszany mężczyzna odruchowo zerknął w stronę okien, którym przyglądał się od rana. Jedynych okien w tym budynku z firankami i... z całymi szybami.

– Nie wiem. Też na nią czekam. Mam jej do...

Cios w skroń pozbawił go przytomności. Grubas osunął się z ławki wprost na stos skorupki po orzechach.

– Tylko tyle chciałem wiedzieć – powiedział Loki i ruszył w stronę kamienicy. Gdy przeszedł koło motoru, dzieciaki zgotowały mu gorącą owację.



– Zobacz, co tam się dzieje – polecił mężczyzna siedzący naprzeciw Rosie, nawet na ułamek sekundy nie spuszczać jej z oka. Jeden z jego milczących kumpli podszedł do okna. Drugi natychmiast przesunął się, zasłaniając drzwi swoimi plecami. Dojrawszy minę Rosie, wyszczerzył poźółkłe zęby.

– To tylko dzieciaki – usłyszeli po chwili. – Gapią się na jakiś motor.

Siedzący podrzucił monetę i złapał ją tuż nad ziemią, choć ani na chwilę nie oderwał wzroku od przestraszonej kobiety.

– Mam nadzieję, że nie siedzą na masce naszego wozu, bo jeżeli tak, to...

Skończyć nie zdążył. Rozległ się potworny huk i mężczyzna strzegący wejścia nagle przycisnął ręce do brzucha, a chwilę później leżał już na podłodze z drzwiami na plecach. Jego stojący przy oknie towarzysz odwrócił się. Zdążył tylko dostrzec szczupłego mężczyznę w skórzanej kurtce i z obrzytnym w ręce. Nic więcej już nie zobaczył, bo wielka giwera plunęła mu śrutem prosto w twarz.

Siedzący na sofie miał więcej szczęścia i rozumu niż jego towarzysze. Rzucił się na podłogę za sofą, mocnym szarpnięciem zmuszając do tego samego Rosie. Wyszarpnął broń z kabury i wetknął ją dziewczynie pod brodę.

– Zabiję ją, jeśli się zbliżysz! – wrzasnął. Cały spokój i pogoda ducha, z jaką prowadził rozmowę, zniknęły w jednej chwili. Odgłos podkutych butów przybysza zdawał się być coraz bliższy.

– Tylko nie postrzel jej w sposób uniemożliwiający zabawę – poprosił z rozbawieniem Loki, cicho przeładowując broń – a wszystko będzie w porządku.

– Czego chcesz?! – rozległ się kolejny wrzask zza sofy.

Kłamca pochylił głowę i zamknął oczy. Pod jego powiekami zaczęły krążyć zapomniane słowa zapomnianego języka.

– Przejeżdżałem obok i zastanawiałem się, ile może palić taki mercedes. I jak bardzo można go rozbijać – rzucił dla niepoznaki nieco drętwym głosem. Słowa pod jego powiekami zaczęły układać się w zdania, a te z kolei w obrazy. Jeszcze tylko chwila i...

Był gotów.



Pomimo uwierającej ją w podbródek lufy, Rosie ucieszyła się z takiego przebiegu sytuacji. Nieważne, kim był ów nowy przybysz, czy tajemniczym supermanem, czy też kolejnym wierzycielem jej męża – był zwykłym facetem, nie bubkiem w garniturze, a to zawsze dawało jej jakąś szansę. Żeby tylko nie dał się...

Wtem zobaczyła jego głowę wychyloną zza oparcia sofy. Wstrzymała oddech, modląc się w duchu, by

jej oprawca niczego nie zauważył. Jeszcze tylko kawałek, jeszcze tylko...

Nagle przestała czuć chłód lufy. Broń śmignęła jej tuż przed oczami i wypaliła dwukrotnie. Tajemniczy przybysz padł na ziemię zalany krwią. Szef mafijnych egzekutorów poderwał się błyskawicznie, raz jeszcze wypalił do zwłok i z uśmiechem poprawił marynarkę.

– Na czym to skończyliśmy? – zdążył zapytać, zanim jego głowa zmieniła się w coś na kształt przegniłego arbuza zrzuconego z wieżowca. Obryzgana krwią i kawałkami mózgu Rosie z całych sił zmuszała się, by nie wrzeszczeć. Zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, sofa była odsunięta, a przed nią stał wybawca, tajemniczy przybysz, cały i zdrowy. Zerknęła w stronę okna. Jego zwłoki nadal tam leżały, z tym że teraz stawały się nieco niematerialne i mogła przez nie zobaczyć błysk leżącego na podłodze kolczyka, który zgubiła w zeszłym miesiącu.

– Jasna cholera – westchnęła tylko, nim zemdląca.

## *Samo południe*

Zastępca szeryfa Taylor kołysał się na krześle, nerwowo bębniąc palcami o blat biurka. Z całego serca nienawidził takich sytuacji. Jego uczucie było tym silniejsze, że od kiedy pięć lat temu znalazł robotę w tym miasteczku, zdarzały się one nagminnie. Średnio raz na tydzień stawał przed wyborem: lojalność wobec szefa bądź... no właśnie, kogo? Społeczeństwa? Siebie? Ideałów?

Zwykle jego myśli docierały do tego właśnie momentu, po czym zastępca Taylor podejmował zawsze tę samą decyzję. Tak było i tym razem.

Pochylił się nad biurkiem i nacisnął przycisk interkomu. Czekał przez chwilę, a jego palce jęły uderzać w biurko coraz szybciej. Może to znak, żeby jednak się wycofać? Może...

Z głośnika dobiegł najpierw cichy chichot, a zaraz potem bas szeryfa.

– Czego?

Taylor przełknął ślinę.

– Mamy wezwanie, szefie. Dzwonił pewien dzieciak i mówił, że u niego w domu są jacyś goście i straszą mu matkę. Podobno wyglądają groźnie i...

– Jak myślisz, Taylor, co mnie to obchodzi? – zapytał mocno znużony głos. – Standardowa procedura, kurwa, czy wszystko muszę powtarzać po tysiąc razy?

Coś w głowie zastępcy kolejny raz zaproponowało mu wycofanie się. Mało brakowało, a tym razem posłuchałby tej myśli.

– Znam procedurę, ale doniesienie pochodzi z domu Rosie McNugget.

Szeryf nie odpowiedział. Taylor doskonale wiedział, że wzrok i myśli szefa skupione są teraz na stojącym na biurku zdjęciu syna. Zdjęciu z czarną tasiemką w narożniku ramki. Postanowił dać mu chwilę, zanim dokończył:

– Podobno ci ludzie są uzbrojeni. I myślę, że jest bardzo prawdopodobne, że zaczną strzelać, a wtedy...

– Stul dziób, kretynie – ryknął szeryf. – Zaraz wyjdę.

Po chwili z gabinetu wypadła rudowłosa dziewczyna, zasłaniając nagie piersi utrzymaną w rękach koszulką. Spomiędzy palców wystawały jej dolarowe banknoty. Za chwilę zniknęła za przeszkłonymi drzwiami biura.

Wtedy w progu gabinetu stanął szeryf. Usiłował zapiąć pasek, w czym usilnie przeszkadzał mu potężny brzuch.

– Nigdy – zaczął spokojnie i co dziwne, udało mu się utrzymać w tym tonie resztę wypowiedzi: – nie waż się mówić o interesach w towarzystwie osób postronnych. A już zwłaszcza, gdy osoba postronna to pierdolona irlandzka dziwka.

Taylor skinął głową.

– Mam wezwać chłopaków? – zapytał.

– Dwa patrole. I niech się dobrze przygotowują. Ci od koronera w końcu dostaną jakąś robotę.



Obudziło ją głośnie plaśnięcie i uczucie, jakby wsadziła policzek do kominka. Krzyknęła, a jej dłoń błyskawicznie powędrowała w stronę twarzy, by rozetrzeć bolące miejsce. Pochylony nad nią Loki uśmiechnął się paskudnie.

– Wyspana? Czas już najwyższy wstawać.

Pokiwała głową. W jednej chwili wrócił do niej cały koszmar tego poranka. Zupełnie jakby ktoś pozbiierał wydarzenia kropla po kropli, zamieszał, a na koniec chlusnął jej nimi w twarz. Przekreśliła się na bok i zwymiotowała.

– Gdzie jest Johnny? – zapytała po chwili, ocierając usta.

Loki wstał z klęczek i otrzepał kolana. Począł aż dziewczyna wstanie, po czym podał jej znalezione w spodniach wymiętoloną paczkę chusteczek. Nie przyjęła.

– Gdzie jest mój syn? – ponowiła pytanie, tym razem głośniej i bardziej stanowczo.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Siedzi w kuchni i bawi się nożami. Kiedy go ostatnio widziałem, szczeniak wyglądał, jakby chciał się nimi przede mną bronić.

Rosie uśmiechnęła się. *Dzielny chłopak* – pomyślała. – *Dzielny jak mało kto.*

– Nic dziwnego, że się pana wystraszył – stwierdziła. Przez moment zamajaczyła jej przed oczyma wizja najpierw leżących pod oknem, a potem znikających zwłok. Odegnęła ten obraz, biorąc go za wywołaną strachem halucynację.

– Johnny, Johnny! – zawołała i ruszyła w stronę kuchni.

– Właściwie ja też mu się nie dziwię – burknął pod nosem Loki, podążając za nią. – Powiedziałem, że skręcę mu kark. Przez niego będziemy tu mieli za chwilę całą lokalną policję.

Na dźwięk głosu matki chłopiec wybiegł z kuchni, machając tasakiem wielkim jak jego ramię. Ze szczęścia nawet nie zdawał sobie sprawy, że go trzyma.

– Mamo! – zawołał. – Tak się bałem!

Kobieta kucnęła, rozłożyła ręce...

I wtedy właśnie Johnny się potknął. Na krótką chwilę, balansując szeroko rozłożonymi rękami, wywalczył sobie dodatkowy ułamek sekundy w pionie, potem jednak runął przed siebie, zupełnie przypadkowo mierząc ostrzem prosto w szyję matki.

Loki zachował zimną krew. Pewnym ruchem złapał Rosie za włosy i pociągnął na bok. Upadła, a ostrze o kilka centymetrów minęło grdykę kobiety, raniąc ją tylko boleśnie w ramię. Chłopiec wylądował na matce i dopiero w tym momencie wypuścił z dłoni śmiertelne narzędzie. Wtulił się z całej siły w Rosie, drżąc z przerażenia.

Kłamca ukląkł i obejrzał ranę. Pokręcił głową.

– Znając moje szczęście, umrzesz na tęzec – wymruczał, po czym ruszył w stronę łazienki na poszukiwanie apteczki. Za plecami słyszał cichy szloch dziecka i matczyne słowa otuchy.



– Jak to nie mogę go zabrać?! – wrzeszczała Rosie ku uciesze zgromadzonych wokół motoru dzieciaków. Loki z uśmiechem obrócił w ręce pudełeczko zabranych z kuchni wykałaczek.

– Bardzo mi przykro – odparł – ale nie mogę sobie pozwolić na ryzyko. Gówniarz o mało cię nie zabił. Poza tym mam tylko dwa miejsca, a tego oto młodzieńca moja umowa nie dotyczy. I tak może być problem, gdy postanowisz zemdleć albo co. Jedna osoba do niańczenia to dla mnie aż nadto.

Wskazał brodą na jej niefachowy opatrunek ukryty pod przewiewnym sweterkiem. Rosie nie dawała za wygraną.

– Proszę pana – powiedziała, używając tonu zarezerwowanego dla szczególnie skrupulatnych



urzędników – jestem panu niezmiernie wdzięczna za ratunek, jednak... Bez niego nie jadę. I jeżeli nie pomoże pan nam obojgu, pański wysiłek pójdzie na marne.

Kłamca wzniósł oczy ku niebu i pokręcił głową. Z oddali dobiegło ich ciche zawodzenie policyjnej syreny. Czasu było coraz mniej.

– No dobrze – zgodził się. – Wyślij go, niech poszuka u twoich gości kluczyków do tego mercedesa.

– Chyba pan nie myśli, że... – zaczęła, ale spojrzenie Lokiego było aż nadto wymowne. Zmusiła chłopca, by puścił jej nogę.

– Poczekaj tu, kochanie, mamusia...

– Nie mamusia – Loki wskazał na dzieciaka. – On. Zrobi to szybciej.

Rosie już otwierała usta, by zaprotestować, ale Kłamca nagle pochylił się i na ułamek sekundy ukazał Johnny'emu swe prawdziwe, strawione jadem oblicze.

– Buu – wyszeptał, uśmiechając się upiornie.

Chłopiec na złamanie karku popędził do wnętrza kamienicy.

Wstając, Loki strzepnął z ramienia niewidzialny pył.

– A teraz wsiadaj na motor. I nie myśl, że skoro cię dzisiaj bronilem, to nie potrafię być brutalny. Już!

Chwilę później patrzył, jak dziewczyna znika w drzwiach budynku. Jego mina wyrażała podziw i zdumienie.

– Czy ja dobrze słyszałem? – zapytał stojącego najbliżej dzieciaka. – Czy ona właśnie kazała mi się pierdolić?

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł z powrotem do środka. Dźwięk syren stawał się coraz głośniejszy, a już po chwili zza rogu wyjechał pierwszy radiowóz.



Każde normalne dziecko ma swoje ciche miejsce. Zakątek, do którego udaje się, gdy nagle odkrywa kolejną niesprawiedliwość świata. Zwykle wchodzi tam z zamiarem trwania w swym małym buncie do chwili, gdy rzeczywistość nie przyjmie jego warunków, i najczęściej wychodzi zmuszone do kapitulacji przez zdradziecki żołądek lub pęcherz.

Każda dobra matka zna kryjówkę swojego dziecka, choć żadna nie przyznałaby się do tego dobrowolnie. Nigdy też bez potrzeby by do niej nie weszła...

Tym razem jednak potrzeba była i Rosie, uważająca się za całkiem niezłą matkę, gnała na strych, przeskakując naraz po dwa, a czasem i trzy schodki.

– Johnny! – zawołała, stając pod uchylonymi drzwiami na najwyższym piętrze. – Chodź tu do mnie.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi. Pchnęła więc drzwi i powoli weszła do środka.

Na strychu panował półmrok. Większość niewielkich okienek z braku szyb była zasłonięta deskami, a te pokryte ponadto gęstą warstwą kurzu i pajęczyn. Mimo to Rosie doskonale wiedziała, gdzie ma iść. Nogi niosły ją niemal same.

– Jesteś tu, kochanie? – zapytała, stawiając stopę o pół cala od krzywej trzydrzwiowej szafy zniszczonej i wyrzuconej tu pewnie jeszcze przez pierwszych lokatorów kamienicy. – Johnny? To ja. Już nie ma się czego bać.

Z zewnątrz dobiegł ją dźwięk, jakby syrena zadławiła się, a zaraz potem wszystko umilkło. Słychać było tylko ciche brzęczenie owadów gdzieś w głębi strychu.

Stała przed starym, nakrytym płachtą stołem i kucnęła, zaglądając pod spód. W ciemności dostrzegła zarys ciała chłopca i jego rozszerzone ze strachu oczy. Rosie odetchnęła.

– Już dobrze – wyciągnęła w stronę syna lewą rękę. Zaraz jednak syknęła z bólu, a ledwo przyschnięta rana znów zaczęła krwawić. – Nie będziemy się już zadawać z tamtym panem. Sami sobie poradzimy. Tylko musimy się spieszyć, zanim przyjedzie tu pan szeryf, dobrze? Chodź do mnie.

Johnny ani drgnął. Wyglądał jak pogrążony w transie. Rosie wstała i złapała za krawędź stołu, chcąc go odsunąć. Stała bokiem do blatu, by łatwiej się zaprzeć, i szarpnęła z całej siły. Wtedy za jej plecami rozległo się głośne stój... Ale było już za późno.



Szeryf wyłączył silnik i sięgnął po kapelusz leżący na fotelu pasażera. Dłuższą chwilę zajęło mu wygramolenie się z samochodu. Ale nie musiał się nigdzie spieszyć. Zwłaszcza że, jak podał mu przez radio chudszy i szybszy Taylor, strzały już padły... i były trupy.

– Przy odrobinie szczęścia, synu, tej suki nie ma wśród żywych – powiedział cicho grubas, zakładając kapelusz i ocierając rękawem gromadzące się pod nosem krople potu. – A w razie czego są sposoby, by dopomóc szczęściu. Będzie żałowała, że nie dała ci wtedy skończyć. Przysięgam ci, George. To pewne, jak Bóg na niebiosach.

Charknął, splunął i rozejrzawszy się, ocenił sytuację. Oba radiowozy były już na miejscu. Stały zdecydowanie bliżej niż on, po obu stronach mercedesa, blokując mu wyjazd. Koguty na dachach migwały ostrzegawczo. Wszystko jak w regulaminie. Szeryf uśmiechnął się, lubił profesjonalną robotę. Wszak nie ma jak pozory.

Stojący przy motorze Taylor rozmawiał właśnie z grupą dzieciaków. Zauważywszy szeryfa, skinął głową i wyrwał się z otaczającego go kręgu.

– Chłopaki są w środku – powiedział, podchodząc. – Wszystko ustawiłem tak, jak pan chciał. Jak tylko ją znajdą, rozpoczną strzelaninę. Żadnych budzących podejrzania pojedynczych strzałów. I niech pan się nie martwi postronnymi świadkami. – Brodą wskazał grupkę, z którą rozmawiał przed chwilą. –

Powiedziałem tym dzieciakom, że szukamy kilku kieszonkowców. Powinni zaraz zacząć się ulatniać. Musiałem też spławić czekającego na McNugget rozżalonego komornika, ale to raczej płotka i nie powinno być kłopotów.

Uśmiechnął się niepewnie, jak chłopczyk oczekujący aprobaty nauczyciela. Doczekał się. Szeryf odpowiedział uśmiechem.

– Jeszcze rok temu pierwszego, który trafiłby ją przede mną – rzucił, wyciągając paczkę papierosów – przywiązałbym do zderzaka i przeciągnął po całym tym cholernym miasteczku. Ale ludzie się zmieniają, nie? Czyj to motor?

Zastępca wydobyl z kieszeni zapalniczkę, zapalił i podstawił pod nos szefowi.

– No właśnie o tym chciałem mówić. To może być nasz kozioł ofiarny, jakby tamci w domu...

– Jacy w domu? – zdziwił się szeryf.

– W domu mamy trzy trupy. Jeden nie ma bebechów, a dwóch straciło makówki. Koroner rzeczywiście nie będzie szczęśliwy.

Grubas podrapał się po głowie.

– Ostry facet. Znamy go? Barwy na motorze to...

– To żaden z nich – przerwał Taylor. – Poza tym “Głosy Pana” są na naszej liście płac. Nie robią nam niewesołych numerów. A ten facet? Pewnie jakiś pajac, który podpieprzył “Głosom” maszynę. W Teksasie nie brak naśladowców Eastwooda snujących się ze spluwą przy udzie. Ważne tylko, że nie tak dawno chciał stąd zabrać naszą panią McNugget i trochę się poprzytkali. Teraz oboje siedzą w budynku i nikt nie będzie zdziwiony, jeśli podstrzelają sobie łby. Idealny koziołek.

Szeryf zaciągnął się papierosem i wyrzucił go. *Już po niej, George – pomyślał. – Jak Bóg na niebiosach już po niej.*



Czas zwolnił. Zupełnie jakby w swej złośliwości zapragnął nie oszczędzić Rosie nawet najdrobniejszej konsekwencji pochopnego ruszania stołu. Teraz nie pozostało jej już nic innego, jak patrzeć. Stać w bezruchu, z palcami wbitymi w blat i z przerażeniem czekać chwili, gdy wywołana przez nią lawina sięgnie celu – wielkiego i obrzydliwego gniazda os. Od nieszczęścia dzieliło ją coraz mniej.

Popchnięte przez stół wiadro zdążyło już wywrócić się i uderzyć w kosz ze starymi parasolami. Zahaczony o rączkę jednego z nich kabel, którego drugi koniec niknął gdzieś na szafie, naprężył się, ściągając z góry starą lampkę z abażurem. Ta spadła wprost na wysunięty koniec deski, która, oparta na

kawałku dachówki, pewnie nieraz służyła Johny'emu za huśtawkę. Teraz jednak zmieniła się w katapultę – lampka poruszyła nią, a drugi koniec rąbnął w wieszak bez jednej nogi.

Ten zachybotał się zupełnie jak drzewo ścinane przez bohatera “Siedmiu narzeczonych dla siedmiu drwali” i z przerażającym PAC runął prosto na gniazdo os, wreszcie... zatrzymał się wsparty o owadzią siedzibę niczym pijak o ścianę. Z wnętrza gniazda wyglądającego jak zmutowana piłka do rugby dobiegł cichy pomruk niezadowolenia... i tyle.

Rosie stała jeszcze przez chwilę zlaną zimnym potem, po czym powoli odwróciła się, by podziękować za ostrzeżenie. Ujrawszy Lokiego znieruchomiałego w pół kroku niczym jakaś grecka rzeźba atlety, tyle że z wykałaczką przyklejoną do dolnej wargi, nie wytrzymała. Wybuchnęła śmiechem.



– Więc jednak zmienił pan zdanie? – zapytała, patrząc, jak Loki ostrożnie odsuwa wieszak i stawia pod gniazdem stary kosz na pranie. Kłamca wzruszył ramionami.

– Właściwie to pomyślałem, że pomysł zwiewania przed glinami wcale nie jest taki mądry. Wezmę tych trzech na siebie, z ciebie zrobimy ofiarę, a ja potem...

Potrząsnęła głową.

– Pomysł zwiewania przed glinami był jedynym sensownym, jeżeli mam wyjść z tego cało. Nie lubimy się z miejscowym szeryfem.

Loki wskoczył na stół i uśmiechnął się paskudnie na widok Johny'ego. Ten natychmiast uciekł za matkę. Dopiero potem wytarł o spodnie brudne od kurzu ręce.

– A cóż to takiego spowodowało ową niechęć? – zapytał Kłamca.

Rosie stanęła bokiem do syna i zasłoniła mu uszy.

– Powiedzmy, że nie pozwoliłam włożyć pewnemu skurwielowi tego, co chciał mi wcisnąć. Później okazało się, że ten gnojek był zastępcą, a co gorsza, też synem szeryfa.

– Był? – zapytał Loki, unosząc brwi. Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

– Moje *nie* dotarło do niego dopiero, gdy powiedziała mu o tym jego trzydziestka ósemka. I napluła prosto w twarz. Sąd potraktował to jako obronę konieczną...

– Ale szeryf nie może ci tego darować, tak? – dokończył Kłamca, kiwając głową. – Więc rzeczywiście gliny odpadają. Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś w raporcie okazała się jedną z ofiar tej rzezi. A ja przy tobie.

Usłyszał coś. Podeszedł do małego okienka i przetarłszy je, wyrzał.

– Chyba właśnie przyjechał szanowny tatuś.

– Taki obleśny grubas? Jeśli tak, to na pewno on. Nie ma drugiego takiego w całym stanie. Nie zmieściłby się.

Loki lekkim ukłonem pochwalił jej dowcip.

– Niezłe. Więc może masz też pomysł, jak stąd wyjść? – Powiódł wzrokiem po strychu. Rosie nie odpowiedziała, więc spojrzął na Johny'ego.

– Chłopcze, czas zapomnieć o naszych małych nieporozumieniach. Musisz mi pomóc...



Taylor, klnąc na czym świat stoi, wszedł do budynku. Wcale a wcale nie podobała mu się rola jedyne go zaufanego. Zwłaszcza że wiązała się niemal tylko z obowiązkami, bo szeryf rzadko pamiętał o czymś takim jak nagroda. Za to słowo *kara* musiało mu w dzieciństwie wisieć nad łóżkiem. Znał je jak mało kto.

Zastępca wkroczył w szarość śmierdzącego uryną korytarza, wyciągnął broń z kabury i odbezpieczył. Jej ciężar w dłoni jakoś zawsze dodawał mu odwagi. Ale tym razem czuł się... głupio. W jego głowie zaszumiły niedawne słowa kolegów, te o wyglądzie trzech leżących w mieszkaniu ofiar. Jak to powiedzieli? Ktoś miał chyba armatę z celownikiem.

Wzdychając ciężko, zaczął powoli i ostrożnie wchodzić po schodach: pierwsze piętro, drugie... Tam

przeszedł długość korytarza i zajrzał przez wyważone drzwi. Policjanci uwijali się jak w ukropie, zabezpieczając ślady. Jeden z funkcjonariuszy zauważył go i pokręcił głową.

– Nigdzie ich nie ma – rzucił. – Tylko ci trzej.

Taylor pokiwał głową ze zrozumieniem. Jego uwagę przykuła żółtozielona plama na środku pokoju. Uśmiechnął się złośliwie.

– Który nie wytrzymał? – zapytał. Gliniarz wzruszył ramionami.

– To już było – odpowiedział, po czym wskazał ręką w stronę stóp Taylora. – W naszych stoisz. A przy okazji, kiedy pojawią się chłopaki ze stanówki? Bardzo chętnie usłyszałbym już to ich nadęte *przejmujemy sprawę*.

– Jadą – skłamał Taylor. – Ale znasz ich. Uważają, że do trupów nie muszą się spieszyć.

Wtem z wyższego piętra dobiegł ich wrzask dziecka. Zastępca odwrócił się gwałtownie, uniósł broń. Powoli ruszył w kierunku schodów, z których już po chwili zbiegł Johny, wrzeszcząc jak opętany. Policjant schował broń i złapał chłopca. Dzieciak przestał krzyczeć, choć nadal chlipał nerwowo. Funkcjonariusz pogłodził go po włosach.

– Co się stało, mały? – zapytał. Johny wskazał palcem w górę.

– Tam – wydusił z siebie. – Ten pan... robi brzydkie rzeczy mamie.

Taylor postawił malca na ziemi i przyjrzał mu się z uwagą.

– Nazywasz się McNugget, prawda?

Johny potwierdził skinieniem głowy, po czym przetarł nos rękawem. Zastępca szeryfa znów wydobyl broń z kabury.

– I twoja mama jest z tym panem na strychu?

Kolejne potaknięcie. Taylor uśmiechnął się.

– Zaczekaj tu na mnie, dobrze?

Jak najciszej i jak najszybciej pobiegł na górę. Jeśli się pospieszy, może zdąży jeszcze na igraszki... Jakoś niestraszny mu był harleyowiec ze spodniami na wysokości kolan. Płynąca z ciężaru broni moc pomknęła wzdłuż palców, wypełniając go po brzegi.

Na igraszki nie zdążył. I sądząc z tego, co ujrzał, nie miał prawa zdążyć. Rosie co prawda leżała na podłodze w poszarpanym ubraniu, ale jęki siedzącego obok harleyowca, a już zwłaszcza fragment złamanego wieszaka tkwiący w jego brzuchu, świadczyły wyraźnie o tym, że choć Rosie McNugget często rozkłada nogi, to tylko przed tym, przed kim sama chce.

Dziewczyna zauważyła policjanta i uśmiechnęła się nerwowo.

– Zastępca szeryfa – powiedziała przymilnie. – Jak to miło pana zobaczyć.

Taylor wycelował jej w głowę.

– Zaraz nie będzie ci tak miło, suko – wycedził. Jego palec powoli zwiększał nacisk na spuście.

I nagle harleyowiec zaczął się zmieniać. Zastępca zauważył to kątem oka i w pierwszej chwili wziął za grymas bólu. Ale już za moment zorientował się, że ozdobiona blond brodą twarz wpatruje się w niego z wściekłością.

– Nie wolno tak mówić o mojej mamie! – ranny mężczyzna niemal wykrzyczał te słowa. Jego głos brzmiał jak...

– Takie małe pytanie – rozległo się za plecami Taylora. Zastępca odwrócił się, wbrew logice doskonale wiedząc, co zobaczy. Tak było w istocie. Mały Johny celował z wielkiego obrzyna wprost w jego pierś. – Oglądałeś film "Omen"?

Głośny huk i nagły, potworny ból odebrały mu chęć do odpowiedzi.



Szeryf ufał swojemu zastępcy i wiedział, że zadba o każdy szczegół. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Taylor mógłby okazać się na tyle głupi, by czekać, aż przeciwnik wyciągnie broń. Kto ma spluwać w ręce, ten ma przewagę – to zasada stara jak świat. Kto ma przewagę i ją traci, nie zasługuje na to, by żyć.

Mimo wszystko, gdy z wnętrza budynku dobiegły dwa strzały, szeryf wcale nie miał pewności, czy

wszystko poszło tak, jak powinno. Odetchnął z ulgą dopiero, gdy z krótkofalówki dobiegł go pełen przejęcia głos Taylora.

– Czysto – powiedział zastępca, nie wdając się w szczegóły. Szeryf z uśmiechem podrapał się po porośniętym szczecinią podbródka.

– Jestem z Ciebie dumny, Taylor. Dziś bawisz się na mój koszt.

Z głośnika dobiegł pomruk zadowolenia, a zaraz potem ponownie głos zastępcy.

– Pewnie chciałby pan to zobaczyć. Zapraszam na strych. Ja tymczasem odwołam chłopaków.

*Myśli o wszystkim* – przebiegło przez głowę grubasa. – *Dobry chłopiec.*

– Już tam idę – rzucił, odwieszając mikrofon. Wsiadł z radiowozu i poprawił kapelusz. Ważne chwile wymagają odpowiedniej prezencji.

Zanim doszedł do drzwi wejściowych, minęli go funkcjonariusze dotąd obstawiający mieszkanie. Zatrzymał ich, wypytał o zabezpieczenie śladów i zapewnił, że sam poczeka na koronera i policję stanową. Pozwolił też skorzystać z barku w swoim gabinecie, zapewniając, że dziś raczej nie będzie mu potrzebny.

Taylora spotkał koło mieszkania Rosie. Właśnie pochylał się, by przykleić koniec policyjnej taśmy do podłogi. Gdy wstał, na moment skrzywił twarz w grymasie bólu. Szeryf zauważył, że zastępca ma strzaskane ramię. *To jednak twarde!* – pomyślał. – *Po głosie nie było znać, że tak oberwał.*

– Proszę na górę, szefie. – Taylor wykonał zdrową ręką zapraszający gest. – Pewna dama czeka tam na pana.

Obaj wybuchnęli śmiechem, jakby to był najprzedniejszy dowcip w historii świata. Gdy się opanowali, zastępca zszedł po schodach, zostawiając szeryfa samego. Grubas poczekał, aż zamkną się drzwi na dole i dopiero wtedy kontynuował wspinaczkę. Na strych dotarł, ciężko dysząc, z czołem mokrym od potu. Mimo to, jak zauważył, warto było.

Nieco na lewo od wejścia leżał *koziół ofiarny* z wielką dziurą w okolicy serca. Dłoń trzymał zaciśniętą na skrwawionym nożu. Dalej, ale z pewnością w zasięgu ręki harleyowca, znajdowały się zwłoki chłopca z poderżniętym gardłem. Po plecach szeryfa przebiegł dreszcz. Ale z tą akurat śmiercią jego zastępca raczej miał niewiele wspólnego.

Ponure rozważania przerwał mu nagły, ledwo dostrzegalny ruch. Grubas spojrzał uważniej i z miejsca zapomniał o dzieciaku.

– Masz u mnie podwyżkę, Taylor – powiedział, kręcąc głową z uznaniem. – Zajebicie wielką podwyżkę.

Dziewczyna z pozoru wydawała się martwa, co wcale nie byłoby takie złe. Jednak jej rozszerzone przerażeniem oczy i nerwowe, ograniczone ruchy dłoni sprawiły szeryfowi jeszcze miłszą niespodziankę. Jak w pornolu sado-maso! McNugget leżała związana, choć w półmroku nie było tego widać. Większość knebla zasłaniały rozpuszczone włosy.

Tłuścioch przykucnął przy Rosie i z uśmiechem wyjął jej z ust starą piłeczkę do ping-ponga. Gorąco pragnął, by przed śmiercią choć raz błagała go o litość.

– Uwaga, szefie! – wrzasnęła McNugget głosem Taylora. – To pułapka.

Pomimo swej tuszy szeryf niemal błyskawicznie poderwał się na równe nogi i rozejrzał po pomieszczeniu.

Przecignięty od drzwi do kubła na pranie sznurek dostrzegł w chwili, gdy ten naprężył się gwałtownie. Kubeł upadł, otwarta nagle kłapa wypuściła rój wściekłych os. A drzwi na strych jednocześnie się zatrasnęły.



Rosie i mały Johny wyszli przed budynek, zostawiając za sobą pełne bólu wrzaski uwięzionych na strychu mężczyzn. Trzymając się za ręce, poczekali, aż czarny mercedes wykręci i zahamuje tuż przed nimi. Wsiedli.

– I jak? – zapytał Loki. Dalej ubrany był w mundur zastępcy szeryfa, ale gdzieś zniknęła zdobiąca ramię czerwona plama, a twarz na powrót stała się obliczem harleyowca.

– Dokładnie tak, jak pan przewidział – odparła Rosie. – Trudno, by się nie nabrali na te... czary. Ale... dlaczego pan to zrobił?

Kłamca zerknął w lusterko.

– Taka moja praca. Jedni rozwożą pizzę, inni ratują damy z opresji, czyż nie?

Zauważył, że dziewczyna na tylnym siedzeniu odpowiedziała mu pełnym ulgi uśmiechem. Jak na filmie, gdy popcorn się kończy i wiadomo, że zaraz będzie HAPPY END. Wyjechali właśnie zza budynków i wpadające przez okno złote promienie słońca rozświetliły jej twarz. Przez jedną krótką chwilę dziewczyna wyglądała zupełnie jak Sygin w dniu ich ślubu. Brakowało tylko wianka ze stokrotek...

Loki westchnął ciężko. Stanowczo zbyt dawno nie odwiedzał żony. Będzie to musiał nadrobić. Kto wie, może nawet go usłyszy, może się obudzi...

– A, zapomniałbym – powiedział po chwili, raz jeszcze spoglądając w lusterko. Tak jak się spodziewał, złudzenie minęło. – Twoi mili goście zostawili ci niespodziankę. Pod moim siedzeniem jest czarna walizka.

Rosie sięgnęła po nią i otworzyła. Zapało jej dech.

– Ile tego jest? – wykrztusiła.

– W sam raz, byś zaprosiła mnie na obiad, nie uważasz? Sądzę, że najwyższy czas coś zjeść.

Odwrócił się i spojrzął na Johny'ego.

– Masz na coś ochotę, partnerze?

– Hamburgera wielkiego jak cały stan – zawołał chłopiec, rozkładając ręce.

– Jak Teksas? Mam nadzieję, że będą mieli dość keczupu.

## Wieczór

### w Grecji

Stara kobieta odłożyła książkę, wyłączyła lampkę nad głową i przymknęła oczy. Wiejący od morza wiatr przyjemnie gładził ją po twarzy, a zachodzące słońce ogrzewało wychudłą pierś.

Uniosła ręce, przeciągając się leniwie, w końcu położyła je na okrywającym nogi kocu. Jak na swój wiek czuła się i wyglądała wspaniale. Odwróciła głowę, by powiedzieć o tym siedzącej w fotelu obok siostrze. Ta prychnęła.

– W twoim wieku każdy żyjący wygląda wręcz idealnie – powiedziała, poprawiając okulary zsunięte na czubek nosa. – Ile znajomych ci osób przeżyło dwadzieścia tysięcy lat?

– Znasz odpowiedź na to pytanie, An – kobieta odparła z uśmiechem. – Ale ty wyglądasz dużo starzej. Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz.

– A jak, twoim zdaniem, mam się nie przejmować?! – wykrzyknęła siostra. – Nasza przepowiednia zawiodła! Teraz ci skrzydlaci pomyślnicy pomyślą, że nie jesteśmy im potrzebne. Może nawet przyślą tu tego maniaka z tatuażem.

Pomimo że włożyła w te słowa cały swój lęk, druga staruszka wcale nie sprawiała wrażenia przejętej.

– Miał aniołek szczęście – rzuciła tylko, wzruszając ramionami. – Albo niejednoznacznie utkałyśmy wydarzenia. Zdarza się.

An milczała przez chwilę.

– Myślę, że to nie zasługa naszego strachliwego gościa – powiedziała w końcu. Jej oczy zmieniły się w maleńkie szparki, jak zawsze gdy przyszło jej obcinać tkane przez siostry nici. – Ktoś mu pomógł. I myślę sobie, że ten ktoś zasłużył na własną przepowiednię.

Zaśmiała się skrzekliwie i w tej samej chwili gdzieś na drugiej półkuli pewien odziany w skórę mężczyzna odstawił talerz z ledwie napoczętym posiłkiem. W jego głowie nagle powstała dziwna, obca myśl. *Umrzesz, gdy dopełni się twa legenda* – mówiła. Brzmiało to jak przepowiednia.

### Alpy Szwajcarskie



oki stał na wzgórzu i z satysfakcją wpatrywał się w swoje dzieło. Wiatr szalał w jego rozpuszczonych włosach, mróz na twarzy, zdobiąc ją krwistą czerwienią rumieńców... Kolejne zimowe zwycięstwo. Czyż mogło być coś cudowniejszego dla nordyckiego boga?

Odłożył paletę i starannie wytarł pędzel, nie odrywając oczu od obrazu. Czegoś wciąż jeszcze mu brakowało. Zastanawiał się przez moment, po czym rozłożył szmatkę i narzucił na sztalugę. Policzył do trzech i ściągnął z wprawą magika. Płótno wyglądało teraz na dużo starsze. Co najmniej sto lat.

Kłamca uśmiechnął się, odwrócił i uniół rękę w geście pozdrowienia.

– Możesz już wyjść, Gabrieli – powiedział. – I tak wiem, że tam jesteś.

Z mroku wyłoniła się zakapturzona postać.

– Dobra robota – pochwaliła, odsłaniając głowę. Lśniąca czarna grzywa archanioła mieniła się blaskiem księżycowego światła. – Zwłaszcza ta chatka u podnóża gór wygląda ciekawie. Loki skinął głową.

– Prawda? Trochę się bałem, że umieszczając domek nieco po lewej zachwieję kompozycją, ale postanowiłem malować zgodnie z rzeczywistością. Musiałem jednak zastosować barwę o dwa tony ciemniejszą, malując dach chaty, by stanowił kontrast. Inaczej zlewałby się z...

Archanioł nie krył zaskoczenia.

– Od kiedy interesujesz się malarstwem?

– Od jakiegoś miesiąca. – Kłamca wzruszył ramionami. – Uznałem, że powinienem sobie znaleźć jakieś relaksujące hobby. Jak myślisz, czy Johan Veritus będzie odpowiedni?

– Co proszę?

– Podpis. Obraz jest skończony, gdy autor strzeli parafkę – wyjaśnił niegdysiejszy mieszkaniec Walhalli. – A przecież nie podpiszę się *Loki, potomek Olbrzymów*, prawda?

Na widok miny Gabriela pokręcił głową z dezaprobatą.

– Jak ty się nic nie znasz na sztuce – westchnął, sięgając po wąski pędzelek. Gdy podpis był już gotowy, postarzył go tak jak wcześniej cały pejzaż.

Chwilę stali w milczeniu. Archanioł przyjrzał się uważniej ośnieżonym połaciom otaczającego wzgórze lasu i mdłym światłom leżącej w dolinie wioski. Okolica była wręcz wymarzona dla cudu Bożego narodzenia. Aż dziw, że znający przyszłość Chrystus nie wybrał na początek swej misji takiej właśnie alpejskiej wioski. I tak święta prawie wszystkim kojarzą się z zimą. I śniegiem...

– Myślę sobie – oznajmił, przerywając swoje rozmyślenia – że zasłużyłeś na małą premię.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął dwa pióra.

– Tak z okazji świąt – dodał, wręczając je Kłamcy. Ten przyjął podarek i sprawdzwszy dokładnie jakość, ostrożnie schował do kieszeni.

– Dzięki! – Błękitne oczy Lokiego zaiskrzyły. – Właściwie to ja też mam coś dla ciebie.

W jego dłoni pojawiła się nagle elegancko zdobiona koperta. Gabriel uniół ją ostrożnie i delikatnie otworzył. W środku była jakaś tekturka.

– To zaproszenie – wyjaśnił Kłamca. Wyciągnął pudełko wykałaczek, wydobyl jedną i włożył do ust. – Na zabawę sylwestrową w kasynie w Monte Carlo.

Archanioł już pewniejszym ruchem wydobyl tekturowy prostokącik.

– To miło z... – powiedział, zaczynając czytać, ale zaraz skrzywił się z niesmakiem. – Bardzo śmieszne.



– Co takiego? – Loki zrobił zdziwioną minę.  
– *Dla szanownej pani Mary Ann Garrety* – przeczytał Gabriel. – Przedni kawał. Ubawiłem się jak nigdy.  
Kłamca wzruszył ramionami.  
– Po prostu źle zrozumiałeś – odparł.  
– A co tu jest do rozumienia?  
– Tylko to. – Palec nordyckiego boga powędrował ku zaproszeniu. Zatrzymał się przy przeczytanym chwilę wcześniej nazwisku i, jakby po namyśle, zjechał jeszcze linijkę niżej. – *Z osobą towarzyszącą*. Ta pierwsza część dotyczy mnie, nie ciebie.  
– Sugerujesz, że ja i... – zaczął boży posłaniec podejrzliwym tonem.  
Loki wszedł mu w zdanie.  
– Ta zabawa to przede wszystkim wielka impreza charytatywna – wyjaśnił. – Odbędzie się na niej aukcja, a od każdego sprzedanego obrazu aż czterdzieści procent idzie na głodujące dzieci. A skoro nadarzyła się okazja i ta modelka sama wpadła mi w ręce, pomyślałem *czemu nie?*  
– Ale po co ci do tego ja? Bo nie uwierzę, że to tylko przyjacielski gest.  
– I słusznie – przyznał Kłamca. – Doszedłem do wniosku, że taka ślicznotka nie może się pokazać z byle łachmytą. Musiałem jej znaleźć jakiegoś przystojniaka. No a któż prezentuje się wspanialej niż archanioł i do tego boży posł...  
– Loki!  
– Poza tym wy, skrzydlaci, macie tę zdolność do przekonywania siłą woli, a to może się przydać.  
– Mogłem się domyślić – powiedział Gabriel. – A co się stało z tą Mary Ann?  
Kłamca uśmiechnął się szelmowsko.  
– Zostawiłem ją w dobrych rękach – odparł. – Na pewno nie będzie żałowała tej imprezy. Ubierz się jakosć schludnie i wpadnij po mnie o ósmej.



Gdy archanioł w nieskazitelnym, dopasowanym fraku zapukał do drzwi hotelowego pokoju, rozległo się wściekłe *proszę*. Nie znał tego głosu, jednak wszedł...  
Na środku stała wysoka, szczupła kobieta o sięgających ramion blond włosach. Ubrana była tylko w koronkową bieliznę.  
– Loki? – zapytał.  
– A kogo się spodziewałeś? – warknęła dziewczyna już tonem Kłamcy. – Zamknij drzwi i poczekaj chwilę. Muszę się ubrać.  
Gabriel opanował zdziwienie i uśmiechnął się z przekąsem.  
– I pewnie nie za bardzo masz w co? – zadrwił.  
Odpowiedziało mu piorunujące spojrzenie.  
– Wiesz – odparł Loki – gdyby nie ten twój słynny anielski defekt, kazałbym ci się pieprzyć. – Ręką wskazał na wypoczynkowy komplet w rogu pokoju. – Siądź gdzieś sobie i poczekaj, aż będę gotów... to znaczy gotowa. Pięć minut.  
Minęło jednak dobre pół godziny, zanim Kłamca wyszedł z łazienki.  
Znudzony archanioł wstał z fotela i już miał postukać wymownie w tarczę zegarka, ale zastygł z półotwartymi ustami. Nawet mimo daru odporności na kobiecie wdzięki długo nie mógł się napatrzeć na czerwoną suknię z sięgającym biodra rozcięciem, trójkąt głębokiego dekoltu, doskonale opalone ramiona i... Stałyby tak pewnie jeszcze długo, gdyby z zachwyty nie wyrwało go gniewne chrząkanie.  
– Mógłbyś przestać? – skrzywił się Loki. – Jesteś w końcu aniołem. A ja, wbrew pozorom, facetem.  
Gabriel zaczerwienił się i odwrócił wzrok.  
– Chodźmy – powiedział. I poszli.



## Monte Carlo

Przez całą drogę Loki milczał i tylko pilnował, aby odbicie jego dekoltu ani na chwilę nie zniknęło z lusterka kierowcy. Na krętych, górskich drogach nie było to rozsądne, zwłaszcza zimą. Siedzący obok na tylnym siedzeniu Gabriel wyobrażał sobie w różnych wariantach, jak wóz wpada w poślizg i stacza się po zboczu. Co prawda on nie miał powodów do strachu, ale szofera szkoda... Jednak ten, choć z pewnością nie był aniołem, najwyraźniej miał podzielną uwagę.

– Zostało niewiele czasu – odezwał się wreszcie Kłamca, gdy weszli do kasyna, a odźwierny zabrał ich wierzchnie okrycia. Loki prowadził archanioła przez ogromną, wyłożoną marmurami salę przechodnią i cały czas szeptał: – Księżę obiecał słodkiej Mary Ann przewodnika po wystawie i nie dało się go już odwołać. Słuchaj więc teraz uważnie. Przede wszystkim głupi uśmiech. Szczery zęby... O właśnie! Tam po lewej, przy stole bilardowym stoi sam księżę Monako, organizator tej imprezy. Mieliśmy ostatnio okazję poznać jego syna, który zapowiada się na znacznie lepszego władcę niż tatuś... Obok niego Leon Negerblack, aktor, z którym...

– Kojarzę go – odszepnął Gabriel. – Do niego jeszcze kiedyś wrócimy.

– Zgadza się – potwierdziła uczepiona jego ramienia blond piękność. Ruchem głowy wskazała przeciwny kraniec sali. – Przy barze, tam głębiej... Nie gap się tak, dyskretniej, to... Ech, jakoś wyleciało mi jego nazwisko. Cóż, jestem przecież blondynką! – zachichotał Kłamca. – Ale to też aktor. Zwykle grywa w głupawych komedijkach lub zabawia się z transwestytami w taksówkach. Właśnie rzuciła go dziewczyna, dlatego tak pije. A tam, przy wejściu na główną salę stoi... Cholera!

– Co się stało? – spytał zaniepokojony archanioł.

– Idą tu moje koleżanki po fachu – wyjaśnił cicho Loki. – Miałem okazję poznać je na podobnej imprezie, będąc w twojej obecnej roli. Uśmiechaj się i pod żadnym pozorem nic nie mów. Ani słóweczka... Aaa, witam, kochane!

Odsunął się od Gabriela i z gracją wyczałował policzki trzech nimf o piersiach pełnych silikonu i z nogami niemal do sufitu.

– Jak się cieszę, że was widzę! Wyglądacie tak cudnie!

– Ty również jak zwykle śliczna, Mary Ann – zrewanżowała się smukła Metyska o zmysłowo wydutych ustach. Stała w środku i wyglądała na zdecydowaną liderkę przybyłej trójki.

– Zawsze wiedziałas, jak o siebie zadbać – poparła ją rudowłosa, ubrana w zieleń koleżanka. Była nieco okrąglejsza od pozostałych, ale w żaden sposób nie działało to na jej niekorzyść.

Loki tylko uśmiechnął się i wzruszył smukłymi ramionami.

– Wiecie, takie tam...

– Ale widać skuteczne – wtrąciła się trzecia, krótko ostrzyżona brunetka, do tej pory uważnie przyglądająca się Gabrielowi. – Ładny, lepszy nawet niż poprzedni. Niż wszyscy oni razem wzięci.

Ponownie zerknęła na archanioła, ale ten wydawał się niewzruszony. Patrzył tylko z przyklejonym głupawym uśmiechem, jakby w ogóle nic nie słyszał. Za to Mary Ann wyraźnie ubodło wspomnienie o poprzednim menie.

*O co jej chodzi?* – intensywnie myślała brunetka. – *No chyba nie o to, że stary był brzydszy od nowego?*

– Nie trudź się, Susan. – Loki skrzywił się w pełnym złośliwości uśmiechu. – Nie jest zbyt rozgarnięty i na dodatek nie zna angielskiego. Wyobrażasz sobie? Ale masz rację. Warto się było potrudzić.

– Ty? Potrudzić? – zapytała rudowłosa z rozbawieniem. – Ależ skarbie, zawsze miałaś każdego, jakiego tylko zapragnęłaś.

Blondynka uśmiechnęła się promiennie. Jak myśliwy, który ustrzelił największego jelenia.

– Odbiłam go temu znanemu piosenkarzowi. Wiecie, temu od ładnych ballad i piosenek o świętach. Staruszek trochę robił sceny.

– Chcesz powiedzieć, że on... – Metyskę aż zatkało ze zdumienia. – Znaczy twój i... on... a teraz ty... razem? Prawdziwy gej! Jak tego dokonałaś?

Zapadła pełna podziwu cisza. Zadowolony Loki upajał się wrażeniem, jakie zrobił. A jeszcze bardziej tym, że tak naprawdę Gabriel rozumiał każde jego słowo i w przeciwieństwie do bywalców salonów miał

konserwatywne poglądy.

Stał przecież przy Michale, gdy ten palił ogniem Sodome, a teraz w oczach tej trójki dziewczyn sam był... sodomita.

Jednak Kłamca wiedział, że nie może przeciągać tej chwili w nieskończoność. No i dostrzegł już zbliżającego się w ich stronę mężczyznę w uniformie kasyna.

– Przepraszam was, moje drogie, ale chyba idzie tu mój, znaczy nasz przewodnik. Ma nas oprowadzić po galerii.

Modelki, choć kipiały z zazdrości, uśmiechnęły się słodko. Loki z rozbawieniem spostrzegł, że zrobiły to niemal jednocześnie.

– My też powinnyśmy już wracać na główną salę – oznajmiła nagle brunetka.

Pozostałe skwapliwie potwierdziły.

– Miło było cię znowu zobaczyć – rzuciła na odchodnym Metyska. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że jeśli będzie miała coś do powiedzenia w tej kwestii, następne spotkanie nie nastąpi zbyt szybko.



– Nie musiałeś tego mówić – mruknął z wyrzutem archanioł, korzystając z okazji, że ich przewodnika zagadnął jakiś gruby jegomość o siwych, gęstych bokobrodach. – Że niby ja i ten piosenkarz, że my...

Loki stanął na palce i pocałował Gabriela.

– Aniołku, nie rób scen. Jak możesz być tak małostkowy?

– Jeszcze raz mnie pocałujesz – Gabriel ze wstrętem wytarł policzek – a zobaczysz, dlaczego zwą mnie posłańcem śmierci.

Stali przez chwilę, czekając, aż mężczyzna w uniformie skończy rozmawiać i zbliży się do nich.

– Pani Mary Ann Garrety, jak mniemam? – zapytał nienaganną angielszczyzną. – Niestety, nie podano mi nazwiska szanownego pana.

– Mój towarzysz nazywa się Gabrielo Messaggero. Ale jest Włochem i nie mówi po angielsku.

Przewodnik uśmiechnął się. Z siwymi, zaczesanymi do tyłu włosami, nienaganną sylwetką i w doskonale skrojonym stroju wyglądał jak najprawdziwszy angielski lokaj. Z rodzaju tych, którzy taktu i ogłady mają w sobie więcej niż ich lordowie.

– Myślę, że nie będzie to żaden problem, szanowna pani – stwierdził. – Dość biegle posługuję się językiem włoskim.

Lekko schylił głowę.

– Signore Messaggero.

Archanioł zrewanżował się ukłonem. Na szczęście obdarzony był darem języków.

– Pozwolą państwo, że oprowadzę po galerii – przewodnik ruszył w stronę głównej sali. – Nie ma tu dziś, niestety, zbyt wielu wielkich dzieł, ogromna szkoda, zważywszy na szczytny cel, jaki przyświeca dzisiejszej aukcji, ale Jego Książęcej Mości udało się pozyskać kilka perełek. Mam nadzieję, że znajdą państwo coś dla siebie.

Zdążył powtórzyć to wszystko po włosku, niemal słowo w słowo, zanim dotarli na miejsce. W środku panował iście targowy gwar. Niewielkie grupki ludzi skupione w kilku punktach olbrzymiej sali komentowały upatrzone dzieła, a każdy, nie przerywając subtelnej konwersacji, szacował jednocześnie, ile będą gotowi zapłacić jego konkurenci. Stojący na podwyższeniu panowie uzbrojeni w niewielkie młoteczki dokonywali ostatnich poprawek w porządku licytacji.

Przewodnik odwrócił się do Lokiego, z wewnętrznej kieszeni fraka wyciągając tabliczkę z numerem czterdzieści dwa.

– Proszę o wybaczenie, ale na śmierć o niej zapomniałem. Niestety otrzymali państwo tylko jeden numer, który jest przypisany madame Garrety. Jeśli pani sobie życzy, mogę przynieść drugą dla pana Messaggero. Z identycznym numerem, wtedy zakupy będą naliczane na to samo konto.

Kłamca pokręcił głową.

– Nie będzie takiej potrzeby – zapewnił. – Nie będę brała udziału w aukcjach, bo kompletnie się na tym

nie znam – zachichotał, uroczo trzepocząc rzęsami. – Gabrielo, ty to weź, aniołku.

Przekazał tabliczkę swemu milczącemu Włochowi, po czym stanął na palcach, by szepnąć mu jeszcze do ucha:

– Mam dziwne wrażenie, że tamten blondyn się na mnie gapi. Możesz sprawdzić, czy on aby nie leci na mój tyłek? Nie chcę kłopotów.

Archanioł zerknął dyskretnie we wskazanym kierunku, marszcząc brwi, jak zawsze gdy skanował czyjeś umysły. Pokiwał głową lekko zaczerwieniony.

Loki uśmiechnął się.

– Czy dobrze kojarzę? – zapytał przewodnika. – Tamten džentelmen w kremowym garniturze i z apaszką na szyi to Gerard Frotenbauer, ten słynny niemiecki miliarder-filantrop?

– Owszem, to on we własnej osobie. – Ku zdumieniu Kłamcy dystyngowany starszy pan nie spojrzął nawet we wskazanym kierunku. Prawdziwy profesjonalista, mógłby wskazać umiejscowienie dowolnego gościa na sali, nie zastanawiając się dłużej niż pięć sekund.

– Możemy już ruszać? – zapytał. – Nie chciałbym, by coś państwa ominęło.

Poprowadził ich wzdłuż ścian, zatrzymując się przy każdym obrazie i omawiając go krótko.

– A tutaj umieszczone zostały płótna mistrzów holenderskich – powiedział, gdy zbliżyli się do niemal osobnej wystawy urządzonej w rogu sali. – Tam, proszę zobaczyć, znajduje się “Wskrzeszenie Łazarza” Rembrandta. Niestety, to jedyne dzieło tego wielkiego artysty tutaj, zresztą tylko wypożyczone. A tam, nieco po lewej obraz van Swanenburga z Lejdy. Jeśli się państwo orientują, był on nauczycielem Rembrandta. Artysta nie zatytułował dzieła, ale mówi się, że to jego autoportret. Niestety, również nie na sprzedaż.

Wolno przesuwali się naprzód, słuchając przy każdym malunku po angielsku i włosku, że zaskakująca technika, frapujący temat, mistrzowskie ujęcie, a cena wywoławcza tylko...

Gabrielowi było żal miłośników sztuki, że muszą się tak męczyć. Czasem tylko przewodnik, specjalnie dla Mary Ann, dodawał jakiś pikantny szczegółik z życia artysty, a Loki jak na komendę zaczynał trzepotać rzęsami. Gdy jednak starszy mężczyzna odwracał wzrok, obaj, Kłamca i archanioł, coraz częściej rozglądali się ze znudzeniem.

Wreszcie dotarli pod ogromną ramę zasłoniętą płótnem. Loki uśmiechnął się szelmowsko do swego towarzysza.

– A to, szanowni państwo – zaczął przewodnik – jest cel wielu naszych dzisiejszych gości. Zaginiony obraz Jacksona Pollocka, który cudownie odnalazł i zaoferował naszej galerii pragnącej zachować anonimowość kolekcjoner. Przez ostatni miesiąc jedenastu ekspertów sprawdzało autentyczność dzieła i wszyscy zgodnie potwierdzili, że nie mógł namalować go nikt inny. Przepraszam na moment.

Energicznym krokiem podszedł do młodego kelnera trzymającego w opuszczonej ręce tacę z drinkami i szepnął chłopcu kilka słów. Ten zaczerwienił się i błyskawicznie podniósł ramię na wysokość brzucha.

– Co mu powiedział? – zainteresował się archanioł.

– *Co tak trzymasz drinki, jakbyś chciał do nich naszczać? Znudziła się robota?* Takie służbowe połajanki – wyjaśnił Loki. – A ten obraz Pollocka to i nasz cel.

Gabriel uniósł brwi.

– Chcesz go kupić? – zapytał.

– Nie, raczej pomóc sprzedać. Ma najwyższą cenę wywoławczą, ale i tak wszyscy ostrzą sobie na niego zęby. Dzieciaki z całej pieprzonej Afryki będą mieć żarcia na miesiąc...

Kłamca rozejrzał się i uśmiechnął do kogoś w tłumie.

– Kiedy wróci przewodnik, powiedz mu, że poszedłem się przewietrzyć – polecił. – Muszę załatwić parę spraw przed wieczorem. Spotkamy się pewnie koło dwunastej. Baw się dobrze i działaj. Pamiętaj, że cel jest szczytny.

Zanim archanioł zdążył zaprotestować, został sam. Przez chwilę wpatrywał się w zakryte płótnem malowidło, po czym ruszył zobaczyć przebieg pierwszej aukcji.

Licytowano jakiś pejzaż. Z daleka wyglądał jak kiczowaty zachód słońca nad wodą, ale oferty szły całkiem wysoko. Może dlatego, że główni zainteresowani, niski obleśny grubas i zbyt intensywnie

wypudrowana pani po pięćdziesiątce, wyraźnie chcieli coś sobie nawzajem udowodnić.

– “Zachód słońca nad Tamizą” – szepnęła po włosku przewodnik, który nagle pojawił się tuż obok Gabriela. – Artysta nieznany, ale krążą pogłoski, że to dzieło Jego Księżęcej Mości. Warto mieć.

Archanioł skinął głową. Trochę drażnił go piskliwy głos wypudrowanej damy, wołał więc obejrzeć uważniej obrazy wiszące z tyłu sali. Przewodnik szedł krok za nim. Nie pytał o Mary Ann, widać było jednak, że wciąż jej wypatruje, gotów pojawić się na jedno skinienie. Gabriela zaciekawilo tylko, co było tego główną przyczyną – profesjonalizm czy nowe ciało Lokiego.

Następna aukcja wyglądała już znacznie ciekawiej. Podobnie zresztą jak licytowany obraz. Amatorów “Kary dla Marchiasza” autorstwa współczesnego malarza z RPA było pięciu i każdy przebijał z równą zawziętością. Podczas tego starcia naprawdę czuło się magię. Tabliczki szły w górę i opadały, popiskiwały klawisze palmtopów i klawiatury przenośnych komputerów. Różni ludzie mrucze do siebie, raz po raz powtarzając ostatnią sumę podaną przez prowadzącego.

Gabriel stał dobre pięć minut, z rosnącym podnieceniem wsłuchując się w coraz to wyższe oferty. Słyszał wahania ludzi, gdy zaczynali podawać stawki, i wręcz euforyczne westchnienia, gdy kończyli je wykrzykiwać. Odruchowo zaczął sczytywać myśli licytujących. W jednej chwili uderzyła go skumulowana mieszanina lęku, podniecenia i radości. Aż zakręciło mu się w głowie. Otoczyły go sumy i kwoty – każda z nich połączona z gamą różnorodnych uczuć. To było niesamowite... i wspaniałe.

W końcu nie wytrzymał, uniósł tabliczkę i podbił cenę... Za wysoko.

Wszyscy, może z wyjątkiem przewodnika, który zachował twarz pokerzysty, spojrzeli na niego ze zdumieniem. Nawet prowadzący zaniemówił na moment, zaraz jednak na nowo podjął się odliczania. Archaniołowi przeszła aukcyjna gorączka i spojrzawszy niepewnie na stojących najbliżej graczy, uderzył jednego z nich strumieniem myśli. Trafiony błyskawicznie podniósł tabliczkę i wykrzyczał nową ofertę. Gabriel odetchnął, pospiesznie się oddalając.



Długo błądził po sali, częstując się smakołykami ze stojących wzdłuż ściany stołów i rozmawiając z przewodnikiem. Może trochę snob, jednak po dłuższej pogawędce okazał się całkiem sympatycznym człowiekiem i praktykującym katolikiem.

Archanioł zaglądał właśnie do talerza z ostrygami, objaśniając towarzyszowi zawilości w hierarchii anielskich chórów, gdy poczuł na swym ramieniu rękę. Odwrócił się gwałtownie. Przed nim stał na oko trzydziestoletni facet, mocno już podchmielony. W lewym ręku trzymał napoczętą butelkę whisky, w prawej szklankę. I szczyrzył zęby.

– Widziałem przed chwilą twoją dziewczynę – wybełkotał nieznajomy. – I pomyślałem, że pewnie chcesz się napić.

Gabriel już miał zamiar zapytać, co jest nie tak z jego dziewczyną, ale usłyszał głos przewodnika i przypomniał sobie, że przecież oficjalnie nie zna angielskiego. Odczekał cierpliwie do końca tłumaczenia, po czym zadał pytanie po włosku.

– Jeszcze nie wiesz, tak? – zdziwił się nieznajomy, gdy starszy pan mu je powtórzył. – Cóż przyjacielu, wszystkie one to dziwki i twoja wcale nie stanowi wyjątku. Wyszła właśnie z jakimś bogatym paniczkiem na balkonik, a wierz mi, na tym się nie skończy...

Archanioł zerknął w stronę potężnego okna i rzeczywiście ujrzał stojącą na balkonie parę ściskającą się namiętnie. Kobieta był niewątpliwie Loki, mężczyzną zaś najprawdopodobniej Frotenbauer.

Przewodnik przetłumaczył, wyraźnie krzywiąc się przy słowie *dziwka*.

– Jeśli mogę dodać coś od siebie, ignore Messaggero – zakończył. – To uważam, że była to zniewaga wymagająca zajęcia ostrego stanowiska.

Archanioł popatrzył na niego zdumiony, w pierwszej chwili nie wiedząc, o co chodzi. Zerknął też na twarze gromadzących się wokół ludzi. Ze wszystkich mózgów wyczytał to samo. Że powinien zareagować... I przypomniał sobie, że tutaj Loki to przecież nie Loki, tylko słodka Mary Ann.

– Si, certo! – odpowiedział z uśmiechem miłemu starszemu panu, a chwilę potem jego pięść pomknęła

z prędkością błyskawicy ku twarzy nieznanego. Ten zachwiał się zdezorientowany, po czym runął jak długi na ziemię.

Gabriel wytarł rękę o kamizelkę i uśmiechnął się przepaszająco, a tłum nagrodził go gorącymi oklaskami. Przewodnik usłużnie podsunął mu miseczkę z lodem, by mógł doń wsadzić dłoń. Odmówił.

Z oddali rozbrzmiał dźwięk dzwonka i wszędzie pojawili się kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków szampana. Dochodziła dwunasta.



Główna licytacja odbyła się zaraz po północy. Loki odnalazł Gabriela w tłumie i klepnął go w ramię.

– Co ty...? – syknął archanioł, ale Kłamca gestem nakazał mu milczenie.

– Patrz teraz uważnie – wyszeptał.

Z początku nic się nie działo. Ale gdy odsłonięto obraz, gdy przebrzmiały liczne ochy i achy na jego cześć, rozgorzała walka wieczoru. Pomimo dość wysokiej ceny wywoławczej chętnych znalazło się wielu. To nie było już jakieś tam dziełko podrzędnego płótnoskroba. To był Pollock, nazwisko, za które warto zapłacić.

Szybko się jednak okazało, że niewielu entuzjastów twórcy stać było na jego zaginione dzieło. Liczba wznoszonych w górę tabliczek kurczyła się gwałtownie. Gdy licytantów zostało tylko dwóch, Loki szturchnął Gabriela.

– Archanielu, poznaj potęgę kobiecych wdzięków – wyszeptał.

Prowadzący drugi raz wywrzeszczał zlicytowaną cenę i już szykował się do trzeciego, gdy nagle suma została podwojona. Po sali przebiegło westchnienie pełne zdumienia, a zaraz za nim garść oklasków.

Nowy lider niedługo cieszył się jednak zwycięstwem, gdyż jego przeciwnik w mig dokonał podobnego zabiegu. Maszyna ruszyła i – Gabriel czuł to wyraźnie – mniej już chodziło o Pollocka, a bardziej o grę ambicji.

Walka trwała dobry kwadrans, a cena wzbogaciła się już o taką kolekcję zer, że nawet prowadzący nerwowo ocierał pot z czoła. W końcu jeden z zawodników, setny raz wystukawszy coś na kalkulatorze, skapitulował.

Zwycięzca – Frotenbauer, który przed aukcją zdążył się przebrać i wyglądał teraz jak amerykański macho epoki twista, przy wtórze głośnych braw podszedł do stolika, by dopełnić formalności. Po chwili, trzymając w ręce niewielki kwit, podszedł do Lokiego.

– Oto i obraz, droga pani – powiedział z uśmiechem, wręczając mu świstek. – Liczę, że i ty dotrzymasz swojej części umowy – dodał, lekko zezując na archanioła.

– Oczywiście, panie Frotenbauer – zaszczebiotał Kłamca. – Pozwoli pan, że za chwilę do pana dołączę.

– Będę czekał z niecierpliwością – zapewnił mężczyzna i ruszył w stronę toalet.

– Co ty znowu kombinujesz? – zapytał Gabriel.

– Muszę tylko dotrzymać umowy – odparł z rozbawieniem Loki. – Spotkamy się przy wyjściu. Za kwadrans albo nawet szybciej.



Archanioł ledwie zdążył pożegnać się z przewodnikiem, gdy wyminął go czerwony jak burak Frotenbauer. Mężczyzna szybkim krokiem zdążył ku wyjściu i widać było, że z wielkim trudem zmusza się, aby nie biec. Chwilę później, kołysząc biodrami, nadszedł Loki.

– Coś ty mu zrobił? – zapytał boży posłaniec.

– Pokazałem mu. – Kłamca skrzywił się w uśmiechu. – Ale on nie to chciał zobaczyć. Moja przemiana w kobietę nie była całkowita i trochę się zawiódł.

Gabriel zamrugał z niedowierzaniem. Loki chwycił go pod ramię.

– Chodź, zanim postanowi odebrać mi obraz. Poza tym chyba dość już narobiliśmy kłopotów słodkiej

Mary Ann.



Loki spał w najlepsze, gdy do drzwi jego hotelowego pokoju ktoś załomotał. Bóg wstał, spiął włosy i przyglądał brodę. Powoli podszedł do drzwi. Za progiem stał Gabriel.

– Nie mogłeś jakoś przez ścianę? – skrzywił się Kłamca. – W promieniu światła albo coś? Od tego łomotania omal mi mózg nie odpadł.

Archanioł rozsiadł się w fotelu, nie czekając na zaproszenie.

– Po tej naszej akcji – zaczął – postanowiłem sobie, że zapoznam się lepiej z twórczością pana Pollocka. Ot tak, dla poszerzenia wiedzy. I nie zgadniesz, czego się dowiedziałem.

Zamilkł na chwilę, licząc, że Loki zacznie zgadywać, o co chodzi. Ten jednak nie wydawał się zainteresowany teleturniejami.

– Otóż ten obraz, który dostałeś, “Ragnarok”...

– Co z nim? – spytał Loki z cierpiętniczą miną kogoś, kogo w środku nocy budzi pomyłkowy telefon.

– Wygląda dokładnie tak samo jak “Rytm jesieni”, tylko dobór barw ma inny. Myślę, że cię oszukano, a ten obraz to falsyfikat!

Loki, ponownie przyczesawszy brodę, podszedł do leżącego na krześle garnituru. Wyciągnął z marynarki złożony na cztery arkusz papieru i podał go archaniołowi.

– Szanowny panie Smith – zaczął czytać Gabriel. – *Serdecznie dziękujemy za udostępnienie nam obrazu z pańskiej kolekcji. Z przyjemnością zawiadamiamy, że zlicytowana suma przerosła nasze najśmielsze oczekiwania. Tereferę, tereferę... Zgodnie z umową, czterdzieści procent zysku przekazane zostaje na Fundusz Pomocy Dzieciom Etiopii, a pozostała część sumy zostanie przelana na pańskie konto w terminie 14 dni od dnia aukcji. Z poważaniem...*

Archanioł uniósł głowę znad kartki. Złożył ją i podał Kłamcy.

– Nie rozumiem.

– To proste – odparł Kłamca, wzruszając ramionami. – Przez kilka tygodni przyglądałem się “Rytmowi jesieni”, by zapamiętać każdy szczegół, kształt każdego zacieku. A potem kupiłem zwykłe płótno i nałożyłem iluzję, zmieniając tylko kolory. Ludzie patrzą po pozorach. A już zwłaszcza nadęci fachowcy. Rozpoznali Pollocka, bo to w pewnym sensie był Pollock, tylko trochę pokolorowany... Wątpię, by ktokolwiek się zorientował... Prócz ciebie oczywiście, Gabrielo. Zrobił się z ciebie prawdziwy koneser.

Po chwili posepnego milczenia archanioł klepnął Lokiego w ramię.

– Nie mieszaj mnie więcej do takich rzeczy – powiedział i nie czekając na odpowiedź, wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zatrzymał się przy windzie. Wcisnął przycisk.

– Głodujące afrykańskie dzieci... – mruknął, kręcąc głową.

## Cicha Noc

### Wrocław

Święty Mikołaj uciekał przez miasto, a elf-pomocnik podążał w ślad za nim.

Ulica, którą biegli, nie różniła się niczym szczególnym od innych głównych ulic w wielkich miastach – pełna była kolorowych sklepowych witryn, sunących powoli samochodów i spieszących gdzieś ludzi, tego wieczoru najpewniej do domów na wigilijną kolację. Z niesionych reklamówek wystawały nawet zakupione w ostatniej chwili pięknie opakowane prezenty.

Padało. Niby nie deszcz, ale to, co docierało do ziemi, w niczym nie przypominało białej śniegowej kołderki. Niemal z miejsca zmieniało się w śliską czarnoszarą breję, postrach nieostrożnych staruszków.

Mikołaj dobiegł do skrzyżowania i, nawet nie zwalniając, ruszył na drugą stronę ulicy. Zatrąbił klakson.

– Gdzie na czerwonym, kretynie?! – wrzasnął jakiś kierowca, który tylko cudem nie wpadł w poślizg.

Święty nawet się nie obejrzał. Nie musiał. Ludzie często mu mówili, że chyba ma oczy naokoło głowy. Doskonale wiedział, co dzieje się za nim i jak niewiele brakowało, by wszystkie ogniwa ogromnego łańcucha samochodów nie wyhamowały w porę. Ale wiedział też, że nie może się teraz zatrzymać ani nawet zwolnić. Nie teraz.

– Złodziej – rozległo się za jego plecami. – Łapcie tego Mikołaja! Okradł dzieci!

Przechodnie nie zareagowali. Łapać złodzieja w wigilijny wieczór, spóźnić się przez to na kolację i kto wie – może nawet dostać po twarzy? Nie po to płacą podatki. Elf najwyraźniej zrozumiał nastroje społeczne, bo przy następnym okrzyku był już skuteczniejszy:

– Trzymajcie go! Zboczeniec!

Ktoś zastąpił drogę uciekającemu i spróbował złapać za przyklejoną brodę. Święty wywinął się, walnął napastnika pięścią w brzuch, a biodrem pchnął w stronę sklepowej witryny. Jednak goniący go elf był coraz bliżej.

I wtedy właśnie z pobliskiego sklepu wysypała się nagle z dwudziestka Mikołajów, każdy z reklamówką pełną cukierków. Kilku z nich, korzystając z uprzejmości kierowców, przebiegło szybko przez ulicę, a pozostali ruszyli w jedną i drugą stronę, rozdając łakocie dzieciom, a ulotki starszym. Zadyszany Święty nie miał pojęcia, co reklamują jego pobratymcy ani dlaczego zaczynają to robić dopiero w wigilijny wieczór. Ale dzięki nim miał nadzieję uratować skórę.

Elf również dostrzegł, co się szykuje. Przyspieszył, jednak za późno. Mikołaj był już pewien, że zdąży. Wpadł między pierwszą parę przebierańców w czerwonych czapkach i przecisnął się między nimi, uderzając od dołu w jedną reklamówkę z cukierkami. Tak jak oczekiwał, zawartość zasypała chodnik, a wszystkie dzieci na ulicy skwapliwie zaoferowały swą pomoc w sprzątaniu. Święty tymczasem minął drugą i trzecią parę swych sobowtórów, po czym skręcił wprost do najbliższej bramy. Na moment zamarł, widząc skrzynkę domofonu, ale drzwi okazały się otwarte. Wzdychając z ulgą, wbiegł na podwórze i kucnął między pojemnikami na śmieci.

Minął dobry kwadrans, zanim w ogóle odważył się poruszyć. Płuca paliły go żywym ogniem, a w pełnych śliny ustach czuł metaliczny posmak. Mimo to nie pozwolił sobie ani na głębszy oddech, ani tym bardziej na splunięcie. Całe jego ciało drżało z wysiłku... I nie tylko.

W końcu wyszedł z ukrycia, otrzepując czerwony kubrak i próbując wypłatać ze sztucznej brody pachnącą wspomnieniem mięty gumę. Nie dało się, więc mocnym szarpnięciem wyrwał cały kłęb bawolego włosa i cisnął go na ziemię.

– I tak muszę się tego pozbyć – powiedział na głos. – W tym na pewno mnie rozpozna.

– Bez tego też, Światowidzie – usłyszał.

Mikołaj uniósł głowę i zobaczył siedzącego na murku elfa. Spiczastouchy trzymał w ręku pistolet. Uśmiechał się.

– Szach i mat, brachu – rzucił z drwiną.  
Święty ściągnął z głowy czerwoną czapkę. Pokręcił głową z rezygnacją.  
– Więc to już koniec? – zapytał.  
Elf zeskoczył i podszedł na kilka kroków, pilnując się jednak, by nie wejść w zasięg rąk przeciwnika.  
– Tak, Światowidzie – potwierdził. – To już koniec. Jak mawiają, z wiary powstałeś, a w nicłość się obrócisz. Gotów?  
– A jeśli odpowiem, że nie?  
– Nie warto – odparł elf, wzruszając ramionami. – Mam zabawną puentę na każdą okazję.  
Mikołaj westchnął, po czym rozejrzał się po podwórku. Szare, odrapane i śmierdzące, z wykrzywionym przerdzewiałym trzepakiem. Z pewnością nie należało do pierwszej dziesiątki miejsc, gdzie chciałby zginąć. Nawet niebo było jak za kratami, odgradzone rozciągniętymi na wysokości drugiego piętra sznurami na pranie. Słusznie ktoś zauważył, że śmierć nie wybiera. Na pewno nie miejsca, gdzie się pojawia. A jeśli nawet, to w swych wyborach nie kieruje się dobrym gustem.  
– Kończmy to – wyszeptał zdemaskowany Światowid. – Jestem gotów.  
Elf już miał coś odpowiedzieć, gdy nagle tuż nad nimi otworzyło się okno. Spiczastouchy błyskawicznie schował rękę z pistoletem za plecami.  
– Tylko bez sztuczek – syknął i nieznacznie uniósł głowę.  
Z okna pierwszego piętra spojrziała na niego pyzata, umorusana czymś buzia.  
– Naprawdę, tatusiu! – krzyczał ktoś wewnątrz mieszkania. – Naprawdę jest tam Święty Mikołaj. I to prawdziwy, bo z pomocnikiem.  
Po chwili w oknie pojawiła się druga głowa uzbrojona w dwa sterczące w górę kucyki.  
– Chodź, zobacz, tato! – zawołała pełnym przejęcia głosem dziewczynka. – Dalej tu są.  
– Odsuńcie się od okna – rzucił męski głos z głębi. Mała wystawiła rękę i pomachała Mikołajowi przyjaźnie.  
– Odmachaj – syknął elf.  
Światowid posłusznie spełnił rozkaz. Dodał także zupełnie nadobowiązkowy uśmiech. Szczery, choć trochę zbyt smutny.  
– Co teraz?  
– Powoli ruszaj w stronę bramy – wyszeptał niedoszły zabójca. – Tylko bez głupich numerów, bo roz...  
Umilkł, gdy w oknie pojawił się ojciec dziewczynki. W zapadającym powoli mroku dało się dojrzeć jedynie jego czarną sylwetkę na tle żółtego światła z wnętrza mieszkania.  
– Panowie się zgubili? – zapytał.  
Elf zadarł głowę i posłał mu pogodny uśmiech.  
– Ależ skąd, my tylko...  
– Nie mamy dokąd pójść – dokończył głośno Mikołaj. – Jesteśmy bezdomnymi z ośrodka brata Alberta. Mieliśmy dostać pracę w...  
Aż syknął z bólu, gdy łokieć drugiego przebierańca uderzył go pod żebra. Mimo to mógł być z siebie dumny. Jeśli właśnie pojawiła się jego szansa, wykorzystał ją należycie. Jeśli nie, no cóż, zawsze warto spróbować.  
Mężczyzna w oknie uniósł rękę i podrapał się po głowie, po czym na chwilę zniknął im z oczu.  
– Kochanie, czy możesz dołożyć jeszcze jedno nakrycie? – usłyszeli. – W tym roku niespodziewanych gości będzie dwóch.



– Myślisz, że to ci coś pomoże? – syknął elf, gdy wspinali się po schodach na pierwsze piętro.  
Mikołaj wzruszył ramionami.  
– Już pomogło – odparł. – Wiedziałem, że nie zabijesz mnie na ich oczach. To by się nie spodobało twoim panom, co? Zasiałoby zgorszenie, a... Jak to było? *Niepodobna, żeby nie przyszły zgorszenia; lecz biada temu, przez którego przychodzą. Byłoby lepiej dla niego, gdyby kamień młyński zawieszono mu u szyi*



*i wrzucono go w morze, niż żeby miał być powodem grzechu jednego z tych małych.* To chyba z Ewangelii Łukasza.

– Znasz Świętą Księgę, Światowidzie? – Elf wydawał się naprawdę zdziwiony.

– Znam wiele świętych ksiąg, Loki, trzeba znać zwyczaje wroga.

Na górze szczerknął zamek i zaskrzypiały otwierane drzwi. Do pokonania zostało im tylko półpiętro. Loki przysunął usta do ucha Światowida.

– I tak cię zabiję – szepnął. – Skopałeś mi wieczór.



Przed drzwiami czekał na nich gruby, może czterdziestoletni mężczyzna o sympatycznej twarzy ozdobionej krótko przyciętą czarną bródką. Jego gładko wygolone policzki błyszcząły od wtartego w nie kremu, a starannie zaczesane na bok włosy mieniły się jeszcze kroplami wody. Na lewej klapie jego szarej marynarki widniało coś, co Loki w pierwszej chwili wziął za plamę, a okazało się znaczkiem honorowych krwiodawców – maleńka, uśmiechnięta czerwona kropelka.

– Mam do panów ogromną prośbę – powiedział cicho, gdy obaj przebierańcy weszli na piętro. –

Oczywiście mogą panowie odmówić, ale pomyślałem, że skoro mają panowie te stroje, a moje brzdące wciąż jeszcze wierzą w Mikołaja... i jego pomocnika oczywiście. No więc pomyślałem...

Światowid bezradnie rozłożył ręce.

– Bardzo chętnie, ale jak pan widzi, nie mamy nic prócz tych łachów.

Grubas machnął ręką.

– Mam dla nich prezenty – wyjaśnił. – Chciałem im je podrzucić pod choinkę, ale gdyby panowie byli tak mili, byłbym bardzo wdzięczny. To naprawdę wspaniałe dzieciaki i nie trzeba ani ich karcić, ani straszyć różgami. Podejrzewam, że nawet zaśpiewają bez prośnienia.

– Jak cudnie! – westchnął cicho Loki, wznosząc oczy ku niebu.

– Oczywiście jeśli panowie odmówią – ciągnął dalej gospodarz – to nie ma sprawy. Rozumiem, że mogą być panowie zmęczeni i tak czy inaczej zapraszam na wigilijną wieczerzę. Tyle że...

Światowid uciszył go gestem i uśmiechnął się wesoło.

– Panie...

– Dorek – przedstawił się grubas, wyciągając rękę. – Roman Dorek.

– Bogusław Widzeński – zrewanżował się Światowid, ściskając podaną dłoń. – A to jest Kłam...czyński. Mirek. Znaczy Mirosław.

Loki, który do tej pory stał nieco z tyłu i blokował schody, zrobił krok w przód i również przywitał się z gospodarzem.

– Z przyjemnością wręczymy prezenty pańskim dzieciom, panie Dorek.

Sympatyczny brodacz uśmiechnął się pogodnie i zastukał cichutko do drzwi. Te uchyliły się i kobieca ręka wystawiła na próg niewielki czerwony worek.

– Jeśli panowie pozwolą, to ja teraz wejdę do środka, a panowie tak za jakieś dwie, trzy minuty. To mądre dzieci i mogłyby się czegoś domyślić.

Przestąpił próg.

– Nazywają się Jaś i Małgosia – szepnął jeszcze i zamknął za sobą drzwi.

Przebierańcy zostali sami na korytarzu.

– Jaś i Małgosia – parsknął Loki. – Jakie to oryginalne!

Światowid nie odpowiedział. W myślach układał, co powie. Nie mógł zacząć tak jak w supermarcecie, skąd miał strój, bo tam wszystko było przygotowane na masówkę: siadał na krześle, a obok ustawiała się kolejka dzieci. Każde z nich siadało mu na kolanach, mówiło życzenie i dostawało kupon na balonik i zniżkę w McDonalddie. Tam było prosto, a tu...

– Masz jakiś pomysł, jak to zrobimy? – zapytał.

Kłamca poprawił zielony kubraczek.

– Myślę raczej, jak najlepiej odwdziaczyć ci się za całą tę szopkę – odparł. – Zupełnie nie rozumiem,

dłaczego dałem się w to wciągnąć. *Niezidentyfikowany mężczyzna w stroju Mikołaja zastrzelony w Wigilię na oczach mieszkańców kamienicy...* Co mi szkodziło? Może nie co roku, jednak takie rzeczy się zdarzają.

Fałszywy Mikołaj zarzucił worek na plecy i złapał za klamkę.



Wchodząc do saloniku Dorków, Światowid po raz pierwszy odkrył, że naprawdę istnieją ludzie, którzy nie potrzebują wiele, by być szczęśliwymi. Owszem, znał wielu, którzy wyrzekali się dóbr doczesnych dla takich czy innych celów. Oni żyli w większym nawet ubóstwie, za to z ogromną nadzieją na przepych w wieczności. Mieszkańcy tego domu nie potrzebowali żadnych nagród. To, co mieli, wystarczało im w zupełności.

Całe wyposażenie pokoju sprowadzało się do kanapy, kilku krzeseł, suto zastawionego stołu, stojącej przy oknie choinki i regału. Ten ostatni nie był niczym innym jak drewnianą, rozkładaną drabiną malarską. Pomędzy jej szczeblami położono polakierowane szerokie deski.

Na drabinowych półkach stały książki. Na samym dole gumowe i tekturowe Jasia, wyżej dwie półeczki na baśnie Małgosi. Potem kolekcja książek przygodowych wymieszanych ze starymi wydaniem powieści Clancy'ego i MacLeana, a na przedostatniej półce równo stojący szereg wszelkiego rodzaju poradników. Najwyższą i zarazem najniższą półkę zajmowała oprawiona w skórę Biblia. Ku zdumieniu Światowida, nigdzie nie było telewizora ani nawet radia.

Przy oknie po drugiej stronie pokoju stała uśmiechnięta, wyglądająca na dwadzieścia kilka lat szczupła brunetka z bliznami po trądziku na pociągłej, a mimo to niezwykle sympatycznej twarzy. Zasłaniała oczy dwóm pociechom, z których starsze, dziewczynka, mogło mieć z pięć lat. Młodsze – dwa lub trzy.

Gospodarz zatarł ręce i gestem zaprosił gości do pokoju. Światowidowi wskazał specjalnie dla niego ustawione krzesło.

– Uwaga, dzieci – powiedział głośno pan Dorek. – Zaraz odsłonimy wam oczy, a wtedy okaże się, czy byłyście grzeczne. Wiecie, kto przychodzi do grzecznych dzieci?

– Mikołaj! – zawołała dziewczynka.

– Kołaj! – spróbował powtórzyć Jaś.

Stojąca za nimi matka wybuchnęła śmiechem. Gospodarz posłał żonie karcące spojrzenie, ale zaraz również się roześmiał.

– Uwaga – powiedział po chwili. – Już.

Gospodyni cofnęła ręce.

Oczom Światowida i Lokiego ukazały się dwie najszcześniejsze buźki na świecie. Dawka uwielbienia, jaka popłynęła w ich kierunku, sprawiła, że nawet Kłamca poczuł się nieswojo. Tylko troszkę i przez krótki moment, ale i tak było to dla niego nowe odkrycie. Nagle nabrał przekonania, że powinni stąd iść jak najszybciej.

Światowid czuł się w swej roli dużo pewniej. Nie na darmo niemal każdy supermarket chciał go mieć u siebie. Wszystkie wątpliwości co do tego, jak zacząć, rozwiały się w jednej chwili. Pozwolił dojść do głosu tkwiącej w nim mikołajowości.

– Dobry wieczór, kochane dzieci – powiedział, przeciągając słowa. – Czekałyście na mnie?

– Bardzo, Mikołaju – powiedziała Małgosia, odruchowo chwytając brata za rękę. – Tatuś powiedział, że nie mogłeś do nas przyjść szóstego grudnia, bo miałeś dużo spraw, ale że przyjdiesz dzisiaj. I jak Jasiu zobaczył cię za oknem, i mnie zawołał, i ja też cię wtedy zobaczyłam, to od razu wiedziałam, że idziesz do nas, bo my naprawdę byliśmy bardzo grzeczni.

Światowid słuchał tego monologu, uśmiechając się i kiwając głową. Przymocowany do czapki pompon podrygiwał w rytm jego potakiwań.

– Z wyjątkiem tego razu – nie przestawała mówić dziewczynka – gdy Jasiu wszedł na parapet i prawie nie spadł, ale wtedy mamusia mocno go przytuliła i powiedziała, że się nie gniewa, więc to się chyba nie liczy, prawda?

– Nie – odparł Światowid, z całej siły próbując ukryć rozbawienie. – Skoro mamusia powiedziała, że się

nie gniewa, i nikomu nic się nie stało, to się nie liczy.

Uśmiech na twarzy dziewczynki był coraz szerszy. Zerknęła najpierw na mamę, potem na tatę i puszczając rękę brata, postąpiła do przodu kilka kroków.

Loki pomyślał, że pewnie to przez ciekawość, co też Światowid ma w worku, ale dziewczynka nawet nie spojrzała na prezenty. Bardziej interesował ją sam Święty. Sięgnęła ręką do dużej kieszonki na piersi i wyciągnęła zamalowaną, zgiętą na pół kartkę.

– To dla ciebie, Mikołaju – powiedziała.

Ten wziął prezent i przyjrzał się uważnie. Obrazek przedstawiał, a jakże, Świętego Mikołaja stojącego przed swoimi brązowymi saniami, na których już leżał przepełniony wór wielokolorowych paczek. Psopodobne różowe renifery czekały cierpliwie, aż ich pan wsiądzie na nierówny, fioletowy kozioł, i nic sobie nie robiąc z kiepskiej pogody, pogoni je do roboty.

– Dziękuję ci bardzo, Małgosiu – szepnął Światowid. Położył obrazek na swoim krześle.

Dziewczynka dygnęła i przeniosła wzrok na Lokiego.

– Dla pana elfa też bym coś narysowała, ale nie wiedziałam, że pan przyjdzie.

– Nic nie szkodzi – rzucił Kłamca, próbując się uśmiechnąć. Jak się okazało, nie było to wcale takie trudne. – Następnym razem... – zaczął, ale dziewczynka błyskawicznie odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Loki zerknął zdziwiony na gospodarza, ten jednak tylko wzruszył ramionami. *Nie mam pojęcia – mówił ten gest – co szykuje moja mała.*

Mały Jaś zaniepokoił się trochę, gdy został bez siostry. Wygiął buzię w podkówkę, a ręce wzniosły się ku mamie. Kobieta wzięła go na ręce i przytuliła.

– Co się stało, Jasiu? – zapytała. – Przecież to Mikołaj. Tak czekałeś na niego. Może zaśpiewasz mu piosenkę?

– Nie – szepnął stanowczo chłopiec, wciskając nos w ramię matki.

Pan Dorek podrapał się po głowie.

– Cóż – westchnął. – Myślę, że...

I w tym właśnie momencie do pokoju wróciła Małgosia, trzymając pod pachą szarego pluszowego misia. Dumnym krokiem podeszła do Lokiego.

– To dla pana – powiedziała z pełnym przekonaniem.

Kłamca popatrzył po zebranych w pokoju, wyciekując jakiejś reakcji ze strony rodziców małej. Jakiegoś *Pan pewnie nie chce twojego misia, albo Przecież dostałaś go od babci Józi. Babcia się obrazi.* Ale państwo Dorkowie uśmiechali się tylko, najwyraźniej dumni z zaradności swej pociechy. Loki kucnął.

– Nie mogę go wziąć – powiedział z pogodnym uśmiechem. Sam się zdziwił, że przychodzi mu to coraz łatwiej. Niemal odruchowo. – On jest twój.

Dziewczynka stanowczo pokręciła głową.

– Już nie – odparła. – Kiedy weszłam do pokoju z zabawkami i zapytałam, kto chce iść z panem elfem, sam się zgłosił. To dobry miś. Nazywa się Kłamczuch.

Brwi Lokiego uniosły się.

– Jak? – zapytał przekonany, że źle usłyszał.

– Kłamczuch, panie elfie. Nazwałam go tak, bo ciągle opowiada różne rzeczy, a jak się potem pytam mamy, to mówi, że to jakieś bzdurki i pyta, gdzie to usłyszałam. Proszę, niech pan go weźmie.

Wziął zabawkę i podziękował. Nie było sensu dyskutować z tą dziewczynką. Odda potem misia rodzicom. Zerknął w stronę Światowida. Ten uśmiechał się drwiąco, a gdy spotkał wzrok Lokiego, bezdźwięcznie powiedział *panie elfie.*

Ten przejechał palcem po szyi. W przód, w tył i z powrotem. Ale kto nie wiedział, o co chodzi, myślałby, że tylko chciał się podrapać.

– Dzieci – rzekł pan Dorek – o prezenty poprosimy Mikołaja później, a teraz zaprosimy jego i pana elfa na kolację. Co wy na to?



Jedzenie było dobre, choć przywykłemu do mięsa Lokiemu czegoś w smaku potraw brakowało. Mimo to, naśladowując gospodarzy, próbował wszystkiego i ani razu nie pożałował.

Gdzieś za ścianą szczególnie dobrany chórek zawył: *Lulajże, Jezuniu...*

Pan Dorek uśmiechnął się.

– Ktoś tu widać zaczął wcześniej – skomentował. – Strawińscy są już pewnie po kolacji.

*Nie trzeba było prosić o modlitwę Światowida* – pomyślał Kłamca, krzywiąc się z niesmakiem. – *Gdyby nie ten zakłamaný sukinsýn, mielibyśmy z pół godziny do przodu. I ryba by nie wystygła.*

Gospodyni wychwyciła jego spojrzenie.

– Coś nie smakuje, panie elfie? – zapytała.

Loki pokręcił głową.

– To tylko ość – wyjaśnił i na dowód wyciągnął iluzyjną igiełkę z ust.

Gdy tylko kobieta pochyliła się ponownie nad talerzem synka, spojrzał na Światowida.

*Głupiec* – myślał, patrząc jak tamten męczy się, by wraz z jedzeniem nie wpakować sobie do ust pęku sztucznych włosów. – *Czy sądził, że składając życzenia, uratuje skórę? I to jeszcze jakie życzenia. “Abyś nauczył się odróżniać przyjaciół od wrogów...”*. Co to w ogóle miało być?

Poczuł na sobie wzrok gospodarza. Pan Dorek wskazał głową na trzymany w rękach półmisek.

– Pytałem, czy chce pan jeszcze uszek? Niestety, spiczastych nie mamy.

Małgosia parsknęła śmiechem, zaraz jednak opanowała się i wytarła buzię serwetką.

*Prawdziwa z niej młoda dama* – pomyślał Loki z rozbawieniem. Nie zamierzał ukrywać przed sobą, że polubił tę małą. Ostatecznie lubienie kogoś to żadna sprawa i do niczego nie zobowiązuje. Absolutnie do niczego.

Mały Jaś wstał od stołu, podszedł do mamy i wtulił się w jej ramię. Zerkając w stronę gości, szeptał coś do ucha pani Dorkowej.

– Nie wiem, Jasiu – głośno odpowiedziała. – Musisz spytać pan Mikołaja.

Chłopiec przytulił się mocniej i znowu coś wyszeptał. Gospodyni wzruszyła ramionami.

– No dobrze – zgodziła się. – Ja zapytam. Panie Mikołaju, Jasiu pyta, czy mógłby już poprosić o jakiś prezent?



Samo rozdawanie prezentów pewnie nie trwałoby długo, bo nie było ich zbyt wiele. Jednak Dorkowie i tym razem musieli wszystko Kłamcy skomplikować. Dlatego też Jaś, żeby dostać nakręcaną, uśmiechniętą *ciufcię*, białą koszulkę z Kubusiem Puchatkiem i mały woreczek słodczy, musiał zaśpiewać piosenkę. Oczywiście jak każdy maluch albo nie pamiętał słów, albo też śpiewał tak cicho, że musiała mu pomagać cała rodzina.

Potem Małgosia, w zamian za paczkę pasteli, duży blok i dwie drewniane ramki, wyrecytowała wierszyk o Warszawie. Była tak przejęta, że nie robiła przerw nawet na wdechy, czasem więc dławiała się własnymi słowami. Mimo to, a może właśnie dlatego, prócz paczki dostała też gorące owacje. Nawet Loki złapał się na tym, że klasnął kilka razy.

Po ceremonii z paczkami przysła kolej na wspólne śpiewanie kolęd. Pan Dorek przeprosił wszystkich na moment, a po chwili wrócił, niosąc w jednej ręce gitarę, a w drugiej saksofon. Gitarę podał żonie.

– Mam nadzieję, że Mikołaj i elf potrafią ładnie śpiewać – powiedział, mrugając do nich. Potem zaczął grać “Cichą noc”.



Loki był naprawdę szczęśliwy, mogąc w końcu nadać swoim uszom właściwy kształt. Zrobił to oczywiście dopiero w chwili, gdy zostali w pokoju tylko we dwóch. Dla niepoznaki stworzył też iluzję gumowych nakładek.

– Jak myślisz, dlaczego chciał, żebyśmy jeszcze zostali? – zapytał stojący przy oknie Światowid.

Właśnie uporał się ze sztuczną brodą i używając szyby jako lustro, zdrapywał z twarzy resztki zaschniętego kleju.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Najpewniej, by jeszcze bardziej mnie wkurzyć – odparł.

Podszedł do stołu i położył na nim iluzyjne nakładki. Sięgnął też po swój pluszowy prezent, ale zaraz gwałtownie cofnął rękę. *Co z tobą?!* – skarcił się w myślach. – *Dostajesz misia i świrujesz?*

Zamknął oczy, a gdy otworzył je ponownie, ujrzał Kłamczucha poszarpanego, bez łapki i ociekającego szarozielonym śluzem. Z lewego oczodołu niedźwiadka wypadały jedna po drugiej białe, wijące się larwy.

– Tak lepiej – szepnął do siebie.

Ale już za chwilę widok zmasakrowanego pluszaka wydał mu się nagle nieprzyjemny. Błyskawicznie zdjął iluzję i westchnął ciężko.

– Światowidzie? – zagadnął, podchodząc do okna.

– Tak?

– Czy ty aby nie mącisz mi właśnie w głowie?

Miał to być tylko żart na poprawienie humoru. Spodziewał się, że słowiański bóg zaprzeczy gwałtownie lub chociaż zapewni, że to nie w jego stylu. Ten jednak z lekkim uśmiechem poklepał Kłamcę po ramieniu.

– Już nie – odparł. – Moja moc nie jest już tak wielka jak kiedyś. Zadbalem tylko o pierwsze wrażenie, ale jak widzę, wystarczyło. Prawda, że śliczna jest ta mała?

– Zabiję cię za to – syknął Loki.

W myślach jednak przyznał mu rację. Mała naprawdę była śliczna. I taka mądra. A gdy recytowała...

Do pokoju wszedł gospodarz, trzymając w ręku butelkę wina.

– Bardzo przepraszam, że tyle to trwało, ale nie mogłem znaleźć korkociągu. Żona dołączy do nas później, jak tylko uśpi dzieci.

Postawił butelkę na stole i zerknął na elfie nakładki. Niby przypadkiem dotknął jednej i uśmiechnął się wesoło.

– Zaraz wracam z kieliszkami.

Kłamca patrzył, jak gospodarz najpierw uchyla lekko drzwi, zagląda, a potem powiększa szczelinę tak, by się precyzyjnie, i cicho je zamyka.

– Błyska – oświadczył Światowid wpatrzony w okno.

Loki odwrócił się ku niemu.

– Co mówiłeś?

– Że błyska. – Uniósł rękę. – Tam, na horyzoncie.

– No i?

– Przypomniał mi się ten kapłan, który wkroczył między naszych i waszych wiernych wtedy na wybrzeżu, pamiętasz?

– Nie.

– No coś ty?! – Zapomniany bóg zaczął mówić z coraz większym ożywieniem. – Musisz pamiętać tego faceta. Twierdził, że wszyscy mają tych samych bogów, tylko inaczej ich nazywają. Mówił, że to nie powód do wojny. Byłeś tam na pewno.

– Nie – ponownie zaprzeczył Kłamca. – Zupełnie sobie nie przypominam.

– No, w każdym razie – Światowid nie dawał się łatwo zbić z tropu – ten gość rzeczywiście dokonał zjednoczenia. Thor wraz z Perunem posłali mu naraz swe cudeńka. Bili piorunami, aż się piasek na szkło przetopił. Zeus to im potem przez lata nie mógł: darować, że...

– A propos Zeusa. – Kłamca nagle uśmiechnął się krzywo. – Nie wiesz, gdzie on teraz jest?

– Niezła podpucha, cwaniaku – burknął słowiański bóg i zamilkł.

Gdzieś z przedpokoju dobiegł ich brzęk tłuczonego szkła. Zaraz potem pojawił się pan Dorek, informując gości, że przyjdzie, jak tylko posprząta. Obaj niezbyt wylewnie zaproponowali mu pomoc. Grzecznie odmówił.

– Dlaczego chciałeś, żebym polubił tę dziewczynkę? – zapytał Loki, gdy znów zostali sami.

– Bo inaczej mógłbyś ją zabić – wyjaśnił Światowid, siadając przy stole. – Teraz już tego nie zrobisz..

Kłamca oparł się plecami o parapet.

– Przecież nie zamierzałem jej zabijać. Nawet o tym nie myślałem.

– Ale mógłbyś, przyjacielu. Gdybyś na przykład spróbował sobie wyobrazić, jak głęboko umieszczam w głowie Małgosi obraz z twarzą Mikołaja, który dziś ujrzała. Tak, by nigdy go nie zapomniała. Ona głęboko wierzy w czerwonego świętego, a od dziś jest przekonana, że ten święty to ja. Gdy mnie teraz zabijesz, odrodzę się z brodą i w czapce z pomponem. Ale jeśli zabiłbyś dziewczynkę...

– Przecież ona nie będzie wierzyć w Mikołaja wiecznie.

– Nie, ale czy ona jedna jest na świecie? Dzisiaj da mi szansę. Jutro znajdzie się inny dzieciak.

Loki patrzył, jak Światowid z uśmiechem rozkłada ręce, i czuł, że ponownie wzbiera w nim wściekłość. Jak mógł dać się tak wykiwać? On, pan kłamstwa, mistrz sztuczek i intryg. Gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie możesz mieć aż takiej mocy – stwierdził. – To niemożliwe. Przecież...

– Możesz to sprawdzić, przyjacielu. – Słowiański bóg wskazał ręką drzwi. – Z wyjątkiem tego całego Dorka wszyscy śpią grzecznie i bezbronnie. Jeden strzał i...

– Wiesz, że mi nie wolno.

– Więc zabij mnie – zaproponował Światowid. – Tu i teraz. Możesz się zdziwić.

Drzwi do pokoju ponownie skrzyknęły i tym razem do środka weszła gospodyni, niosąc na tacy kieliszki. Pan Dorek wolał już nie ryzykować kontaktu ze szkłem. Na palcu wskazującym lewej ręki miał plaster w hipopotamy.



Świtało już, gdy Loki wszedł do wynajętego dwa dni wcześniej hotelowego pokoju. Długi spacer opustoszałymi ulicami miasta wywiały z niego niemal całą złość. Właściwie to przecież wypełnił swe zadanie. Gdy odchodził, Światowid leżał wśród kontenerów na śmieci z przestreloną głową. Nie żył z całą pewnością. A to, że już niedługo pojawi się prawdziwa konkurencja dla Świętego Mikołaja... Może nawet i lepiej, w końcu interesy to nie tylko zaspokajanie podaży, ale też wzbudzenie popytu.

Wydobył spod kurtki pluszowego misia i przyjrzał się dużej dziurze w jego piersi. *Kłamczuch był całkiem niezły jako tłumik* – pomyślał. Chciał już cisnąć pluszaka w kąt, jednak smutna, szara mordka obudziła wspomnienia.

Sygin zawsze nabierała się na takie spojrzenie, dlatego też Loki przestał zabierać ją na polowania. Zawsze miał wrażenie, że wypuszczone sarny czy króliki kpią sobie potem z litościwego łowcy. O tak, jego żonie z pewnością spodobały się Kłamczuch. Gdyby tylko otworzyła oczy...

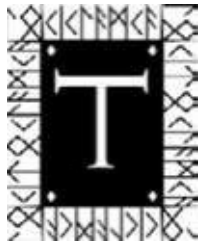
Siedział tak jeszcze przez chwilę, po czym złapał za stojący na stoliku nocnym telefon.

– Obsługa? Proszę o igłę i szarą nić. Nie, to nie żaden dowcip. To kaprys znudzonego milionera! Pokój 115.

*Tacie*

## Egzorcysta

### Południowe Włochy



o już nie jest moja córka – kolejny raz wyszeptał Michaelo Tonsi, mocniej zaciskając palce na rękojeści kuchennego tasaka.

Powoli zbliżał się do zwieńczenia schodów. Jeszcze tylko kilka metrów korytarza dzieliło go od pokoju dziewczynki. Przystanął na chwilę i zerknął za siebie. Z tego miejsca podjęta na dole decyzja nie wydawała się już tak dobrym pomysłem, a świadomość, że w domu nie ma nikogo prócz Mar...

– To już nie jest Marietta – zganił się. Zrobił kolejny krok. Skryta pod dywanikiem deska zatrzeszczała zdradziecko. Zamarł w bezruchu. I wtedy właśnie usłyszał warkot...

Pies, potężny doberman, wyłonił się z cienia i błysnął szkarłatnymi ślepiami. Z na wpół rozwartego pyska skapywały białe płaty piany.

Michaelo przerażony upuścił nóż. Bestia, jakby tylko na to czekając, ruszyła do przodu. W ułamku sekundy przewróciła mężczyznę i zatopiła poźółtkę kły w jego krtani. Trysnęła krew...



Gdyby ojciec Paolo miał w tej kwestii coś do powiedzenia, z pewnością nie wybrałby jezuitę. Jak przystało na franciszkanina, darzył ten zakon szczerą i dogłębną niechęcią. Nie odpowiadały mu ich metody, przenikliwe spojrzenia i psychoanalityczne gierki. No i ten czwarty ślub, dający więcej przywilejów niż ograniczeń.

Oczywiście zdanie ojca Paola nie miało najmniejszego znaczenia. Bo czymże jest opinia prostego gwardiana wobec decyzji Watykanu?

Stojący po drugiej stronie biurka krótko ostrzyżony blondyn w koszuli z koloratką odchrząknął, dając do zrozumienia, że znudziło mu się kontemplowanie skromnie wyposażonego gabinetu.

Ojciec Paolo uniósł głowę i oddał mu wizytówkę. Powoli zdjął okulary. Nie miał zamiaru proponować przybyszowi, by usiadł. Młody jest, postoi...

– Cóż, ojcie Lokianie – wychrypiał zdartym od hymnów głosem. – Skoro tak chce Stolica, nie zamierzam się sprzeciwiać. Ona wszak nieraz radziła sobie w podobnych sytuacjach. Tyle tylko, że nie jestem przekonany, czy wiek – ostentacyjnie zmierzył młodego kapłana wzrokiem – a co za tym idzie, doświadczenie ojca jest...

– Mam trzydzieści trzy lata, ojcie – przerwał jezuita. – Nasz Pan, będąc w tym wieku, zbawił świat. Myślę, że z jego pomocą dam radę jednemu demonowi.

Gwardian westchnął i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Pycha jest atutem dla szatana.

– Nie pycha, ojcie – zaprzeczył młody kapłan. – Wiara. Wszak, jak mówi apostoł, wszystko mogę w Chrystusie, który mnie umacnia.

Franciszkanin kolejny raz westchnął. Z niemałym trudem wstał i ruszył w kierunku stojącej przy ścianie szafy. Otworzył jedną z szuflad, by wyciągnąć niewielką teczkę. W porównaniu z innymi była cieniutka. Mogła mieścić w sobie raptem parę stroniczek. Ale tylko tę ozdabiał czerwony pasek.

Ojciec Paolo rozwiązał sznurek. Ostatni raz rzucił okiem na znajdujące się w środku zdjęcie, po czym podał dokumentację jezuitę. Ten, nie zaglądając do teczki, zamknął ją i włożył pod pachę.

– Nawet ojciec nie spojrzysz? – zdziwił się franciszkanin.



Lokian wzruszył ramionami.

– Zakładam, że będzie jeszcze w takim stanie, iż rozpoznam ją bez kłopotu – wyjaśnił. – A jakbym miał się zgubić, zamknę oczy i dojdę po zapachu. Gdyby demony walczyły tak jak śmierzdą, już dawno rządziłyby niebem.

– Ojciec chyba nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji! – nie wytrzymał gwardian. – Ta smarkula zamordowała własnego ojca! Poszczyła go psami!

– Jednym psem – sprostował jezuita. – Dzieciaki robią gorsze rzeczy z byle powodu. Słyszałem, że w Teksasie dziesięć lat temu zastrzelił ojca, bo ten nie chciał mu dać kieszonkowego.

– Też opętany?

– Raczej zdesperowany. W “Playboyu” prezentowali zdjęcia Julii Roberts.

Ojciec Paolo zaczerwienił się po czubki uszu.

– Ależ... – zaczął, jednak Lokian nie pozwolił mu dokończyć.

– Niech ojciec posłucha – powiedział lekko zniecierpliwionym głosem. – Kilka kilometrów stąd jakiś demon posiadał ciało małej dziewczynki i z każdą chwilą rośnie w siłę. Proponuję więc, żeby dał mi ojciec coś do zjedzenia i wskazał drogę. Niczego więcej mi nie trzeba, toteż pewnie więcej mnie już ojciec nie zobaczy. Proszę tylko o obiad i transport. W tej kolejności.

Gwardian zastanawiał się przez chwilę.

– Z tego, co słyszałem, nie ponosi ojciec zbyt długo tego obiadu.

Jezuita sięgnął do kieszeni i wyciągnął pudełeczko wykałaczek.

– Zaryzykuję.



Około dwudziestej samochód zatrzymał się przed domem Tonsich. Ojciec Lokian wszedł na ganek i cichutko zastukał do drzwi. Otworzyła mu trzydziestoletnia kobieta o pociągłej twarzy i ognistorudych włosach. Ich płomień wyraźnie kontrastował z białą wymęczoną brakiem snu oblicza. Na widok koloratki ożywiła się nieco.

– Czy ksiądz jest... tym, na kogo czekamy? – Jej głos pełen był niepewności i bezsilnego smutku.

Jezuita skinął głową.

– Jestem egzorcystą – powiedział. – Przybywam z polecenia Ojca Świętego, by pomóc pani córce.

W oczach kobiety błysnęły iskierki bólu.

– To już nie jest moja mała Marietta. Ona... odeszła, a tam...

Kapłan położył rękę na jej ramieniu i uśmiechnął się.

– Tam siedzi teraz ktoś, komu należy dać do zrozumienia, że pomysł z opętaniem pani córki nie był jego najlepszym. A nikt nie zrobi tego lepiej niż ja.

Kobieta gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nawet ksiądz tam nie dojdzie – oznajmiła, a po jej policzkach spłynęły łzy. – Ten pies...

Jezuita chwycił ją za podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy. Kolejny raz skrzywił się w uśmiechu.

– Proszę tu tylko poczekać na mojego asystenta... ojca Michelangelo. Niech czeka na mnie pod oknem – powiedział. – Resztę niech pani zostawi mnie... I niebiosom.

Minął ją i pewnym krokiem ruszył w stronę schodów. Warczenie rozległo się, gdy dotarł do ich połowy. Powoli i jakby od niechcenia uniósł głowę. Bestia stała nad nim, szczerząc dziko kły. Jezuita nie zwolnił ani na chwilę. Nie zatrzymał się nawet wtedy, gdy pies zacisnął szczękę na jego szyi, łapiąc w pysk... powietrze. Doberman przechylił łeb z niedowierzaniem i nagle popchnięty siłą potężnego kopnięcia pomknął w dół. Wylądował gdzieś pomiędzy trzecim a czwartym stopniem. Z pękniętej czaszki wyciekła stróżka krwi...

Stojąca u szczytu schodów półprzezroczysta sylwetka na powrót stała się ojcem Lokianem. Jezuita przechylił gwałtownie głowę, aż chrupnęły kręgi, włożył do ust wykałaczkę i powoli ruszył w głąb korytarza.

Zatrzymał się przy sporych rozmiarów lustrze wiszącym nad zabytkowym sekretarzykiem. Odsunął



marynarkę. Do pasa miał zamocowaną skórzaną torebkę z Pismem Świętym i drewnianym krzyżem. Wiedział, że gdyby przyszło co do czego, żaden z tych przedmiotów nie zdałby mu się na nic, ale czasem trzeba zachowywać pozory. Wierni patrzą.

– Mówisz do mnie? – wycedził, uśmiechając się paskudnie do swego odbicia. Błyskawicznie dobył krzyża i wycelował nim w lustro.

– Strzeż się, demonie – dodał, nie kryjąc rozbawienia. – Szeryf jest w mieście.

Delikatnie pchnął drzwi i wszedł do wypełnionego błękitnym blaskiem pomieszczenia.

Odrzucił go potworny smród. Przetarł łzawiące oczy i wciągnął kilka razy przepełnione odorem powietrze. Pomogło. Przestał czuć cokolwiek. Za to zaczął widzieć.

Pokój nie prezentował się imponująco. Jedna wisząca szafka do połowy wypełniona książkami, niewielkie biurko z przykręcaną czarną lampką i obrotowym krzesłem. Oprócz tego duża, dębowa szafa pamiętająca młodość Mussoliniego. Z jej masywnych drzwi uśmiechały się twarze Enrique Iglesiasa i Ricky'ego Martina.

No i oczywiście łóżko. To z niego bił ten trudny do wytrzymania smród gnijącego mięsa. Zaduch życia, które staje się śmiercią – dobrze znany policjantom wyławiającym zwłoki z mulistych kanałów lub forsującym drzwi mieszkań samotnych staruszek, których brak na ławce przed domem sąsiedzi uświadomili sobie dopiero po tygodniu. Ale egzorcysta wyczuł w nim coś jeszcze... Przyjrzał się.

Dziewczynka siedziała tyłem do drzwi, wlepiając wzrok w okno. Przez chwilę mogło się wydawać, że nie zdaje sobie sprawy z obecności księdza, że wszystko pójdzie łatwiej, niżby oczekiwał... I wtedy właśnie w maleńkim karku coś strzeliło cicho i głowa opętanej odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Demon spojrzął na kapłana pełnymi wściekłości oczami dziecka. A właściwie już nawet nie dziecka, tylko rozczochranego, zielonego potwora o dzikich oczach i zaschniętych strugach wymiocin na brodzie. Dopiero teraz było widać, jak bardzo nowy lokator zadomowił się w ciele Marietty. Pokryty pleśnią język muskał brudne zęby z odstręczającą lubieżnością, a skapujące z czoła krople potu nadawały trupio zgniłej skórze złowrogiego blasku. Monstrualnie napuchnięte tętnice drżały pompowaną krwią, zaś ręce same, bez patrzenia dorysowywały wąsy postaciom na świętych obrazkach, których co najmniej kilkanaście dziewczynka trzymała na kolanach.

Ojciec Lokian nawet nie drgnął. Tylko tkwiąca w jego ustach wykałaczką przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego. Przez chwilę trwali w bezdźwięcznym pojedynku, mierząc się niczym rewolwerowcy w oczekiwaniu na pierwsze uderzenie dzwonu wybijającego południe. W końcu jednak jezuita przemówił:

– Nie za daleko jak na ciebie?

Nie było dymu, syku ani nagłego wichru. Żadnej odpowiedzi.

Egzorcysta uśmiechnął się. Podszedł do biurka i usiadł na krześle.

– Jesteś Żydem? – zapytał znowu. – Bo na Chińczyka mi nie wyglądasz. Nie dałeś tej małej skończyć oczu. Egipt odpada, Grecja też... czekaj, już wiem. Pers?

Spojrzenie dziewczynki złagodniało. Język i zęby zniknęły w zamkniętych ustach, prawa ręka upuściła kredkę. Ojciec Lokian skinął głową.

– Tak myślałem – stwierdził, wskazując na zbezczeszczone obrazki. – Tylko Żyd albo Pers mógłby rysować takie loczki. No i ten pies... Jakbym znów widział króla Dariusza.

Głowa Marietty kilkakrotnie poruszyła się w górę i w dół.

– Ale i tak uważam, że spisałeś się niezłe – kontynuował egzorcysta. – Zdradził cię smród. Chrześcijańskie demony raczej nie cuchną odleżynami i trądem. Siarka i spalenizna to co innego... No, powiesz mi, jak się nazywasz, czy mam sam na to wpaść?

Z ust dziewczynki dobył się bulgot. Niewidoczny przybysz dopiero po chwili zapanował nad zdobycznym aparatem mowy.

– Astowidad – wycharczał. – Śmierć i Zaraza.

– Więc nie pomyliłem się. Pers. I pomyślałeś sobie, że odbierzesz diabłu kilku wiernych, tak? – drążył jezuita. – Że stary, dobry Lucyfer nie przejmie się jedną małą włoską wioską? Ledwie parę setek mieszkańców! Dla niego jak splunąć, a dla ciebie ziemia obiecana, co? Cóż, gdyby nie było to tak

bezdennie głupie, powiedziałbym, że to nawet sprytny pomysł. Oczywiście jednak zdajesz sobie sprawę, że nie możemy tego tak zostaw...

W tym momencie demon zaatakował. Błyskawicznie opuścił ciało małej i skoczył w stronę kapłana. Jego wielkie, pokryte łuskami łapy momentalnie ścisnęły szyję Lokiana, a olbrzymi ogon owinał się wokół piersi, miażdżąc żebra. Bestia odchyliła do tyłu rogaty łeb, wysunęła rozdwojony język...

Rozległ się głośny brzęk i powietrze wypełnił rój szklanych odłamków. Potwór osłabił uścisk i obejrzał się. W miejscu, gdzie jeszcze przed momentem było okno, zionęła teraz potężna wyrwa, a w niej stał sześcioskrzydły, odziany w szarą togę serafin z płonącym mieczem w dłoni. Jego twarz skryta była w cieniu kaptura.

Bestia oderwała się od ledwo żywego jezuita i błyskawicznie odwróciła, wznosząc łapy do walki. Serafin niespiesznie sięgnął lewą ręką do kaptura i zdjął go, odsłaniając poznaczoną bliznami i spaloną słońcem twarz. Wytatuowany wokół lewego oka płomień zalśnił krwistoczerwonym blaskiem, gdy kąciki ust anioła uniosły się w nikłym uśmiechu.

– Ho, ho, ho – wycedził przez zęby.

Dalej wszystko poszło już błyskawicznie. Przybysz uniósł miecz i szybkim jak myśl cięciem odciął demonowi łapę. Potwór ryknął z bólu, odruchowo atakując ogonem. Anioł kucnął, chlasnął bestię przez korpus i zanim ta zdążyła zareagować, uniósł się w powietrze, wykonał taneczny obrót, po czym uderzył na łeb. Rogaty czerep podskoczył w górę, grzmotnął o sufit i spadł tuż obok wstającego z podłogi ojca Lokiana.

Jezuita spojrział z pogardą na odrąbaną głowę i splunął jej między ślepią. Powoli przeniósł wzrok na stojącego teraz przed nim anioła.

– Nie za wcześnie, Michale? – zapytał, nie kryjąc sarkazmu. – Przecież spokojnie mogłeś poczekać jeszcze z jakiś kwadrans.

Serafin zgasił ostrze i wsadził miecz do ukrytej między skrzydłami pochwy.

– Nie jęcz, Loki. Przecież zdążyłem. Czemu się gorączkujesz?

– Ty się jeszcze pytasz? To miał być demon mityczny. Tak mi powiedziałeś, nie? *Łatwa robotą, nie natrudzisz się, bo to jakiś pomniejszy mityczny stwór nie wiadomo skąd...* Otóż powiem ci coś, panie ekspercie. Pomniejsze mityczne stwory nie mają pieprzonych dwóch metrów i łap jak wystawa noży. To, co tu leży, to demon z waszego cholernego piekła!

– Z wyglądu pasuje – stwierdził Michał. – Ale nie śmierdzi jak one. Tu czuć raczej...

– Zgnilizną? Też tak myślałem – zgodził się Kłamca. – I właśnie dlatego uwierzyłem w tego całego Astowidada. Swoją drogą, piekła bardzo musi już na mnie zależeć, skoro specjalnie dla mnie demony zaczynają używać innych perfum.

– Jak to dla ciebie? – archanioł skrzywił się z powątpiewaniem.

Loki wzruszył ramionami.

– Przecież to o mnie mu chodziło. Śmierdział i działał jak mityczny, więc było oczywiste, po kogo poślecie. Zastanawiam się tylko, jak...

Przerwał i przyłożył palec do ust. Brodą wskazał coś za plecami archanioła. Ten odwrócił się gwałtownie. W samą porę, by złapać wychylającą się z ciała dziewczynki mglistobiałą dłoń. Szarpnął i wyciągnął z wnętrza opętanej chudą, pokraczną postać. Kłamca uśmiechnął się z satysfakcją.

– O proszę! O tym nie pomyślałem – powiedział z uznaniem. – Siedziało w niej dwóch, jeden od mokrej roboty, drugi od gadki i śmierdzenia. Teraz znów mam przyjemność z panem Astowidadem, nieprawdaż?

Chuda postać próbowała wyrwać się ze stalowego uścisku Michała. Bez powodzenia. Zrezygnowana skinęła głową.

– Fantastycznie – ucieszył się Loki. W jego oczach zapłonął przez chwilę błysk zabójcy Baldra. – Mam nadzieję, że znajdziemy chwilkę, żeby pogadać. O pułapkach na przykład. I konsekwencjach.

– Co masz na myśli? – zapytał wódz zastępów.

Egzorcysta wskazał na uchylone drzwi.

– Tam przy schodach siedzi teraz pewnie matka tej dziewczynki. Kościół obiecał jej egzorcyzmy...

Więc, na niebiosach, dopełnijmy obietnicy.



Monica Tonsi rzeczywiście siedziała przy schodach, wlepiając przerażone oczy w ścierwo leżącego na stopniach psa. Straciła już niemal całą nadzieję, że jeszcze zobaczy córkę. Nie spodziewała się także ujrzeć młodego kapłana. Nie po tym potwornym wybuchu, przeraźliwym ryku i łomocie. Nie po przeciągającej się w nieskończoność ciszy... *Nikt nie przeżył prócz demona* – myślała. – *Nie da się pokonać diabła*. I wtedy właśnie usłyszała wrzask.



– A nie mówiłem? – ucieszył się Loki. – Wrzeszczy! Znaczy się, wcale nie taki twardy.

Michał wzruszył ramionami i rzucił pełne pogardy spojrzenie na zwisającego z żyrandola Astowidada. Sznur, którym archanioł zwykle przewiązywał togę, teraz opasywał nogę demona, wgryzając się głęboko w jego kościstą łydkę. Głowa zwisała dwie stopy od podłogi. Ręce Astowidada były mocno skrępowane na plecach, a druga noga zgięta w kolanie i przywiązana sztywno do pierwszej pod kątem prostym. Ustawienie go w takiej pozycji zajęło mnóstwo czasu, ale Kłamca upierał się, że musi być dokładnie jak na jego karcie tarota. *To symbolizuje wyczerpanie, ale i gotowość do przemian* – twierdził. – *Czyli to wszystko, po co tu przyszedł. No a poza tym, czy nie wygląda teraz cholernie zabawnie?*

Michał raz jeszcze zbliżył płonący miecz do torsu wisielca.

– Tym razem wypal coś dłuższego – poradził Loki, oglądając czarne ślady na piersi demona układające się w imiona egzorcystów. – Na przykład Konstantynopol albo *Już nigdy nie będę próbował spiskować z szatanem przeciwko armii Nieba, tak mi dopomóż Bóg*. A najlepiej jedno i drugie.

– Ale po co to robimy? – zapytał archanioł. – Przecież on i tak nie umie czytać.

– Słusznie – zgodził się Kłamca. – Napisz mu więc alfabet. A przy każdej literze narysuj przykład. Przy A wytnij mu jego gębę, tak łatwo zapamięta, przy B...

– Bałwana? – podpowiedział Michał.

– Nie, coś ty?! Przecież on z Persji jest, śniegu na oczy nie widział. Może lepiej banana albo od razu całą kiść, żeby z księżycem nie pomylił.

Pełne przerażenia oczy wisielca rozszerzyły się jeszcze bardziej. I tak już pozostały. Archanioł przełożył broń do lewej ręki, a prawą dotknął szyi Astowidada. Powoli wstał i zerknął na egzorcystę.

– Czy demon może umrzeć ze strachu? – zapytał.

Loki zdumiony pokręcił głową. Kąciki ust Michała znów uniosły się w uśmiechu.

– A chcesz się założyć?

## Hollywood

Torrence Wildhood siedział przy swoim dębowym biurku i paląc cygaro, czytał „USA Today”. Zdawał się zupełnie nie dostrzegać śladów błota, jakie zostawiały jego kowbojki na błyszczącym od lakieru blacie.

Ale cóż znaczy brak manier, gdy jest się człowiekiem sukcesu?

W wieku dwudziestu ośmiu lat był już jednym z najbogatszych ludzi w Hollywood, miał własne studio, udział w kilku innych i przynajmniej raz w roku wypuszczał przebój, który ustanawiał nowy rekord kasowy. Już nieraz zdarzało mu się, że do Oskarów kilka jego filmów nie rywalizowało wcale z konkurencją, tylko same ze sobą.

Wszystko to Wildhood zawdzięczał swemu niezwykłemu wyczuciu. Nie uznawał badań rynku, a mimo to w niezrozumiały dla nikogo sposób wiedział, kiedy ludzie pragną romantycznej komedii, a kiedy przydałaby się aura skandalu. Zawsze na czas dawał widzom epickie widowiska czy psychologiczne

thrillery. Albo western... jak teraz.

Ktoś zapukał cicho do drzwi. Torrence nie musiał trudzić się wołaniem *proszę* czy *wejść*, jego ludzie sami wiedzieli, dla kogo gabinet jest zawsze otwarty, a dla kogo wyłącznie na wyraźne wezwanie. Każdy tak jak saper miał prawo tylko do jednej pomyłki.

W progu stał niewysoki facet z nieco za dużym nosem i paskudnym uśmiechem, który jak na złość niemal nigdy nie zniknął mu z twarzy. Teraz również.

– Nadal szukasz horroru? – zapytał. – Bo mam tu scenariusz napisany przez autentycznego egzorzystę, niejakiego ojca Lokiana, który...

Wildhood machnął ręką.

– Odpada. Prawdziwe egzorcyzmy nie są ciekawe. To tylko trochę modlitw, drobna szarpanina i łyżeczka szczęścia. Ciut zabawniejsza pierwsza komunია czy inna bar micwa. Nie zrobisz z tego porządnego filmu.

Niski mężczyzna podszedł do biurka i rzucił na nie skrypt.

– Założysz się? Przeczytaj choć parę scen.

Usiadł w fotelu naprzeciwko, robiąc minę Nicholsona z "Chinatown": *Mam czas. Poczekam.*

Szef z wyraźnym ociąganiem ściągnął nogi z blatu i sięgnął po scenariusz...

Z każdą kolejną przewróconą stroną uśmiech na jego twarzy się poszerzał. Gdy po jakiejś godzinie skończył, był wyraźnie zachwycony.

– Wtórne do bólu – stwierdził. – Ale nie da się ukryć, że znakomite. Sprawdź, czy możemy kupić prawa do serii "Egzorcysta". Już nawet mam dla tego tytuł. – Rozłożył ręce, jakby umieszczał napis na afiszu. –  
**POWRÓT EGZORCYSTY – ZEMSTA DEMONA.**

Niewysoki poderwał się z miejsca.

– Znakomity! – zawołał podekscytowany. – Zaraz dzwonię do Tarantino.

Torrence pokiwał głową.

– Aha – dodał, oddając skrypt – na plakatach ma być koniecznie, że to historia na faktach. Ludzie wierzą teraz w każdą głupotę.

**...i zawsze**

## Głupiec Na Wzgórzu

### *Wybrzeża Skandynawii*

*Dawno, dawno temu...*

Stary głupiec stał na wzgórzu. Wspierając się na sękatym kosturze, patrzył w stronę brzegu. W stronę wioski. Pomimo odległości dźwięki z plądrowanej osady docierały do niego z okrutną wyrazistością. Każdy krzyk zarzylanego starca, każdy jęk gwałconej kobiety, każda wyszeptana modlitwa. Zacisnął oczy. Wikingowi nie przystoi płakać.

Za jego plecami rozległo się ciche chrząknięcie. Starzec mocniej ścisnął kostur.

– Obiecałeś nam opiekę – wyszeptał, z trudem opanowując drżenie głosu. – Obiecałeś, że nie dasz nas skrzywdzić, gdy wojownicy ruszą na wyprawy. Że będziesz czuwał i ześlesz swoją moc przeciwko wrogom...

Stojąca w mroku postać schyliła się i wyrwała z ziemi źdźbło trawy. Przez chwilę bawiła się nim, przekładając między palcami, po czym włożyła do ust.

– Cóż – przemówiła w końcu, nie kryjąc rozbawienia – wszystko wskazuje na to, że skłamałem. Nieładnie z mojej strony.

Palce na kosturze zbiały. Starzec jeszcze mocniej zacisnął wilgotne powieki, pragnąc pozbyć się już nie tylko łez, ale i obrazu pozostałej w wiosce córki. I wszystkich innych córek, synów, sióstr, braci...

– Oby Odyn wywarł na tobie srogą pomstę, zdrajco.

Postać zaśmiała się.

– Odyn? Przekaż mu serdeczne pozdrowienia. Powiedz, że dla niego szykuję coś lepszego.

– Bądź przeklęty, Loki...

Żdźbło trawy przewędrowało z jednego kącika ust do drugiego.

– Zobaczę, co da się zrobić.

### *Nowy Jork*

#### *Współcześnie*

Z zasady Loki nie miał nic przeciwko technice. Wręcz przeciwnie, odpowiadała mu większość ludzkich osiągnięć na czele z samochodem, telewizorem i lodówką. Były jednak chwile, gdy ich nienawidził. Takie chwile jak ta.

Po omacku, zajęty odwzajemnianiem pocałunków siedzącej na nim nagiej piękności, próbował zlokalizować ręką telefon. Wreszcie się udało.

Zręcznie zrzucił z siebie dziewczynę i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Lokstar Val Hallen – wycedził. – Słucham.

Zaszczębiotał jakiś przejęty kobiecy głosik. Kłamca poderwał się na równe nogi.

– Naprawdę? Ależ oczywiście. Zaraz będę.

Odłożył słuchawkę i jakby z niedowierzaniem popatrzył na rozłożoną na łóżku, gotową na wszystko kocię.

– Muszę lecieć – powiedział, wciągając dzinsy.

– Załatw to i wracaj szybko – odparła dziewczyna. Loki uśmiechnął się smutno.

– Nie, to może potrwać całą wieczność. A po takim czasie to nawet taki kretyn, jak ter twój osiłek, zorientowałby się, że coś jest nie tak.

– Nie nazywaj Dave'a kretynem! – oburzyła się dziewczyna. – Mógłby cię rozgnieść na miazgę.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. – Kłamca uporał się z koszulką i wsunął buty. Podniósł z krzesła płaszcz. – Taka szafa jak on? Szkoda tylko, że z tak maleńkim kluczykiem, prawda?

– A ty to niby co masz, złamasie?! – wrzasnęła za nim, ale odpowiedział jej tylko tupot nóg na schodach.



Lało jak z cebra. Wielkie krople bębniły w dach samochodu i rozbijały się o przednią szybę. Wycieraczki raczej wiosłowały, a nie odgarniały wodę.

Loki z trudem zmuszał się do patrzenia na jezdnię. Jego myśli krążyły wokół usłyszanych przez telefon słów. Jakim cudem mogła się obudzić? Przecież Gabriel nie dawał jej żadnych szans. Dziwił się, że w ogóle przeżyła. A teraz... Jakim cudem?

Samochód zahamował na miejscu dla karetek. Kłamca wysiadł, ale coś mu się jeszcze przypomniało. Pstryknął palcami, po czym sięgnął ku siedzeniu pasażera. Gdy po chwili wyprostował się ponownie, trzymał w ręku bukiet czerwonych róż. Niektóre płatki drżały jeszcze niedawną niematerialnością, a wstążka z komputerową precyzją dobierała sobie kolor.

– Proszę pana – rozległo się gdzieś z boku.

Loki powoli odwrócił głowę i zobaczył młodego pielęgniarza. Chłopak uśmiechnął się niepewnie.

– Pan wybaczy, ale tu nie wolno parkować. To miejsce dla karetek.

Kłamca skinął głową. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kluczyki. Rzucił je chłopcu.

– Tylko nie zarysuj lakieru. – Pewnym krokiem ruszył w stronę szpitalnego wejścia.



Starzec stanął na ruinach wioski.

Zgliszcza pobliskiej chaty należącej niegdyś do młodego Olafa, chłopca, który miał pojąć za żonę jego córkę, wciąż jeszcze nie przestały się tlić. Tam właśnie, u progu, starzec znalazł ciało swego jedynego dziecka, zupełnie jakby dziewczyna była przekonana, że nawet pusty dom jej wojownika może dać schronienie przed hańbą i śmiercią. Leżała teraz w strzępach ubrania, ze spaloną twarzą, przybita do ziemi ostrym kołkiem. Jak wszystko wokół, śmierdziała spalenizną...

Siwy, zgnębiony człowiek zacisnął zęby, odetchnął głęboko, po czym wykreślił kosturem okrąg. Wewnątrz naszkicował drzewo. Dobywszy noża, zrobił nacięcie na ręce i pozwolił, by kilka czerwonych kropek skapnęło na rysunek. Na koniec z przewieszzonej przez ramię sakwy wydobył świecę. Zapalił ją. Wiedział, że przyjdzie mu teraz długo czekać, ale nie dbał o to. I tak nie miał już gdzie iść.

Przybyli koło południa i choć wcale nie wyglądali jak ci, których się spodziewał, nie wątpił, że to oni. Po pierwsze, było ich dwóch. W tę okolicę zapuszczali się albo samotni szaleńcy, albo zbrojne hufce wojska czy znakomicie strzeżone kupieckie karawany. Po wtóre, jeden z nich miał młot, a drugi włócznię...

Gdy się zbliżyli, upadł na twarz i stuknął głową o ziemię z takim impetem, że rozbił sobie czoło. Potężniejszy przybysz wybuchnął śmiechem. Niższy, jednooki, skarcił go gniewnym spojrzeniem i grottem włóczni wskazał starca.

– Kim jesteś? – zapytał dudniącym głosem. – I któż dał ci prawo, by wezwać swego boga? Zwłaszcza po tym, co uczynił twój lud...

Jakby w odpowiedzi na te ostatnie słowa rozległ się głośny skrzek i po chwili na ramieniu Odyna usiadł czarny kruk. Starzec po raz pierwszy zwątpił, czy modlitwa aby na pewno była dobrym pomysłem...



Holowi szpitala daleko było do dramaturgii tego z “Ostrego dyżuru”, ale i tak wyglądał przytłaczająco. No i śmierdział. Wszystko przez to, że zgodnie z prawem stanowym na parter miał wstęp każdy, nawet ten, którego nie stać było na opłacenie łóżka na wyższych piętrach. Nie można wszak sobie pozwolić, by jakaś

zaraza rozprzestrzeniła się po całym kraju tylko dlatego, że chory nie miał akurat ubezpieczenia.

Pełen altruizmu przepis okazał się nie lada gratką dla niezliczonych rzesz bezdomnych czy narkomanów. Zwłaszcza wieczorami. Zwłaszcza deszczowymi wieczorami. Loki bywał tu wiele razy i doskonale wiedział, że gdy tylko przekroczy szklane drzwi, skierują się ku niemu oczy większości zgromadzonych w holu, a ledwie zrobi kilka kroków, zaatakują go legion *starych, szanownych panów* czy *kolesiów*, prosząc o solidną dawkę drobnych. Taki los czekał niemal każdego, kto nie był odziany w wyliniałe futro i trzy warstwy owiniętego drutem kartonu. Ale Kłamca wiedział też, jak sobie z tym radzić.

Przekroczywszy próg, zatrzymał się i sięgnął do kieszeni. Ze środka wydobyl pudełeczko wykałaczek. Pozwolił też, by na podłodze wylądował skórzany portfel. Stał jeszcze przez chwilę, karmiąc się wygłodniałymi, skierowanymi ku podłodze spojrzeniami, po czym ruszył ku recepcji. Nim zdążył dojść do połowy holu, za jego plecami rozpoczęła się uliczna wersja amerykańskiego futbolu – bez kibiców i drużyn, każdy przeciw każdemu. I nikt nie zaczął go o żadne drobne. *Ciekawe, czy ten byczek Dave bardzo lubił ten portfel* – pomyślał jeszcze przelotnie Loki.

Podszedł do zielonego kontuaru recepcji i cichutko zastukał w blat. Po drugiej stronie szczupła Meksykanka, na oko czterdziestoletnia, wlepiała przekrwione oczy w monitor. Głośno, nerwowe staccato palców na klawiaturze sugerowało, że nie było to jej ulubione zajęcie. Kłamca poprawił opadające na twarz włosy i chrząknął. Kobieta uniosła głowę.

– Słucham? – burknęła.

– Czy mógłbym rozmawiać z doktor McCornick? Nazywam się Val Hallen.

Meksykanka spojrzała na niego podejrzliwie.

– Jest pan jej pacjentem?

– Moja żona jest – odparł Loki z nienagannym uśmiechem. – Właśnie się przebudziła po całych wiekach śpiączki.

Recepcjonistka, wyraźnie zaznajomiona ze sprawą, spuściła nieco z tonu.

– Ta spod pięćset dwa? – zapytała tylko. – Niech pan chwileczkę zaczeka. – Wskazała mu wolne krzesło, a sama podniosła słuchawkę.

Kłamca usiadł i spojrzał za siebie na hol. Ostatnia kwarta meczu o portfel właśnie miała się ku końcowi. Zwycięzca, wychudzony Murzyn z długimi czerwonymi dreadami na głowie, wygrzebał się z pobjowiska i zgrabnie umknął próbującemu go złapać strażnikowi. Po chwili był już na ulicy. Z wypchanym po brzegi portfelem deszcz przestawał stanowić problem. Pozostali uczestnicy zawodów również, choć mniej chętnie, opuścili hol szpitala. Kilku opornych straż wyniosła. Wykałaczka w ustach Lokiego przewędrowała do drugiego kącika ust.

Rozległ się dzwonek. Z windy wysiadła doktor McCornick. Wyglądała bardziej naukowo niż niejeden mikroskop: źle dopasowane oprawki okularów zsuniętych na sam czubek nosa, zapięty pod samą szyję, nieskazitelnie biały uniform i kok, który spokojnie mógłby być chlubą najbardziej nawet wybrednej gejszy. No i oczywiście wystające z kieszeni słuchawki – lekarze noszą je przecież jak znak rozpoznawczy, choćby zajmowali się chorobami stóp.

Kłamca wstał. Ze zdziwieniem zauważył, że na twarzy doktor McCornick nie pozostał najmniejszy nawet ślad niedawnej ekscytacji. A przecież gdy dzwoniła, wręcz szalała z podniecenia.

– Niestety – powiedziała, gdy wsiedli razem do windy – mam dla pana złe wieści. Te kwiaty raczej nie będą potrzebne.

Loki nie zrozumiał.

– Jakież badania?

– Przykro mi, ale nie – zaprzeczyła. – Przebudzenie było jedynie chwilowe. Obudziła się, reagowała na pytania. Powiedziała, że chce się z panem widzieć, a gdy wyszłam pana zawiadomić, zasnęła znowu. Dzwoniłam ponownie, ale już pana nie było. A ta kobieta, która odebrała...

Kłamca zbliżył się do stojącego w rogu śmietnika i z obrzydzeniem wypluł wykałaczkę.

– Skoro przebudziła się raz, to może obudzi i drugi. A i tak dawno u niej nie byłem.

Winda zatrzymała się na piątym piętrze. Wyszli i razem poszli do sali pięćset dwa.



Leżała na łóżku – złotowłosa i ciągle młoda. Jak zwykle gdy przychodził do niej, dreszcz podniecenia i silny ucisk w okolicy podbrzusza przypominały mu, dlaczego dawno temu dał się usidlić. Piękna Sygin o pełnych ustach, oczach głębokich i zielonych jak morskie królestwo Aegira, teraz niestety zamkniętych, piersiach jak...

McCornick wyjęła z jego ręki kwiaty i wstawiła je do stojącego na stoliku pustego wazonu. Podeszedł do łóżka, po chwili wahania usiadł na jego skraju.

– Jeżeli pan chce – powiedziała lekarka, podchodząc do drzwi – zostawię was samych.

– Gdyby była pani tak uprzejma – odparł Loki z wdzięcznością.

– W razie czego będę na końcu korytarza. Tak bardzo mi przykro.

Wyszła. Kłamca wstał i zdjął płaszcz. Powiesił go na stojącym w kącie wieszaku. Gdy ponownie spojrzął na żonę, jej oczy były otwarte. Zamiast zieleni kryły w sobie jednak... drogę. Znał zasady, wiedział, że Droga Umysłu jest najwyższą próbą zaufania, że całkowicie powierza się osobie, w głąb której wchodzi. Mimo to ani przez chwilę nie miał wątpliwości. Dotknąwszy czoła Sygin, ruszył w podróż.



Znał tę ścieżkę, tak jak i nieobce mu było wzgórze, ku któremu wiodła. Czarny pył pod stopami przypominał, że w tym miejscu stała niegdyś wioska. Gdzienigdzie wznosiły się jeszcze porośnięte mchem resztki niedopalonych ścian, cokoły obalonych posągów, ślady po zasypanych spiżarniach. Powyżej, nieco w głębi łądu białe zęby skalistego klifu szczyrzyły kły ku morzu. Loki uniósł głowę... i zdumiał się niepomiarne. Na szczycie, tym samym, gdzie drwił kiedyś ze starego głupca, znajdował się teraz dom, a właściwie zamek... Walhalla.

W szarym, bladym świetle wyglądała niezwykle ponuro, wręcz mrocznie. Porastające ją ciemnobrązowe pnącza zdążyły uschnąć i teraz sztywno drgały poruszane wiatrem. Ogromne okiennice, wszystkie zamknięte na głucho, pociemniały jak puste oczodoły. Trup starej wiary wpatrywał się w Kłamcę zarazem bezradnie i mściwie.

Loki poczuł dreszcz niepokoju. Nie, nie przez sam widok Walhalli. Mniejsza o nową lokalizację, to w żaden sposób Kłamcy nie zaskoczyło. Zanim nastąpił jej koniec, bywało, że siedziba Asów pojawiała się w różnych miejscach jako niemal idealne odbicie oryginału. Tyle że... no właśnie. Przecież nie zostało z niej nic prócz fundamentów. Nawet ona nie mogła się tak odrodzić. Nie po tym, co spotkało Odyna i resztę.

– Zdziwiony, zdrajco?

Wyrwany z zamyślenia Kłamca odwrócił się gwałtownie i spojrzął prosto w oczy starego głupca. Jeszcze przed chwilą ich tu nie było, to pewne, bo tylko ślepiec mógłby nie zauważyć odciętej głowy na wbitym w ziemię kiju. Szczegół bardzo pasujący do spalonej wioski, ale nie tak nieznaczny, by stopić się z tłem. Czerep zarechotał.

– Nie spodziewałeś się, że mnie jeszcze spotkasz, prawda?

– Chyba nawet o tym nie myślałem – powiedział Loki, kręcąc głową, po czym skrzywił się w dzikim uśmiechu. – Ale nawet jeśli, nie wpadłbym na to, że specjalnie dla mnie nadziejesz sobie głowę na kij. Jestem pod wrażeniem. Długo czekasz?

– Nie kpij, zdrajco – zachnął się starzec. – Są dużo gorsze rzeczy niż pozbawienie ciała głowy i nabicie jej na własny kostur.

– Niech zgadnę... Już wiem. Utrata honoru?

– Żebyś wiedział! – Głowa tak mocno zakołysała się na kiju, że niewiele brakowało, aby spadła. – Honor jest najważniejszy. I dana obietnica... To przez ciebie tu tkwię. Przez układ z tobą. Skazany przez własnego boga.

Kłamca wzruszył ramionami, usiadł na zwęglonym kawałku krokwi i sięgnął do kieszeni po wykałaczki. Ze zdumieniem odkrył, że nie ma już na sobie koszulki i dzinsów. Zamiast nich odziany był w krótką płócienną tunikę i skórzane spodnie. Przy zdobionym pasie wisiał sztylet i sakiewka, a nieopodal stał prosty miecz oparty o resztki nadproża.

Stary głupiec z satysfakcją przyglądał się zaskoczonej twarzy boga.

– Jak widzisz, Odyn nierychliwy, ale sprawiedliwy. Nie tylko ja zostałem ukarany. A już myślałeś, że ci się upiecze, co? Myślałeś, znikniesz tam, gdzie chodzą w cudacznych, jarmarcznych kaftanach, a wtedy nie dosięgnie cię zemsta? Ale przeliczyłeś... – Loki poderwał się nagle i z całej siły kopnął głowę, a ta wzbila się w powietrze i z głuchym łomotem roztrzaskała na pobliskiej skale. Zamilkła.

Przez dłuższą chwilę Kłamca słyszał tylko szum morza. Potem, cicho szurając podeszwami skórzanych butów po pokrytej czarnym pyłem ziemi, coraz pewniejszym krokiem ruszył przed siebie. Do Walhalli.



– Sam jesteś głupcem, skalna pokrako! – wrzasnął karzeł, wskazując struganym kijkiem olbrzymia. – Aż niepodobna, że jesteśmy z tego samego łona.

– Ano niepodobna – zgodził się oparty o potężne wrota boskiej siedziby wielkolud. W przeciwieństwie do brata wydawał się wzorem spokoju. Tylko głaszcząca potężną maczugę chropowata dłoń i drgające nerwowo czarne wąsiska pozwalały odróżnić go od posągu. – Przy mnie wyglądasz, jakby matce przed połogiem zebrało się na gazy.

Twarz karła, przed chwilą ledwie różowa, spurpurowiała z wściekłości.

– Może ja i jestem pierdnięciem, ale w takim razie ty jesteś tym, co zwykle pojawia się chwilę później. I tak samo śmierdzisz!

Olbrzym wzruszył potężnymi ramionami. Od początku nie miał chęci na żadne gadki. No ale brat to brat, choć pokurcz. Wypadało go choć spytać, czy też nie ruszy w drogę. A ten od razu się wściekł, jakby rzeczywiście byli tu komuś potrzebni. Nikt przecież nie odwiedzał Walhalli co najmniej od kilku stuleci, nawet sam Odyn zmienił się nie do poznania. Podobno...

– Ktoś się zbliża – powiedział nagle karzeł, a w jego głosie słyhać było satysfakcję. – I co na to powiesz, tchórz?

Olbrzym przyjrzał się wędrowcowi. Pomimo przypasanego miecza i pewnego kroku nie wyglądał groźnie. Nie uznałby go za wojownika nawet dzieciuch, co wierzy w babcine bajeczki... Mimo to wielkolud wzniosł maczugę i wsparł ją na ramieniu. Ukradkiem zerknął w stronę brata i z ulgą odkrył, że nawet po solidnej kłótni rozumieją się bez słów. Karzeł uniósł swój kostur, by wykreślić wokół krąg ochronny. Palce lewej ręki ułożył w pierwszą z run i ukrył dłoń w rękawie szaty. Był gotowy.

Tymczasem obcy minął już stojący u szczytu wzgórza złamany drogowskaz i nie zwalniając, ruszył w stronę zamku.

Pokurcz oparł kostur na ramieniu i postąpił krok do przodu, uważając, by nieopatrnie nie opuścić kręgu.

– Ja będę mówił – syknął i nie czekając na odpowiedź olbrzymia, zawołał: – Kim jesteś? Skąd idziesz? I dokąd zmierzasz?

Ale przybysz szedł spokojnie dalej, aż znalazł się w odległości kilku kroków od strażników zamku.

– Jestem wędrowcem – rzekł. – Idę stamtąd. – Wskazał kciukiem za plecy. – A gdzie zmierzam, mógłby pytać tylko ostatni matol.

– Ty! – wycharczał karzeł. Wściekłość nieomal odebrała mu głos. – Teraz cię poznaję. Jednak wróciłeś, psie!

Loki błyskawicznie wyszarpnął miecz i pogroził nim olbrzymowi próbującemu zająć go od tyłu. Wielkolud zastygł w pół kroku, po czym drobnymi kroczkami wycofał się za plecy brata i schował w jego magicznym kręgu.

Przybysz z uśmiechem opuścił oręż.

– Jak widzisz – powiedział, nie kryjąc rozbawienia – i kłamca Loki musi czasem dotrzymać obietnicy. Ciekaw jestem tylko, jak zbudowaliście to wszystko po tym, jak zmiotł was Ragnarok?

Bracia spojrzeli po sobie i niemal równocześnie wzruszyli ramionami.

– Zapytam kogoś lepiej poinformowanego. – Loki machnął ręką. – Kto jest teraz panem na tym zamku?

– Jak świat światem – wycedził karzeł – Walhallą rządził i rządzić będzie Odyn, władca Asów. A ty,

zdrajco, nie uczynisz już ani jednego kroku w stronę domu bogów.

Uniósł do góry dłoń, wokół której mienił się błękitną poświatą utkany czar. Kłamca odrzucił miecz i powoli uniósł ręce.

– Wyrabiasz się. – Skinął głową z uznaniem. – Nie podejrzewałem cię o to.

– Wyrabiasz się? Dziwnie nauczyli cię mówić, ale domyślam się, co chciałeś powiedzieć – rzekł mag z dumnym uśmiechem. – Ale to raczej z ciebie, Loki, jest już stary dziad. Dałeś mi wiele czasu na utkanie czaru.

– Ale ja wcale nie mówiłem o czarze. – Uśmiechnął się bóg. – Miałem na myśli kłamstwa. Aż dwa na jednym oddechu, to naprawdę osiągnięcie...

Zanim przebrzmiało ostatnie słowo, Loki znów trzymał w ręku broń. Karzeł zaczął wykrzykiwać zaklęcie i już miał nim cisnąć, gdy w miejscu, gdzie przed chwilą stał przybysz, naraz spostrzegł brata. Powstrzymał swą moc w ostatniej chwili i obrócił się na pięcie. Tak jak przypuszczał, Loki był teraz za nim, unosząc ostrze do zadania ciosu. Mag cofnął się o krok i wystrzelił mocą prosto w twarz boga kłamstwa. Ten wrzasnął. Upadł, przez chwilę wstrząsały nim konwulsje, lecz po chwili stał się martwym... olbrzymem.

Pokurcz oniemiał, a palce jego prawej dłoni mocniej ścisnęły kostur. Głośny śmiech potwierdził jego obawy. Zerknął pod nogi. Jego lewa stopa znajdowała się poza kręgiem.

– Czy nie wydaje ci się, że magiczne stwory powinny być jakoś przygotowane na takie sztuczki? – zapytał głos Lokiego za jego plecami. – Wiesz, wykrywanie iluzji, odporność, jak myślisz?

Karzeł nie zdążył odpowiedzieć. Poczul tylko chłód, potem ciepło, a później... jego głowa potoczyła się i zatrzymała na środku kręgu.

Kłamca spojrział na nią z niesmakiem. I wtedy właśnie opadły go demony.

Przyszły zewsząd. Część z dzikim rykiem wyłoniła się z ziemi, bryzgając wokół błotem i lawą. Niektóre sfrunęły z dachu, gdzie do tej pory udawały ozdobne gargulce. Najwięcej jednak wypadło przez otwarte z impetem wrota. Wyglądały przeróżnie, a jednak znać w nich było pomiot tego samego nasienia. Jak nocne koszmary, które czy łypią żółtymi ślepiami w ciemnościach, czy szepczą złowrogo tuż za uchem, tak samo ściskają serce, a umysł wpędzają w szaleństwo. Jedne miały rogi proste niczym górskie kozice, inne zakręcone jak barany. No i szpony. Cały asortyment szponów, kłów czy pazurów przez tysiąclecia przysposabianych tylko do jednego – niesienia jak najokrutniejszej śmierci... I to właśnie czyniły. Chciały czynić.

Loki miał prawo być z siebie dumny. Nie tylko uniknął pierwszego lecącego nań stwora, ale i zgrabnie trzepnął go między oczy ręką. Podobnie gładko poszło mu z następnym demonem, niedawnym gargulcem, który, pikując, nabił się na wystawione w górę ostrze. Potwór pisnął przeraźliwie i gwałtownie wzleciał w powietrze. Opadł kilka kroków dalej, przygniatając sobą kilku współtowarzyszy wyłaniających się właśnie z ziemi. Kłamca wiedział jednak, że najgorsze jeszcze przed nim. Przy wtórze demonich wrzasków wzlatywały ku niebu odcięte łapy, łby, bryzgała cuchnąca, gorąca posoka...

Jednak mimo wszystko Loki czuł już, że przegrał. Demonów wciąż przybywało, miast ubywać, i te nowe były coraz silniejsze. I choć nie zaprzestał walki, niemal z ulgą powitał ciemność, jaka przybyła doń wraz z ciosem w kark... i bólem. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, była świadomość, że przynajmniej nie padnie przed swym wrogiem. Tłok wokół na to nie pozwalał.



Istoty mityczne nie mają zaświatów ani świetlistych tuneli. Zdziwił się więc niepomniernie, gdy pośród ciemności nagle ujrzał światło. Zdziwił i nawet trochę ucieszył. Ale radość nie trwała długo. Ból karku, żeber i stony, metaliczny posmak w ustach uzmysłowiły mu, że nadal żyje... i tkwi po uszy w gównie. Choć musiał przyznać, przyglądając się dobrze znanemu wnętrzu, że wpadł w gówno wyjątkowo okazałe – wprost do sali biesiadnej, najważniejszej komnaty Walhalli. Wyglądała zupełnie jak w latach swej świetności. Suto zastawione stoły ustawione w podkowie, ściany ozdobione przepięknymi gobelinami tkanymi złotem oraz krwią podbitych i ofiarowanych bogom ludów. Na klepisku rozłożone skóry

mitycznych zwierząt, a w każdym rogu stojak na broń bohaterów. Nad głową miał zastygłe w nieczynie jezioro zawieszona wolą pana wód, Aegira, a wokół wszechobecny zapach krwi. Oto raj prawdziwych wojowników.

Loki zmrużył oczy. W przeciwległym końcu sali na tronie rzeźbionym w smoczym kle siedział Odyn. Ojciec i władca Asów trzymał na kolanach włócznie, tę samą, którą wieki temu złamał archanioł Michał. Nie mogło być mowy o pomyłce, na całym świecie istniała tylko jedna taka włócznia. Tak jak jeden tylko był Odyn. Był!

Kłamca z niemalym trudem uniósł się na kolana, a potem wstał. Poczł zawroty głowy, jednak wolno ruszył w stronę tronu. Nie wiedział po co, ale czuł, że musi. Gdy od pana zamku dzieliła go już tylko szerokość stołu, Odyn uśmiechnął się. Jego dudniący głos obudził echo:

– Czy nie wydaje ci się, że bóg kłamstwa powinien być jakoś przygotowany na takie sztuczki? Wiesz, wykrywanie pułapek, szybki kontratak, jak myślisz?

Loki rozmasował obolały kark.

– I co? – odgryzł się. – Miałem ich wszystkich wykończyć, a później zwyczajnie tu zapukać? Zepsułbym cały efekt.

Odyn przytaknął i oparł włócznie o tron. Po chwili wybuchnął śmiechem.

– Wiesz, że swoim sarkazmem niszczysz mi cały plan rozmowy?

Kłamca wzruszył ramionami. I zaraz pożałował. Ostrze bólu pognało wzdłuż pleców i nieomal zważyło go z nóg.

– Pewnie liczyłeś – wycedził przez zaciśnięte zęby – że zapytam cię, kim jesteś? Przeliczyłeś się, mam to w dupie. Wystarczy mi tylko fakt, że nie jesteś Odynem, a wszystko tu wokół to jedna wielka bzdura.

Przyciągnął najbliższe krzesło i usiadł. W tym momencie na stole pojawił się mały pojemnik z wykałaczkami. Loki wziął jedną i włożył do ust. Siedzący na tronie ani przez moment nie wydawał się zbity z tropu. Wręcz przeciwnie. Nie krył rozbawienia.

– Gdybym był prawdziwym Odynem, miałbyś się z pyszna, prawda? Ale to nieważne. Na twoje szczęście bądź nieszczęście to nie jest Walhalla, a ja nie jestem jej władcą.

Z każdym kolejnym słowem jego twarz ulegała przemianie. Zniknęła gdzieś przepaska skrywająca pusty oczodół, wysunięte kości policzkowe zmalowały, czyniąc twarz bardziej pociągłą i jakby gładszą. Włosy okryła czerń, a gęsta broda zmieniła się w obłok szarej mgły i rozwiała w nicość. Potężne ramiona wojownika, jego szeroki, ozdobiony napierśnikiem tors, ogromne jak bochny chleba dłonie – wszystko poczęło tracić kształt. Po chwili na tronie, miast dostojnego wikinga, siedział... anioł. Dwie pary złocistobiałych skrzydeł mieniły się w oświetlającym Walhallę blasku, a kruczoczarne włosy opadały na jasnobrażową twarz. Tylko uśmiech nie uległ zmianie. Nadal był pełen rozbawienia i niemal przyjaźni. Gdyby rekin śmiał się do swych ofiar, robiłby to pewnie identycznie. Loki skrzywił usta z niesmakiem.

– Czy już do końca prześladować mnie będą te skrzydła i pedalskie gęby?

Anioł rozłożył ręce z uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: *Co ja ci na to, kotku, poradzę?*

– Wiesz, kim jestem? – zapytał, wstając. Powoli zszedł po stopniach i usiadł przy stole naprzeciwko Lokiego. – Powiedzmy, że masz trzy szanse.

Kłamca wyciągnął wykałaczkę z ust i rzucił w twarz rozmówcy. Tak jak się domyślał, przeleciała przez nią i cicho wylądowała na podłodze.

– Zakładam, że nie jesteś jednym z tych dobrych. Oni mnie nie biją.

– Ciepło.

Loki oparł łokcie na stole i złożył dłonie, skubiąc kciukami czubek nosa.

– Nie podejrzewam też, żebyś był wielkim szefem.

– A to dlaczego? – zapragnął wiedzieć skrzydlaty.

– Taki pedant jak on nie przybrałby nawet na moment tak głupiego wyglądu.

– Jak Odyn?

– Jak ty – wyjaśnił Kłamca. Sięgnął po kolejną wykałaczkę. – Zgadłem?

– Tak, nie jestem Lucyferem – wycedził anioł. – Nazywam się Belzebub.

– Czytałem, czytałem – Loki pokiwał głową. – Świńska głowa na kiju, wyspa pełna chłopców. To

chyba twój największy sukces, co?

Oczy Belzebuba zapłonęły żądzą mordy.

– Jak rozumiem, przysłało cię, byś się ze mną dogadał. – Bóg fałszu kontynuował z uśmiechem. – Nie udały się zamachy, nie udały się kuszenia, więc przyszedłeś wprost. A cała ta pułapka to tylko pokaz sił. Mam rację?

– Zapytaj swój kark – odparł upadły anioł, powoli odzyskując zimną krew. – I każdej rany, jaką zadały ci moje demony. A co do mojej misji, miałem sprawdzić, czy okażesz się dla nas przydatny.

– I co?

– Jak widać – Belzebub uniósł rękę i wykreślił w powietrzu dziwny znak – nie jesteś. Spodziewaliśmy się, że twoja hardość to jedynie poza, ale nawet jeśli, wyplenienie jej z ciebie nie jest warte zachodu. Pozwól więc, że okażę ci rozczarowanie mojego pana. Nazywa się Behemot i stoi właśnie za tobą.

Jak na zawołanie powietrze wypełniło się odrażającym odorem zgnilizny.

Kłamca spojrzął za siebie. Potężne, sięgające sklepienia wrota Walhalli niemal w całości zasłaniał teraz stwór wyglądający jak ścierwo szarego goryla, którego ktoś dla zabawy skrzyżował z nietoperzem, a potem dodał po dwie ręce z każdej strony. Behemot przez chwilę bezskutecznie usiłował rozłożyć skrzydła, po czym ryknął. Głos bestii zawierał w sobie cały ból ludzkości, wszystkie cierpienia upadłych aniołów, agonię płonącej ziemi, a nawet wrzask bólu rodzącego się wszechświata. Brzmiało to, jakby z boskich opowieści o początku ktoś wyjął całe cierpienie i włożył je w jeden ryk. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Loki również zaczął wrzeszczeć. Zamknął oczy, przyłożył dłonie do uszu i krzyczał, byleby tylko zagłuszyć otaczający go dźwięk. I gdy już prawie się poddał, głos Behemota przybrał ton jakby bardziej kobiecy, a potem przeszedł w niemal ludzki wrzask bólu... i walki. Kłamca powoli otworzył oczy.

Nie było już potwora, a przy wrotach stała Sygin. Jego Sygin. Krzyczała ostatkiem sił. Loki odwrócił głowę i popatrzył na przerażonego Belzebuba. Jego niematerialne ciało migotało coraz intensywniej, aż zaczęło się rozmywać. Bóg fałszu, nie czekając, rzucił się przez stół, wskoczył na stopnie prowadzące do tronu i złapał za włócznię. *Gdzieś tu musi być oryginał* – myślał gorączkowo. Głos jego żony z wolna na powrót przeradzał się w ryk bestii. Sygin słabła. – *Byleby tylko złapać Belzebuba! To on jest wrotami piekieł. On wpuszcza tu Behemota.* Pewnie uchwycił drzewce i cisnął włócznię w tron Odyna. Przez moment sądził, że chybił, ale po chwili zraniony demon pojawił się wśród błysków. Sługą Lucyfera wstrząsały konwulsje, jednak jego oczy cały czas były pełne skupienia. A głos Sygin cichł jak szept wśród piekielnych wrzasków. Loki wyszarpnął włócznię i z całych sił wbił ją ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze. W sali zaległa już cisza, a on dalej dziurawił martwy zewłok.

Z odrętwienia wyrwało go dopiero ledwie słyszalne wołanie żony.

– Loki!

Kłamca odwrócił się i ujrzał, że jego wybawczyni leży na posadzce. Pognał ku niej, odrzucając skrwawioną włócznię. Przeskoczył przez stół i nieomal przewrócił się na łbie jakiegoś rozciągniętego na podłodze zwierzęcia. Sygin oddychała płytko, z wysiłkiem, ale poznała go, była przytomna.

– Uratowałam cię – wyszeptała, uśmiechając się, a cienka strużka krwi wyciekła z kącika ust. Loki pogładził żonę po złotych włosach.

– Zgadza się. Uratowałaś. Jak zawsze. Tylko co ty tu robisz?

– Mój umysł – odpowiedziała z wysiłkiem. – Jesteśmy w moim... on obiecał, że się obudzę, jeśli tylko umożliwi wam spotkanie. Powiedział, że ma dla ciebie lepszą ofertę niż tamci i... Loki, tak mi przykro... ale chyba jestem silniejsza niż myślał... on...

Zakrztusiła się. Krople krwi trysnęły na twarz Kłamcy, ale ten nawet nie mrugnął. Mocniej przycisnął do siebie Sygin.

– Spokojnie – wyszeptał. – Teraz na pewno się obudzisz. I wszystko będzie dobrze.

Pokręciła głową.

– Ja umieram, Loki.

– Bzdura! – niemal krzyknął. – Dopóki ja żyję...

– Ty też umierasz, kochanie – odparła ze spokojem.

Uśmiechnął się i raz jeszcze pogładził ją po włosach.

– Nie zabiją mnie, dopóki trwa moja legenda. To przepowiednia. A mnie się wcale nie spieszy, by...  
– Spotkamy się już niedługo – przerwała mu i to był koniec. Jej ciałem targnął jeszcze dreszcz, a potem odeszła...

Kłamca siedział tam jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami, a gdy je otworzył, znów znajdował się w szpitalnej sali. Właściwie w jej progu wynoszony przez dwóch rosłych pielęgniarzy. Doktor McCornick i cała chmara innych białych kitli razła Sygin prądem, tocząc zacieklą walkę z piskiem aparatury i prostą linią na ekranie. Loki szarpnął się już niemal dla zasady, zerkając na kwiaty w wazonie. Zanim go wyprowadzono, stworzył jeszcze niewielką kopertę. Na bileciku w środku widniał krótki napis: *Dziękuję i do zobaczenia. L.*

### *Wybrzeża Skandynawii* *Współcześnie*

Loki stał na wzgórzu. Jeszcze miesiąc temu nie był pewien, czy je odnajdzie. Potem te wszystkie formalności z przewozem ciała. Teraz jednak patrzył na świeżo usypaną mogiłę, nad którą zamiast krzyża wyrastał niewielki dąb. Kłamca zmuszał się, by zapłakać, ale bez skutku. W uszach miał wciąż jej krzyk, ten sam, którym go uratowała. Dziką pieśń miłości i ofiary...

Za plecami usłyszał chrząknięcie. Pokręcił głową.  
– Później, Gabrielu – wyszeptał. – Dużo później...





## Jakub Ćwiek

Urodzony w roku premiery „Blade Runnera” i ekranizacji „Conana Barbarzyńcy”. Pierwszą próbę literacką popełnił w wieku lat siedmiu. Wtedy jednak nie myślał jeszcze o publikowaniu.

Zainteresowania rozwijał w rodzinnych Głucholazach aż do rozpoczęcia studiów, kiedy to, znalazłszy się w Katowicach, przystąpił do Śląskiego Klubu Fantastyki. Do dziś uważa to za jedną z najlepszych życiowych decyzji, podobnie zresztą jak wstąpienie w związek małżeński. Który jak dotąd zaowocował obecnością Żuzi i Samuela.

Z Fabryką Słów wydał: „Liżąc ostrze” (2007), „Ciemność pfonie” (2008), „Gotuj z papieżem” (2009), publikował w dwóch fabrycznych antologiach.

I wreszcie „Kłamca”. Trzy bestsellerowe tomy opowieści o Lokim – nordyckim bogu i anielskim specu od mokrej roboty – „Kłamca 1”, „Kłamca 2. Bóg marnotrawny” i „Kłamca 3. Ochłap sztandaru”, stały się dla Jakuba przepustką do pierwszej ligi pisarzy polskiej fantastyki.

Dwukrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdła.



COPYRIGHT © by Jakub Ćwiek  
COPYRIGHT © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2005

WYDANIE IV

ISBN 978-83-7574-830-7

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

REDAKCJA Marcin Wroński

KOREKTA Barbara Caban, Magdalena Putek

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)



**fabryka słów**  
WYDAWNICTWO  
WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)



# ⊕DKĄD NIE MA BΘGA, ANIΘŁY NIE GRAJĄ FAIR



Valhalla legła w gruzach.  
Loki, adoptowany syn Odyna,  
patron oszustów i zdrajców,  
staje po stronie triumfujących  
zastępów pańskich.  
W świecie, gdzie zabląkane,  
mitologiczne bóstwa bratają się  
z piekielnymi demonami, jego  
usługi są dla Niebios bezcenne.

Loki staje się anielskim chłopcem  
na posyłki. Tak przynajmniej  
sądzą archaniołowie...  
On ma własne plany.

Są na tym i tamtym świecie  
sprawy, których nie da się  
załatwić z aureolą nad głową.

Patroni medialni



SCIENCE FICTION

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)



Wyłączny  
dystrybutor



JAKUB 1ĆWIEK  
KŁAŚCICA

